

DODA OKOŁO -
KUŁAK

Księga motyli

Rozdział 1

Trzeba żyć tak, żeby móc odróżnić dzień od dnia - tak powiedział kiedyś mój tato. Było to w czasie, gdy wyprowadzałam się z domu. Nie pamiętam, czy użył dokładnie tych słów, czy też sformułował to jakoś inaczej, ale sens był właśnie taki. Zaskoczyło mnie to; trudno było bowiem znaleźć kogoś, kto prowadziłby bardziej monotonne, uregulowane życie niż on. Jego dni upływały jak woda jednostajnie kapiąca z nieszczelnego kurka: praca, dom, praca, dom, praca, dom. Powszechnie stosowane określenie „wapniak” czy „ramol” pasowało do niego jak ulał. To, co wtedy powiedział, odebrałam jako gorzkie przyznanie się do porażki, wskazówkę, żebym nie brała z niego przykładu. Uczyłam się wtedy jeszcze i moje życie dalekie było od rutyny, nie brakło w nim raf w postaci kolokwiów i egzaminów, nie brakło i fajerwerków: szalonych zabaw, weekendowych wypadów w Sudety, wakacyjnych przygód, zauroczeń nowo poznanymi ludźmi. A później, kiedy już poszłam do pracy, krąg przyjaciół z wolna zaczął się wykruszać, ci, którzy zostali, mieli już inne problemy, coraz mniej czasu na rozrywki, coraz mniej zainteresowań. Moje życie zaczęło niepowstrzymanie dryfować ku rutynie, dni coraz mniej różniły się od siebie, aż stały się podobne jeden do drugiego jak krople wody jednostajnie kapiącej z kranu. Do śmierci taty.

Umarł tak, jak żył - w milczeniu i bez sprawiania komukolwiek kłopotu. Tamtego ciepłego, majowego przedpołudnia rozgrywał ze znajomym emerytem partię szachów na skwerze w pobliżu swojego mieszkania - w pewnej chwili przeprosił, wstał i poszedł do położonego przy Ślusarskiej szpitala. W izbie przyjęć zapytał, czy mógłby dostać jakiś środek na uspokojenie serca. Zanim lekarz dotarł z drugiego piętra do izby przyjęć - ojciec już nie żył. Nigdy

przedtem nie chorował na serce, choć teraz wydaje mi się prawdopodobne, że mógł cierpieć w milczeniu, ukrywać przede mną swoją chorobę tak, jak potrafił ukryć przede mną wszystko, co uważał za własną prawdę, nienależną nawet mnie. W jego apteczce prócz plastra, wody utlenionej i środka na oparzenia nie znalazłam żadnych lekarstw, w mieszkaniu nie było żadnej niezrealizowanej recepty, jego książeczka zdrowia nie zawierała żadnego wpisu. Jeśli nawet chorował, to po prostu się nie leczył. U każdej innej starszej osoby zdawałoby się to nieprawdopodobne, ale nie u taty. Choć był człowiekiem nieustraszonym, o czym parę razy zdołałam się przekonać, było jednak coś, czego bał się śmiertelnie: niedołęstwo. Często powtarzał, że największą klęską współczesnej medycyny jest starość. Imperatyw przedłużania życia, które winno się w odpowiednim czasie wypalić. Nie pozwolił nikomu decydować za siebie. Sekcja wykazała, że to był drugi zawał. Jak i kiedy przeżył pierwszy i czy w ogóle wiedział, że go przeszedł - pozostanie dla mnie tajemnicą, jedną z wielu, jakimi otoczył swoje życie.

Dyżurna pielęgniarka bardzo starannie przekazała mi jego ostatnie słowa. Zapewne wiedziała z doświadczenia, że ostatnie wypowiedziane w życiu słowa mają dla bliskich wielkie znaczenie; ja tę ważność pojęłam dopiero później, kiedy zaczęłam się nad nimi zastanawiać. Uspokojenie serca... nie ma na świecie środka farmakologicznego, który byłby w stanie uspokoić serce. Uspokoić je może tylko śmierć. Nie wiem, jak to jest, kiedy się umiera. Albo inaczej - nie pamiętam. Nie przeszłam żadnej poważnej choroby, nie zdarzyło się jeszcze, żeby moje życie było w jakiś sposób zagrożone, a jeśli nawet - to nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ale gdzieś, w najgłębszych, niezbadanych warstwach mojego jestestwa to doświadczenie istnieje. Czasem odczuwam jego trupi chłód, czysto fizyczny, przerażający,

dziwnie znajomy. Ciepła kąpiel, ciepły sweter, gorąca herbata z wódką - i po chwili nie ma śladu tamtego chłodu, ale przecież wiem, że gdybym nie zrobiła nic, to rozpełzałyby się w moim wnętrzu coraz szerzej i pewniej, dotarłyby do czubków palców, ogarnęłyby w końcu oczy i mózg...

Musi istnieć jakaś bardzo ważna przyczyna, dla której tak bardzo boimy się śmierci, bo chociaż boimy się wielu rzeczy: utraty bliskich, chorób, biedy - to żaden z tych lęków nie równa się lękowi przed śmiercią. Być może podobnie boimy się narodzin? To także przecież przejście, i to o wiele trudniejsze - z lepszego świata do gorszego. Wyobrażam sobie lęk duszy niosącej w sobie pamięć wszystkich wcieleń, całego doznanego zła, okrucieństwa, bólu i niemocy, duszy, która za moment wcieli się w istotę pozbawioną najsilniejszego ludzkiego oręża: wiedzy. Znajdzie się w bezbronnej kombinacji płynów i komórek wydanej na łaskę tych, którzy potrafią krzywdzić. A jeśli nawet rację mają ci, którzy twierdzą, że przez jakiś czas po urodzeniu zachowujemy pamięć wcześniejszych doświadczeń, to cóż z taką wiedzą może począć istota zupełnie bezradna? Kim będzie? Maleńkim Tutsi, któremu natychmiast potężny Hutu odrąbie głowę? Niechcianym bękartem, którego prymitywna, bezduszna matka wtłoczy do plastikowej torby i porzuci na wysypisku śmieci? A może następcą tronu albo geniuszem... Chryste, co za upiorna ruletka! A może dusza, przebywając tam, dostępuje jakiegoś wielkiego wtajemniczenia i patrzy na to inaczej - w ten dziwny, spokojny, obojętny sposób, którego nie jesteśmy w stanie pojąć i którego tak nienawidzimy u Boga?

*

Po śmierci ojca znalazłam się w stanie psychicznym, którego nie umiem określić inaczej niż jako „stan spóźnionej wrażliwości”. Od wielu lat byłam już dorosła i zdolna pojąć

to, czego nie mogłam rozumieć jako dziecko, czy też nie chciałam rozumieć jako narwany podłotek; a jednak brakowało mi rozpędu, by skruszyć dzielący nas od lat mur, by skłonić ojca do wyjścia ze skorupy milczenia. Zmusić go, by w końcu dostrzegł i zaakceptował moją dorosłość, uznał moje prawo do poznania przeszłości, jakkolwiek byłaby trudna i mroczna. Mogłam przecież któregoś dnia usiąść naprzeciw niego i odsunawszy niedbałym gestem dłoni całą mialkość spraw składających się na burą, bezpostaciową codzienność, powiedzieć po prostu: opowiedz mi o mamie. A jednak nie zrobiłam tego. Nie odważyłam się. Czułam, że cokolwiek powiedziałabym, on i tak by milczał. Tato, jestem już dorosła... nie, to by się na nic nie zdało. Wiedziałam o tym i to właśnie sprawiało, że przy nim nigdy nie czułam się ani dorosła, ani dojrzała, ani mądra. Teraz zdałam sobie sprawę, jak bardzo mnie kochał, jak mądrze, bez zbędnych słów wszelkie dobra materialne, jakie udało mu się zgromadzić, scedował na mnie. Konto bankowe i kilka lokat terminowych opiewały na moje imię. Po prostu. Okazało się, że swoje mieszkanie przepisał na mnie w chwili, kiedy kupił mi kawalerkę na Krzykach, siedem lat temu. Jedyne dom w Sanoku, dom, którego przez wiele lat bezskutecznie usiłował się pozbyć, mógł stać się moją własnością dopiero po przeprowadzeniu postępowania spadkowego. Tato nie chciał tego domu, nigdy nie wracał do związanej z nim tragedii jego rodziny, a jednak nie mógł się zdobyć na sprzedanie go za bezcen. Dom z roku na rok popadał w ruinę i tracił na wartości. Można powiedzieć, że ten dom uparł się, by wbrew woli ojca pozostać w rodzinie. No cóż, pozostał. Tato nie spisał żadnego testamentu, bo i tak byłam jego jedyną spadkobierczynią. Po co w takim razie brudzić papier?

Zastanawiałam się, co począć z garderobą ojca. Gdybym chciała oddać ją do Caritasu czy jakiejś innej instytucji

dobroczynnej, musiałabym najpierw zawieźć wszystko do pralni, potem przyszyć brakujące guziki... nie miałam na to ochoty. Ani czasu, ani cierpliwości. Już nie wspomnę o kosztach - było tego dwie pełne szafy. Sposób ubierania się mojego taty można określić właściwie tylko jednym przymiotnikiem: systematyczny. Tato co roku kupował sobie dwie pary spodni, czy ich potrzebował, czy nie, jedną marynarkę, co dwa lata garnitur, co pięć lat płaszcz. Podobnie rygorystycznie przestrzegał kalendarza przy kupowaniu swetrów, bielizny, butów. Wszystko było w dobrym gatunku, „przyzwoite”, ale bez pretensji do elegancji. Co pewien czas jego rzeczy przejeżdżały do „drugiej szafy”, gdzie bez ryzyka błędu można było odnaleźć w najdalszym kącie rzeczy sprzed lat dwudziestu, nieco bliżej sprzed piętnastu, najbliżej sprzed pięciu. Na litość boską, co z tym zrobić? Zbyszek doradzał mi spakować wszystko w plastikowe wory i wystawić pod śmietnik - do rana znikną. Akurat! Nieraz widziałam, jaką szopę potrafią z tego zrobić „potrzebujący”: wysypać wszystko na ziemię, przebierać, wybrzydzać. Wybrać kilka rzeczy, a resztę zostawić na zmarnowanie aż do wdeptania w błoto, bo zawodowi śmieciarze mają zwyczaj ignorować wszystko, co nie znajduje się w kubłach. Nie chciałam, żeby taki podły los spotkał jakieś tatowe palto czy spodnie. W końcu z kłopotu wybawiła mnie pani Lidzia, nasza firmowa sprzątaczką. Niepozorna, zaniedbana, przytłoczona brzydotą życia w biedzie osóbką, dzielnie podtrzymująca byt swojej rodziny z nędznych groszy, jakie jej Zbyszek płacił. Nawet dziwiłam się sama sobie, że od razu o niej nie pomyślałam - wiedziałam przecież, że ma jakąś bliżej nieokreśloną liczbę dzieci, a jej mąż pracuje tylko dorywczo, za to pije regularnie. Coś z tatowych rzeczy na pewno jej się przyda. Postawiłam tylko jeden warunek: musi zabrać wszystko, jak leci. Zmarkotniała nieco, dowiedziawszy się, że tato mierzył metr

osiemdziesiąt cztery i ważył ponad osiemdziesiąt kilo; jej stary to chudzinka - jak go pieścizotliwie określiła. W końcu jednak orzekła optymistycznie, że coś się na pewno przyda, a jakby nie „spasowało”, to będzie dla szwagra. Żeby nie zostawić jej zbyt wiele czasu do namysłu, a sobie na pakowanie - umówiłam się z nią tego samego dnia wieczorem.

Po godzinie pracy miałam wypełnionych sześć studwudziestolitrowych worów, największych, jakie mogłam dostać, a nie dojechałam nawet do końca „pierwszej szafy”. Patrzyłam na to z powątpiewaniem - pani Lidzia miała zajechać po rzeczy „bombowcem”, czyli siatkową dwukółką, którą jej stary transportował swój malarski sprzęt - a tu przydałby się furgon... Pomyślałam chytrze, że najpierw każę jej załadować starsze rzeczy, te z drugiej szafy, a po te lepsze, nowsze, niech ewentualnie obróci drugi raz. W ten sposób zyskam gwarancję, że naprawdę zabierze wszystko. Zabrałam się więc do opróżniania drugiej szafy. Postanowiłam już nie przeglądać kieszeni. Mój dotychczasowy urobek to było kilkadziesiąt zużytych biletów tramwajowych, dwa zaproszenia na jakieś oficjalne imprezy i dwie chustki do nosa. Nawet gdyby w tych kieszeniach znajdowały się jakieś pieniądze sprzed lat, to dziś i tak to już makulatura. Poszło mi teraz o wiele sprawniej, dopiero kiedy składałam ostatnią rzecz - cienką lnianą marynarkę - wyczułam, że w wewnętrznej kieszeni coś jest. Coś sztywnego. Zaproszenie na akademię z okazji rocznicy rewolucji? Nie, to był list. Zwykły list, zaklejony, z przyklepionym znaczkiem za sześćdziesiąt groszy, zaadresowany ręką ojca do mojej matki w Poznaniu. Nigdy niewysłany list... Zawahałam się. Czy mam prawo go otworzyć? Chyba tak, skoro oni oboje już nie żyją. Skoro byli moimi rodzicami. Matka porzuciła nas, gdy miałam niecałe pięć lat i od tego czasu jakby przestała istnieć, nie wolno mi było nawet wspomnieć o niej. Tęskniłam za nią, brakowało mi

jej, a jednak nie miałam odwagi złamać narzuconego przez tatę nakazu milczenia - on sam nigdy o mamie nie wspomniał. Oczywiście nie mógł zakazać mi myśleć i myślałam o niej nieustannie, próbując odgadnąć motywy jej odejścia, ale nawet te myśli odczuwałam jako grzech przeciw ojcu, przeciw jego upartemu milczeniu.

A teraz miałam w ręku oczywisty dowód, że ten nakaz milczenia dotyczył tylko mnie, że on sam miał kontakt z mamą, pisał do niej. Czy to w porządku? Rozerwałam kopertę, z której wysliznęło się zdjęcie. Moje zdjęcie. Wyblakłe barwy nie najlepiej świadczyły o naszej technice kolorowej fotografii w latach siedemdziesiątych. Mogłam mieć wtedy dziesięć, dwanaście lat. Objuczona teczką i futerałem ze skrzypcami stałam sztywno na tle jakichś krzewów. Zbyt szeroki uśmiech odsłaniał zęby, za duże w drobnej jeszcze, dziecinniej twarzy, jasne włosy miałam jak zawsze w nieładzie. Takie dziwne włosy, które unosi najłżejszy powiew. Takie mi już zostały. Rozłożyłam kartkę kratkowanego papieru i zdumiałam się: to był bardzo krótki list; nie było nagłówka ani podpisu, tylko data: 21 .VI. 1978 - i trzy linijki tekstu: Nika przeszła do szóstej klasy z niezbyt chwalebnyim świadectwem, za to jej postępy w grze na skrzypcach są zadowalające. Rośnie teraz szybko i zaczyna zwracać uwagę na stroje.

*

To, że w jakiejś rodzinie jest akurat tak, a nie inaczej, nie jest dla jej członków niczym dziwnym. Jest po prostu stanem istniejącym. Nasza rodzina składała się z taty i ze mnie. To, że nie było akurat mamy... Miałam w klasie kolegę, który nie miał ojca, i koleżankę, która w ogóle nie miała rodziców, wychowywała ją babcia. I jeszcze kilkoro dzieci, których rodzice rozwiedli się, ale tymi akurat opiekowały się matki. Byłam po prostu jednym z dzieci z tak zwanych rodzin niepełnych. Tato zawsze dbał, żebym miała stosowne i

przyzwoite ubranie, nie brakowało mi nigdy szkolnych przyborów, książek, zeszytów. Nikt, patrząc z boku, nie mógłby powiedzieć, że w jakikolwiek sposób jestem zaniedbywana.

Pierwszym sygnałem, że w mojej rodzinie jednak jest coś nie tak, była awantura w pierwszej klasie. Popełniłam jakieś poważne przestępstwo - gadałam na lekcji albo pobiłam się z kimś - dziś już nie pamiętam - i nauczycielka kazała mi nazajutrz przyjść do szkoły z matką. Wówczas siedząca obok mnie Lucia Kotowska podniosła dwa palce i powiedziała:

- Jej matka nie może przyjść, bo jest wariatką i siedzi w domu wariatów.

Zamurowało mnie. Wobec takiej enuncjacji byłam bezbronna, bo nie znałam prawdy. Bo ojciec uznał, że do prawdy nie jestem uprawniona. Cios był tak mocny, poruszył mnie do tego stopnia, że z furją zaatakowałam ojca, kiedy tylko pojawił się w domu. Siedziałam przy stole w kuchni i ryczałam, nie zdjęłam plecaka, płaszcza, butów.

- Czy moja mama jest wariatką i siedzi w domu wariatów? - wrzasnęłam zasmarkana, ignorując jego „cześć, Monika”.

Tato odstawił teczkę na krzesło i przyjrzał mi się uważnie.

- Kto tak powiedział?

- Lucia Kotowska.

- To kłamstwo - odrzekł spokojnie.

Powiesił płaszcz, a potem chciał zdjąć mi plecak, ale wyszarpnęłam się gwałtownie.

- Gdzie ona jest? Gdzie ona jest...?! - krzyczałam histerycznie.

- Twoja mama mieszka w Poznaniu. Jest zupełnie zdrowa. Zdejmij płaszczyk, bo się zgrzejesz. I nie zapomnij umyć rąk przed obiadem.

I to wszystko.

A kilka dni później rozeszło się po klasie, że tato Luci Kotowskiej dostał od mojego taty po pysku. Byłam przerażona, bo zapanował powszechny pogląd, że po mojego tatę przyjdzie milicja. Powinnam go jakoś przed tą milicją obronić, wytłumaczyć... ale jak? Czy potrafiłabym powiedzieć w jego obronie coś, co przekonałoby milicję, że to tato Luci Kotowskiej zaczął pierwszy? Musiałabym wypowiedzieć na głos to, co o mojej mamie powiedziała Lucia, a przecież musiałam na ten temat milczeć. Przyglądałam się tacie ukradkiem, ale nie zauważyłam, żeby był niespokojny albo przestraszony - zachowywał się zupełnie zwyczajnie. Bo mój tato był typem spod ciemnej gwiazdy - w czasie wojny należał do AK, potem do organizacji wywrotowej, a potem siedział za to w kryminale (tak powiedziała pani Cieślakowa z drugiego piętra do pani Szypuńko z parteru, kiedy obie myślały, że jestem zbyt daleko, żeby słyszeć ich rozmowę). I było dla mnie oczywiste, że po tym wszystkim nie bał się już nikogo i niczego - nawet milicji obywatelskiej. To raczej milicja obywatelska obawiała się taty - minął tydzień, dwa, a żaden milicjant po niego nie przyszedł. A może tato Luci Kotowskiej wolał się milicji nie chwalić, że oberwał?

Już nikt z moich koleżanek i kolegów nie odważył się nazwać mojej mamy wariatką. Ze strachu, że jego tato dostanie od mojego po pysku i nawet milicja go nie obroni.

To, co tato wówczas zrobił, do pewnego stopnia odniosło pożądany skutek. Przede wszystkim ten, że już więcej nie śmiałabym na nikogo tacie poskarżyć. Uchroniło mnie też przed otwartym szyderstwem rówieśników. Ale nie załatwiło sprawy. Nie mogło załatwić. Po prostu żadne działanie: ani rozsądne, ani głupie, nie było w stanie tej sprawy załatwić.

O tym, że moja mama jest wariatką, informowano się teraz szeptem, za moimi plecami, a ja doskonale zdawałam sobie z tego sprawę. No cóż, nie było na to rady, musiałam z tym żyć,

choć chwilami było mi trudno. Przede wszystkim dlatego, że w tej jednej sprawie nie mogłam liczyć na tatę, a nawet musiałam ukrywać przed nim moje cierpienie. Wierzyłam w to, co powiedział, że mama jest zdrowa i mieszka w Poznaniu. Nie miałam powodów, żeby mu nie wierzyć, już wtedy wyczuwałam intuicyjnie jego niezdolność do kłamstwa. Rzeczywiście nie umiał kłamać - umiał tylko milczeć. A jednak od tamtego incydentu na moim zaufaniu do niego pojawiła się rysa. Bo jak wytłumaczyć to, że mama żyje, mieszka w innym mieście, a ja nigdy, przenigdy nie będę mogła jej zobaczyć?

A jednak ją zobaczyłam.

To było parę lat później, w dniu zakończenia roku szkolnego. W tym samym dniu odbył się popis w szkole muzycznej, popis, na którym wypadłam nieźle i usłyszałam dostatecznie dużo pochwał, by mimo świadectwa ozdobionego tróją z przyrody nabrać wigoru i optymizmu. Nawet futerał ze skrzypcami nie wydawał mi się tak ciężki jak zwykle. Szkoda, że tato nie mógł być na popisie, gdyby przyszedł i wysłuchał tych wszystkich pochwał, jakimi mnie obsypano, może nie przejąłby się za bardzo tą tróją... W miarę jak zbliżałam się do domu, mój dobry humor przygasał. Można rzec, że sukces muzyczny bladł, a tróją na świadectwie rosła. Było późne czerwcowe popołudnie, pora, o jakiej zwykle na wydeptanym skwerze pomiędzy ustawionymi w czworobok domami roi się od dzieciarni. Tym razem było zupełnie pusto. W gasnącym blasku dnia powietrze było nieruchome, panowała zupełna cisza, a na ławce opodal wejścia do naszej klatki schodowej siedziała moja mama. Od razu wiedziałam, że to ona, choć jej rysy już dawno zatarły się w mojej pamięci. Stałam jak wryta, a ręka z futerałem, którą wykonywałam właśnie pełny obrót, opadła bezwładnie. Mama patrzyła na mnie bez słowa dużymi, złotobrazowymi oczyma, lekkie, jasne włosy

delikatnie poruszały się wokół jej twarzy. Uśmiechnęła się i miękkim gestem położyła dłoń na ławce. Powolutku, żeby jakimś nieopatrzynym ruchem nie rozwiać jej cudownej obecności, podeszłam i usiadłam obok niej. Nie odezwała się, ja także milczałam. Po co mówić? Była tu, przy mnie, czułam bijące od niej ciepło, promieniującą miłość. Kocha mnie, zawsze mnie kochała. Jak mogłam myśleć inaczej?

W różowawym powietrzu jak w szklanej kuli siedziałyśmy obok siebie - moja mama i ja. Byłyśmy jednością, choć przez tę jedną krótką chwilę... czułam, że ona nie może zabrać mnie ze sobą tam, dokąd idzie, jej myśli były jakby moimi myślami. Nie wiem, jak długo tak siedziałyśmy - chyba usnęłam, bo po pewnym czasie otrzeźwił mnie łomot i wrzask mojego kolegi z podwórka, Rycho.

- Hej, Monika! Gdzie twoje skrzypczki? - darł się Rycho i walił pięścią w futerał skrzypiec.

Normalnie zdzieliłabym go tym futerałem albo przynajmniej spróbowałabym kopnąć, ale przecież... Obejrzałam się - mamy już nie było. Znikła, odeszła wraz z różowym światłem zachodu. Po twarzy pociekły mi łzy, Rycho zbaraniały cofnął się i przyglądał mi się nieufnie.

- Co ty...? Czego ryczysz?

- Spadaj, palancie.

Podniosłam futerał i pozbierałam się z ławki. Poszłam do domu, zostawiając Rycho w stanie osłupienia.

*

Nie powiedziałam tacie o spotkaniu z mamą. Nie śmiałam, nie umiałam, nie wiedziałabym, jak to zrobić. Byłam pewna, że nie uwierzyłyby mi, szczególnie w świetle wydarzeń, które nastąpiły wkrótce potem. Zarzuciłyby mi kłamstwo albo co najmniej fantazjowanie. A przecież wiem, że ją spotkałam. Dziś jestem tego równie pewna jak wtedy.

Teraz, patrząc na fotografię, z drzeniem uświadomiłam sobie, że tato napisał list właśnie tamtego dnia. Zdjęcie zrobił mi kilka dni wcześniej. Tamtego wieczora napisał list, wsunął zdjęcie do koperty, napisał na niej adres i przykleił znaczek. Potem włożył list do wewnętrznej kieszeni lnianej marynarki, którą zamierzał włożyć następnego dnia... i nigdy już jej nie włożył.

W nocy obudził mnie.

- Wstawaj, Moniko. Twoja mama umarła, jedziemy do Poznania na pogrzeb.

I pojechaliśmy. Byłam zaspana, półprzytomna, rozbita. Nie rozumiałam, co to znaczy umrzeć (czy dzisiaj rozumiem?). W pociągu położyłam się na ławce, oparłam głowę o kolano taty i zasnęłam.

Pogrzeb był bardzo skromny, przyszło zaledwie kilkanaście osób. Nigdy wcześniej nie widziałam żadnej z nich. Tato chyba też, bo nikt się z nim nie przywitał, nikt do niego nie podszedł. Jedyne ksiądz po zakończeniu modlitw uścisnął mu rękę, a mnie pogłaskał po głowie. Kiedy już wszyscy odeszli, a grabarze zaczęli spychać ziemię do grobu, tato wziął mnie za rękę. Staliśmy w milczeniu i patrzyliśmy, jak pracują, a kiedy skończyli i odeszli, tato położył na kopczyku świeżej ziemi wiązanek białych tulipanów, które kupił w kwiaciarni przed cmentarzem.

- Wiem, jak bardzo brakowało ci jej przez te wszystkie lata, Moniko - powiedział. - I wiem, jak bardzo cierpiałaś przez te idiotyczne plotki o jej chorobie psychicznej. Teraz to się skończyło.

- Ale ona nie była chora, prawda? - zapytałam ośmielona tym, że tato trzymał mnie za rękę i mówił do mnie jak do osoby dorosłej.

- Oczywiście, że nie. Była tylko bardzo nieszczęśliwa.

W Poznaniu poszliśmy do prawdziwej restauracji i jedliśmy piezzonego kurczaka, a tato pozwolił mi jeść palcami. Całe szczęście, bo inaczej nie zjadłabym wiele. Potem dostałam jeszcze lody, takie w paski, z czekoladą, rodzynkami i orzechami, a dla siebie tato zamówił kawę. Trochę mi było wstyd, że tak dopisuje mi apetyt, chociaż moja mama umarła. Ale tak naprawdę w moim życiu nie nastąpiła żadna zmiana - nie miałam dotąd matki i nie będę jej miała nadal. Żywa czy martwa, była dla mnie tylko mglistym, na wpół zatartym wspomnieniem.

Do Wrocławia wróciliśmy bardzo późno. Tato kazał mi „umyc ręce i do łóżka”. W ogóle wszelkie przesady dotyczące higieny były mojemu tacie obce. Od czasu kiedy skończyłam siedem lat, przestał zaglądać do łazienki podczas mojej kąpieli, mogłam wyczyniać, co mi tylko przyszło do głowy - nurkować, rozchlapywać wodę aż do zupełnego jej wystygnięcia i w ogóle nie dotknąć mydła. Po powrocie z pogrzebu mamy byłam tak zmęczona i podekscytowana wydarzeniami tego długiego, dziwnego dnia, tak innego od wszystkich innych dni, że nie mogłam zasnąć. Kotłowałam się bezsennie na tapczanie, to wydawało mi się, że wciąż jeszcze jadę pociągiem, to znów powracał obraz rozświetlonego, pełnego kwiatów cementarza. Tato już dawno zgasił światło w swoim pokoju. Noce teraz są krótkie, myślałam, pewnie już niedługo będzie świt. Raptem usłyszałam z sąsiedniego pokoju dziwny, zupełnie nieznaną dźwięk. Usiadłam zupełnie rozbudzona i słuchałam w napięciu przez długą chwilę, a kiedy uświadomiłam sobie, że tato płacze, przerażona naciągnęłam kołdrę na głowę.

Tej nocy po raz pierwszy przyśnił mi się rower. Właściwie nie był to sen, ale inaczej nie umiałam i nie umiem tego nazwać. Rower był stary, zardzewiały, ongiś pomalowany na czarno. Miał baranią kierownicę, wyłożone gumą pedały i

szerokie skórzane siodełko z trzema wyciętymi otworkami. Wisiał na ścianie piwnicy na dwóch dużych, zardzewiałych hakach. Pomiedzy rowerem a ścianą snuły się lekkie, przejrzyste pajęczyny, w ledwie wyczuwalnym powiewie napływającego przez uchylone okienko powietrza falowały lekko i łatwo można było sobie wyobrazić, że rower płynie z wolna pomiędzy chmurami. Tym łatwiej, że poniżej na ścianie biegły poszarpane ślady kilku kolejnych zalań, nakładając się na siebie wykwitami zmurszałego tynku, przeplatając się w różnych natężeniach szarości i brązu - wystarczyło zmrużyć oczy, żeby rozpoznać w nich rozległe krajobrazy. Kiedy wskutek dłużej trwających opadów rzeka wzbierała, do piwnicy napływała woda. To dlatego stara biblioteczka została ustawiona na podpórkach z cegieł. Wysoko na półce, wśród innych dawno nieczytanych książek tkwiła Księga motyli, za wysoko, żebym mogła do niej dosięgnąć - ale była tam, opasła, z poszarpanym grzbietem, na którym rozlewał się purpurowy naciek w kształcie motyla. Jeszcze wyżej, na samej górze, stało pudło z czarodziejską zawartością. Nie mogłam do niego zajrzeć, stało zbyt wysoko, ale doskonale wiedziałam, co w nim jest: banieczki, bombeczki, kule - bambule - perłowoczerwone, perłowszafirowe, złociste, srebrzyste - wszystkie poplamione kleksami stearyny.

To nie był zły sen, to nie był koszmar. Wszystkie zgromadzone tu przedmioty, choć sterane czasem i pochodzące z różnych obszarów codzienności, tworzyły niosący uspokojenie ład i wprawdzie nie mogłam w nich odnaleźć żadnego odniesienia do znanej mi rzeczywistości, doznałam ukojenia. Jakby ktoś bliski i kochający ofiarował mi cząstkę siebie.

*

Niedługo później ukułam sobie teorię o wielkiej namiętności. Tak wielkiej, że mama nie była w stanie jej się

oprzeć i porzuciła tatę i mnie. Miałam już czternaście lat i przeżyłam trudny okres dojrzewania, tym trudniejszy, że musiałam przeżywać go samotnie. Tato kupił mi książkę O czym powinna wiedzieć każda dziewczyna czy coś w tym rodzaju, i to było wszystko, co mógł dla mnie zrobić. Z buzującymi we mnie hormonami, z całą niepokojącą biologią tego okresu musiałam radzić sobie sama, posiłkując się jedynie zawartymi w książce objaśnieniami. Naturalną kolejną rzeczą sprawy różnicy płci zaczęły mnie żywo interesować; z płonącymi uszami przerabiałam Duszę zaczarowaną, żywot Marii Stuart w ujęciu kilku autorów, Damą kameliową i tak dalej, i tak dalej, dzieła mniej lub bardziej ambitne, jak leci. Pamiętam z tamtego okresu, że powieść pod obiecującym tytułem Dzieje grzechu przyniosła mi wielkie rozczarowanie, z trudem przedarłam się aż do sceny, w której bohater układa swoją kochankę na posłaniu z róż, wyobraziłam sobie, jak po tym zabiegu musiał wyglądać jej tyłek, i przywaliłam książką o ścianę. Tak to już jest, że łyżka dziegciu spaprze całą beczkę miodu, a co do tego miodu... Muszę przyznać ze wstydem, że po latach mój osąd tej powieści się nie zmienił.

Największy jednak wpływ na kształtowanie się moich wyobrażeń o namiętności wywarło dzieło krążące po naszej klasie w kserograficznej kopii, przekazywane ukradkiem według listy kolejkowej, wyświechtane, zacytane prawie na śmierć. Autora nie pamiętam, tytuł zawierał kombinację słów „okrucieństwo” i „namiętność”, nie wspomnę kolejności. Czy to było Okrucieństwo namiętności, czy Namiętność okrucieństwa, wszystko jedno, dzieło ociekało wręcz wyuzdanym seksem i dzięki temu było niesamowicie podniecające. Dziś, kiedy półki księgarń w całym kraju wręcz uginają się pod ciężarem podobnego śmiecia, tamto dzieło nie zostałoby docenione; w czasach kiedy półki księgarń

trzeszczały pod ciężarem dzieł Marksa i Lenina, stanowiło rarytas.

Nie tylko pasjonowałam się wtedy cudzą namiętnością - Przeżywałam też własną. Jej obiektem był jeden z tych chłopaków z ostatniej klasy, którzy na długiej przerwie w kacie podwórza za salą gimnastyczną palili papierosy, wyrażali się krótko i dosadnie, z lubością posiłkując się słowami powszechnie uznanymi za obelżywe, i w ogóle na wszelkie sposoby demonstrowali swoją pogardę dla świata. Nasza klasa znajdowała się w sąsiedztwie łącznika prowadzącego do sali gimnastycznej i wszyscy, którzy udawali się na zajęcia z WF - u, musieli koło niej przejść. Była to okoliczność sprzyjająca mojej namiętności; pamiętam, że w określonym dniu tygodnia, o określonej godzinie, z gwałtownie bijącym sercem czałam się w korytarzu, by choć przez moment napawać oczy widokiem ukochanego. On oczywiście nic nie wiedział o mojej namiętności, zapewne nie wiedział nawet o moim istnieniu i jeśli w ogóle zaszczycił mnie spojrzeniem, to było to spojrzenie przypadkowe, takie, jakim obdarzał mapę ścienną, poręcz schodów czy krzesło. Nie byłam w tym okresie mojego życia szczególnie atrakcyjna: chuda, przerośnięta, na zębach nosiłam aparat i rozpaczliwie walczyłam z trądzikiem. Żaden chłopak mający jaki taki zmysł estetyczny nie zwróciłby na mnie uwagi. Wiedziałam o tym, a mimo to z nadzieją czekałam, że obdarzy mnie jednym, jedynym spojrzeniem - i jeśli to nastąpiło, nogi ugiwały się pode mną, serce skakało do gardła i resztę dnia miałam przerąbaną. Fakt, że nie pamiętam jego imienia, świadczy, że w istocie była to tylko jaskółka wielu późniejszych pomyłek.

A tato? Jak sobie radził w tych sprawach? Czy w ogóle interesował się kobietami? Był typem dużego, spokojnego faceta, może niespecjalnie urodziwego czy eleganckiego, ale z

pewnością budzącego zaufanie. Wiem, że dopóki mama żyła, to choć porzuciła go i była daleko, on pozostawał jej wierny. Z domu wychodził tylko do pracy albo ze mną. Czasem przychodził do niego kolega na szachy, raz w roku, na imieniny, paru znajomych na kawę. Przez pewien czas zalecała się do niego pani Szypuńko z parteru. Na tych zalotach najwięcej korzystałam ja, bo pani Szypuńko zapraszała mnie do siebie, karmiła pierogami i tortem, zachęcała do zwierzeń. Chociaż byłam jeszcze bardzo smarkata, czułam, że pani Szypuńko próbuje mnie wykorzystać i pyta o rzeczy, o które nie odważyłaby się zapytać ojca - o mamusię, kiedy wróci, czy tato nie pojedzie do niej, czy tato sam mi gotuje, czy przychodzi jakaś pani i tak dalej. Szczęśliwie na większość z tych pytań sama nie znałam odpowiedzi, a nie chcąc jej zniechęcić, odpowiadałam wymijająco: nie wiem, niedługo, może - i obżerałam się, ile wejdzie. Na koniec wizyty dostawałam zawsze kawałek placka na talerzyku albo galaretkę w ślicznej miseczce - „dla tatusia”. A potem pani Szypuńko puk, puk - po talerzyk, po miseczkę. Tato wcale nie łaknął wizyt pani Szypuńko ani jej placków i wprędce zabronił mi do niej chodzić i przyjmować od niej cokolwiek, a ja z dziecinną szczerością przekazałam jej niemal słowo w słowo to, co o jej wizytach i plackach powiedział. Trochę mi było żal pani Szypuńko, bo chociaż wścibska, była całkiem miła, no i taty pierogi ani się umywały do jej. Już nie wspomnę o torcie.

Później, kiedy mama już nie żyła, a ja osiągnęłam jaką taką samodzielność, zaczęliśmy się z tatą trochę mijać. Nie chciałam już chodzić z nim do kina, do ZOO czy na basen - wolałam towarzystwo rówieśników. Dla taty to było normalne i wcale się nie buntował, sam coraz częściej urywał się z domu. Ale nie zdarzyło mu się zarwać nocy, z czego dziś wnoszę, że nadal prowadził się przykładnie.

Niechlubny incydent z panią doktor Krzemyk nastąpił dopiero w czasie, kiedy kończyłam pierwszą klasę liceum, ósmego maja. Zapamiętałam tę datę, bo były to imieniny taty. Zresztą nawet gdyby to nie były imieniny taty, to i tak bym zapamiętała - do dziś sobie tego nie wybaczyłam. Tego dnia było pięknie, gorąco, na ostatniej lekcji była chemia, której nie umiałam, nie rozumiałam i bałam się panicznie. W piękne majowe popołudnie, na szóstej lekcji, trudno wymagać od piętnastolatków uwagi i myślenia. A mnie nawet uwaga i myślenie niewiele by pomogły - spośród wszystkich mniej lub bardziej porywających przedmiotów chemia była jedynym, którego nie byłam w stanie się nauczyć: ani na logikę, ani na kowadło. Czysta magia - łączą się dwie substancje, a powstają trzy i jeszcze jedna ulatnia się w powietrze. Pani Rudzińska (zwana Molly - od molekuly - albo złośliwie Piękną Molly, jako że była stara, gruba i miała lekkiego zeza) wypisywała z zapalem na tablicy długie szeregi liter, cyfr i indeksów, po czym omiatała klasę spojrzeniem, dwuznacznym z powodu zeza, przez co nie mniej groźnym. Przywarowałam w mojej czwartej ławce za plecami współtowarzyszy niedoli i wpatrzona w ospałe wskazówki zegarka modliłam się o dzwonek. Rozbolała mnie głowa - najpewniej ze strachu przed wyrwaniem do tablicy - ale wolałam zinterpretować ten ból jako oznakę rozpoczynającej się choroby. Bardzo lubiłam chorować: tato kręcił się wtedy koło mnie jak kwoka, co chwila kazał mi mierzyć temperaturę, latał po syrop i pigułki, znosił książki z biblioteki, przed wyjściem do pracy zostawiał mi talerz kanapek i termos z herbatą. Z pracy pędził prosto do domu, żeby przygotować dla mnie obiad. Czasy były trudne, ale tato umiał sobie radzić: placki ziemniaczane, omlet, jabłka w koszulkach. Jednym słowem rozpuszczał mnie jak dziadowski bicz. Gdy tylko dzwonek oznajmił koniec tortury, uskrzydłona wizją kilkudniowej laby - szerokim łukiem

ominałam szkolną stołówkę i pognałam do domu. Ból głowy jakimś cudem po drodze wyparował, a rtęć w termometrze podjechała tylko do kreski trzydzieści sześć, sześć. Psiakrew... przecież w szkole bolała mnie głowa. Na pewno. Po krótkiej wewnętrznej walce wsadziłam termometr pod kran z ciepłą wodą. Trzydzieści dziewięć, osiem. Przesada, tato gotów wezwać pogotowie. Postukałam lekko, aż słupek zjechał na trzydzieści siedem, pięć. Tak, to piękna temperatura - niby nic, ale jednak coś. Tak właśnie się czułam.

Położyłam termometr na stole w pokoju, który był właściwie pokojem taty, ale służył też za salon i jadalnię. Na wszelki wypadek posprzątałam ze stołu i przetałam do połysku blat. Zasadniczy rekwizyt został umieszczony w dobrze widocznym miejscu, nie ma siły, żeby został niezauważony. Jeszcze koc i atak dreszczy. Dreszcze odłożyłam na później, do powrotu taty z pracy została jeszcze co najmniej godzina. Postanowiłam wykorzystać ją na suchą zaprawę. Położyłam się w ubraniu na tapczanie.

Kiedy się obudziłam, zapadał zmierzch. Musiałam przespać z pięć godzin... Przypomniałam sobie o mojej chorobie, o termometrze. Jak to? Dlaczego tato mnie nie obudził, nie kazał zmierzyć gorączki, nie zrobił mi herbaty, zimnego okładu...? Z głębi mieszkania dochodziły jakieś głosy - radio? Telewizor? Wstałam, uchyliłam drzwi i zastygłam zaskoczona - to tato... ale przecież nie sam! Z kuchni dobiegał brzęk naczyń, kobiecy śmiech, ożywiony głos taty. Rozmawiają, jakby nigdy nic, śmieją się, a ja tutaj... Cicho wyszłam do przedpokoju.

- Masz jakąś salaterkę albo miskę? - to ona.

- Na dole w kredensie.

- Jest. Czeka, trzeba ją umyć. Dawno nie była używana.

Krzętałi się, gwarzyli, a ja sterczałam w przedpokoju jak słup soli. Raptem w drzwiach kuchni pojawiła się kobieta z

salaterką sałatki jarzynowej w rękach. Na mój widok zatrzymała się, w sekundę dokonaliśmy pełnych wzajemnych oględzin. Była wysoka, koścista, elegancka. Duże oczy, duże usta, duży nos, ciemne, gładkie włosy obcięte na pazia. Wyglądała jak żywcem wyjęta z filmu o życiu wyższych sfer, a ja uświadomiłam sobie, że jestem sklejona, rozczochrana, że mam na sobie dzinsy i wygnieciony T - shirt, jednym słowem, że jestem z zupełnie innej bajki.

- Jest Monika - rzuciła lekko za siebie i za jej plecami Pojawił się tato.

Objął ją poufale ramieniem, mnie drugim i tak we trójkę weszliśmy do pokoju. Stół był nakryty serwetą, na środku stał wazon z różami. Czerwonymi. Ani śladu termometru. O! To oczywiste, że to jej robota! Tato nie odłożyłby termometru, nie rzuciwszy nań okiem - a ona po prostu odłożyła termometr na półkę i nakryła stół. Wydra.

- Poznajcie się - powiedział tato. - To jest Monika, a to Ewa.

Ewa odstawiła salaterkę na stół i wyciągnęła do mnie rękę, a ja podałam jej swoją „na rybę”.

- Cześć - powiedziała. - Twój tato ma dzisiaj imieniny.

- Coś podobnego... - burknęłam naprawdę zaskoczona.

Zapomniałam o tych imieninach, nie miałam nawet złamanego kwiatka... Złożyłabym przynajmniej tacie życzenia, ale kępowała mnie obecność tej obcej kobiety. Spojrzałam na nią wrogo. Zrozumiała, że między nami wojna, i przestała się szczerzyć.

- Nakryjesz do stołu? Przyjdą jeszcze trzy osoby.

Nie odpowiedziałam. Włączyłam telewizor i zasiadłam na kanapie tyłem do świata. Za plecami słyszałam wyraźnie ich milczenie, potem brzęk sztućców i talerzy.

- Siądziesz z nami do stołu?

Gdyby to tato zapytał, odpowiedziałabym „nie”, ale ponieważ zapytała ona, przysunęłam się bliżej do telewizora i podkreśliłam głos.

- Wyłącz to - głos taty był zimny i nie wróżył niczego dobrego.

- Chcę obejrzeć film.

Chyba chciałam go sprowokować. Tak, chciałam, żeby ona go zobaczyła wściekłego, wrzeszczącego, bijącego własne dziecko. Tak, jakby on kiedykolwiek na mnie wrzeszczał albo mnie uderzył. Oczywiście ten numer nie mógł przejść. Tato wyłączył telewizor.

- Ewa pytała, czy usiądziesz z nami do stołu.

- Słyszałam.

- No więc?

- Dzięki, ale nie. Źle się czuję.

Teraz powinien się zaniepokoić, zapytać, czy mnie coś boli, poszukać termometru. Nic z tego. Chociaż Ewa w międzyczasie wyszła do kuchni, nadal stała między tatą a mną.

- Wobec tego do łóżka.

- Jestem głodna! - wrzasnęłam i zaczęłam ryczeć.

Rzeczywiście byłam głodna, ale tato był zbyt zawstydzony moim zachowaniem, w końcu niecodziennym, zbyt zaskoczony i urażony, żeby litować się nade mną. Uniósł brwi.

- Umiesz ukroić chleb? - spytał cicho, uprzejmie.

To był straszny wieczór. Leżałam w swoim pokoju w ubraniu, po ciemku, ryczałam i obmyślałam zemstę na sto sposobów. Nie byłam już dzieckiem i zdawałam sobie sprawę, że wszystko poszło nie tak, ale nie chciałam przyznać sama przed sobą, że to moja wina. Oczywiście, że to wina tej baby! Pojawiła się jak diabeł z pudełka, cudna jak Królewna Śnieżka, pewna siebie i zadomowiona w naszej kuchni, w naszym mieszkaniu, a co najbardziej oburzające - w życiu

mojego taty! Co ona sobie wyobrażała? Że padnę jej do nóg? Wredne babsko! To przez nią zachowałam się podle wobec taty, to przez nią zrobiłam kretynkę z siebie. Opanowanie, uprzejmość, powściągliwość - to, co tak podziwiałam u taty i tak chciałam naśladować - gdzie to się wszystko podziało? Stopień jej zażyłości z tatą po prostu zaskoczył mnie tak, że popełniłam błąd, a później nie potrafiłam już się wyplątać. Jak ja teraz spojrzę tacie w oczy? Czy potrafię znaleźć coś na usprawiedliwienie mojego grubiaństwa? Na pewno, na pewno jakoś się wytłumaczę, przeproszę go i znów będzie dobrze, byle tylko wszyscy zabrali się i poszli do diabła. Byle ona poszła do diabła! Bawili się doskonale, śmiech, rozmowy, brzęk szkła - zupełnie, jakbym ja nie istniała. Cierpiałam katusze, wyobrażając sobie, jak pochłaniają plastry kiełbasy, pasztet mazowiecki, sałatkę jarzynową... Mój zdrowy żołądek skręcał się i zwijał z głodu, z nosa mi ciekło w rytm nawrotów hysterii, w mózgu łupało i miałam w końcu to, czego chciałam - gorączkę. Pewnie zasnęłabym, gdybym się po południu nie wyspała za wszystkie czasy.

Goście wyszli dopiero o trzeciej nad ranem. Dość długo jeszcze hałasowali w przedpokoju, wreszcie trzasnęły drzwi wejściowe.

- Nie zajrzysz do niej?
- Na pewno śpi.
- Chyba nie zamierzasz potraktować tego poważnie?
- Oczywiście, że nie. Wiesz, to całkiem sympatyczna dziewczyna, nie wiem, co w nią wstąpiło...
- To taki durnowaty wiek.

O ty krowo! Głosy oddaliły się, z głębi mieszkania dobiegał teraz stłumiony odgłos kroków, szcęk talerzy, szum piecyka gazowego. Czy ona ma zamiar tu nocować?

Jednak nie. Po jakimś czasie usłyszałam ich znów w przedpokoju, teraz mówili półgłosem, więc nie rozróżniałam

słów. Drzwi trzasnęły ponownie i zaległa cisza. Teraz tato zajrzy do mnie, zmierzymy temperaturę... Oboje udamy, że nic się nie stało, a jutro, pojutrze wszystko będzie po dawnemu.

Pewnie myśli, że śpię.

- Tato! - zawołałam cichutko.

Cisza.

- Tato!!!

Chyba jednak jest trochę obrażony... Wstałam i ostrożnie wyjrzałam z pokoju. Nigdzie nie paliło się światło, w powietrzu zawisł zapach papierosowego dymu. Drzwi do pokoju taty stały otworem, okno było uchylone. Na gładkiej politurze stołu stał wazon z różami, a obok niego dostrzegłam lśniący w ciemności przedmiot - termometr.

Po tych nieszczęsnych imieninach tato nawet mrugnięciem nie okazał, że czuje się urażony. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, nie było żadnych cichych dni, jedyną moją próbę przeprosin zbył krótko: daj spokój. Zdarzyło się jeszcze parę razy, że nie wrócił na noc, ale ich romans musiał stracić impet. Ewa zdawała sobie zapewne sprawę, że musiałyby odczekać kilka lat, aż dorosnę i wyniosę się z domu albo co najmniej minie mój „durnowaty wiek”, a kobieta po czterdziestce już czekać nie może i nie chce. Oboje zresztą byli w wieku, w którym zaczyna się z lękiem liczyć lata pozostałe do przeżycia i nie szuka się przygód, ale stabilizacji. W jaki sposób ojciec przeżył to rozczarowanie - nie wiem. W jego zachowaniu, w jego stosunku do mnie nie nastąpiła żadna zmiana, jeżeli cierpiał, to potrafił doskonale to ukryć. I chyba nie sprawiło mu to większego kłopotu, bo w moim życiu schodził na coraz dalszy plan, coraz bardziej pochłaniały mnie własne sprawy i obecność ojca, oparcie, jakie mi dawał, jego opiekę i troskę traktowałam jako coś, co mi się po prostu należy.

Dziesięć lat później przypadek sprawił, że zetknęłam się z Ewą. Moja lekarka wyjechała na urlop, czy też była chora, dość, że nie mogłam pójść do niej i z braku lepszego pomysłu poszłam do najbliższej przychodni „K”. Zarejestrowano mnie do doktor Zięby, po czym zasiadłam w kolejce przed gabinetem. Nienawidzę kolejek i właśnie dlatego wolę zapłacić za prywatną wizytę i załatwić sprawę krótko, o umówionej porze. Tym razem kolejka okazała się błogosławieństwem - po kilkunastu minutach z gabinetu wyszła Ewa. W białym kitlu, z identyfikatorem. Przeszła z wolna do recepcji, gdzie zamieniła kilka słów z rejestratorką i zawróciła. Cały czas zapatrzona pod nogi, nie spojrzała ani razu na siedzące w kolejce kobiety. W jej gęstych, równo obciętych włosach pojawiło się sporo popielatych pasemek, na serdecznym palcu prawej ręki obrączka. Gdy tylko drzwi gabinetu zamknęły się za nią, wstałam i przeczytałam tabliczkę: „doktor E. Krzemyk - Zięba”. Kimkolwiek był ów Zięba, mojemu tacie mógłby najwyżej wyczyścić buty, to pewne. Oczywiście, wyszła z gabinetu, żeby się pokazać mnie, kiedy moja karta wylądowała na jej biurku. Całe szczęście. Wizyty u ginekologa nie należą do moich ulubionych rozrywek, ale znaleźć się wobec niej w sytuacji bezbronnej, rozkraczonej pacjentki, to byłby po prostu koszmar.

Rozdział 2

Tato pozostawił po sobie idealny porządek. Podejrzenie idealny. Tak, jakby chciał, żeby wraz z jego śmiercią znikł po nim wszelki ślad pobytu na ziemi. Żadnych szpargałów, notatek, starych kalendarzy. Żadnej fotografii, prócz tej, która od zawsze stała na jego biurku i którą znałam doskonale - dziadka Andrzeja na koniu. Żadnej korespondencji, nawet zapomnianej widokówki. Zniszczyłby na pewno także ten niewysłany list, który znalazłam w kieszeni jego starej marynarki, gdyby o nim po prostu nie zapomniał. Spoczywająca w szufladzie jego biurka cienka kartonowa teczka zawierała akt własności mieszkania i dwie terminowe lokaty bankowe - wszystko na moje imię. Żadnych formalności, podatku spadkowego - po prostu brać i używać. W kuchni, w kredensie, na półce, gdzie w dawnych czasach zostawiał dla mnie pieniądze „na bieżące potrzeby”, leżał stosik banknotów - trzy tysiące. Och, tato!

Po przewrocie w osiemdziesiątym dziewiątym roku ojciec dostał wysokie państwowe odznaczenie i dodatek kombatancki - przyzwyczajony żyć skromnie nie wydawał tych pieniędzy, po prostu je składał. Dla mnie. Biorąc do ręki plik zielonych stułotówek, uświadomiłam sobie, że jestem teraz bogata. A co najmniej „dobrze sytuowana”. Mieszkanie taty to co najmniej sto tysięcy, drugie tyle w lokatach. Ciekawe, ile może być wart dom w Sanoku... To była jedyna sprawa, której tato nie dał rady załatwić, można powiedzieć, że zostawił ją rozbabraną. A skoro on nie potrafił, to i ja spodziewałam się kłopotów. Dom niezamieszany od ponad dwudziestu lat na pewno jest w złym stanie i nie da się uzyskać za niego dobrej ceny. W przeciwnym wypadku tato już dawno by go sprzedał. No cóż, był związany uczuciowo z tym domem i nie chciał sprzedać go za bezcen, bo czułby się tak, jakby wyrzucił w błoto dorobek życia swoich rodziców i

wspomnienia własnej młodości. Myślę, że odczuwał przed tym taki sam opór, jak ja przed wyrzuceniem jego rzeczy na śmietnik. A ja nie znałam swoich dziadków, dom zaledwie słabo pamiętałam z wczesnego dzieciństwa i bez zbędnych sentymentów mogę wziąć tyle, ile dadzą. Zobaczymy.

Duża, brązowa koperta zawierająca papiery domu była ciężka i grubo wypchana. Zajrzałam do niej - papiery, papiery, papiery. Ojciec kilka razy jeździł do Sanoka ożywiony nadzieją sprzedania domu i za każdym razem w kopercie przybywał aktualny wypis z rejestru gruntów księgi wieczystej, mapki, wyciąg aktu własności i korespondencja z pośrednikami. Przez lata nazbierało się tego sporo, przejrzenie tej makulatury odłożyłam na później.

A może...

W zamyśleniu gładziłam szorstki, zużyty papier koperty. Dom. Duży, piękny, otoczony sadem. Gdzieś na samym dnie mojej pamięci, jak na zetlałej kliszy utrwalił się obraz tego domu, wysokich szczytów krytych czerwoną dachówką, kwitnących drzew, różowych, kulistych kęp floksów. Musiałam wtedy być bardzo mała. No pewnie, nie miałam jeszcze pięciu lat, bo przecież byłam tam z mamą. Tato... tak, tato też tam był. Pamiętam jakieś stosy desek, skrzynię z wapnem na podwórzu... Pewnie spędziliśmy tam wakacje. Nie, to musiało być na wiosnę, skoro pamiętam kwitnący sad. Tato nigdy ze mną nie rozmawiał na temat tego domu ani na temat wydarzeń, które działy się przed odejściem mamy, i wspomnienie tamtego pobytu zatarło mi się i zbladło - ale przecież nie znikło. Teraz, kiedy o tym myślałam, w mojej pamięci jak na kliszy zanurzonej w wywoływaczu z wolna pojawiała się coraz więcej szczegółów: kręcone drewniane schody na piętro, piec z zielonych kafli, wkopany w ogrodzie żelazny, zardzewiały zbiornik na wodę, drewniany wychodek otoczony pokrzywami, które były wyższe ode mnie...

Cień pomysłu, jaki zaświtał mi w głowie, zaczął nagle żyć własnym życiem - rozrastał się, nabierał barw.

Wrocław to piękne miasto i bardzo je lubię, ale nigdy nie czułam się tu u siebie. Prawdopodobnie tak samo, jak większość mieszkańców tak zwanych Ziemi Odzyskanych. Tam byłabym u siebie. Na ziemi przodków, jakkolwiek pompatycznie by to zabrzmiało.

Mogłabym trzymać psa. Zawsze chciałam mieć psa, ale póki byłam w domu, tato się nie zgadzał, przewidując słusznie, że związane z tym obowiązki spadną w końcu na niego. A on i bez psa miał pod dostatkiem obowiązków. Kiedy znalazłam się na swoim, także musiałam wybić to sobie z głowy: jak tu trzymać zwierzę w mieszkanku cztery metry na pięć i w dodatku na siódmym piętrze wieżowca? A tam mogłabym mieć psa. Albo dwa. Albo całą sforę psów, na przykład irlandzkich seterów. Są takie piękne i mądre! Po prostu mogłabym zająć się hodowlą. Cóż z tego, że nie mam o tym pojęcia? Umiem czytać, patrzeć, słuchać, a jak trzeba, to i pisać. Wszystkiego można się nauczyć. W końcu ci, którzy się tym zajmują, też nie od razu umieli.

Uświadomiłam sobie, że nie jest to zupełnie szalony pomysł, że przecież mam teraz podstawy finansowe, żeby go zrealizować. Przecież jest jeszcze moja kawalerka, którą wynosząc się z Wrocławia, mogę sprzedać, no i mam trochę własnych oszczędności. Teraz, po śmierci ojca, nic mnie tu nie trzyma. Swoje zobowiązania mogłabym policzyć na palcach jednej ręki, a właściwie na jednym palcu: Zbyszek. Obrzydliwie banalna historia - romans księgowej z szefem firmy. Romans w rozciągającej się do niemożliwości fazie końcowej, w której nie ma już miejsca na wzajemne zachwyty, bicie serca, nawet sympatię i przywiązanie, pozostało tylko rozliczanie się z godzin spędzonych osobno. Godzin, których było coraz więcej. Już od dawna, właściwie

od początku nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia, co wcale nie znaczy, że w ogóle nie mieliśmy nic do powiedzenia. Ja na przykład mogłabym opowiedzieć mu o mamie, o rowerze i Księdze motyli, ale jakoś nie miałam ochoty. Nie jemu. Przypuszczam, że i on miał jakieś swoje tajemne nisze, do których mógłby wprowadzić kogoś bliskiego, tylko akurat nie mnie. Oboje byliśmy jedyńkami, ale jakże różnymi! Zbyszek od dzieciństwa odcinał od swego jedyńactwa kupony miłości rodzicielskiej i materialnych korzyści, ja wyniosłam jedynie zadawnioną samotność. Mimo że obracaliśmy się w tej samej przestrzeni i w tym samym czasie, nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, byliśmy osobnikami różnych ras. Pies i koza na jednym podwórku. Wychodziliśmy razem - od czasu do czasu sypialiśmy ze sobą - ale coraz rzadziej i z coraz mniejszym zapalem. Codziennie widywaliśmy się w firmie i nie mieliśmy powodu, żeby wyczekiwać spotkania czy stęsknić się za sobą. Obojgu nam dobrze zrobiłoby wyplątanie się z tego związku, ale brakowało nam pomysłu na bezbolesne zakończenie. Sęk w tym, że zakończenie nie mogło być bezbolesne: ja musiałabym szukać innej pracy, on nowej księgowej, która zgodziłaby się być jednocześnie sekretarką, kasjerką, gońcem i magazynierem i której płaciłby równie marnie, jak płacił mnie. Trwaliśmy więc zawieszeni w fazie kapciowo - telewizyjnej, on okazywał mi już tylko uprzejmość i z przyzwyczajenia trochę zaborczości, ja skrywałam ziewanie.

Tak, czas najwyższy z tym skończyć.

*

Dom, w którym mieszkałam, to dziesięciopiętrowy blok na Krzykach, standard, lichota i brud. Szkoda słów, żeby go opisywać, jest dokładnie taki sam jak tysiące dziesięciopiętrowych bloków na tysiącach osiedli w całym kraju. Kiedy się tu wprowadzałam siedem lat temu, już był

sterany, już był po przejściach. Początkowo zdarzało mi się pogubić, wejść do innego domu, do innej klatki schodowej. Długi czas nie umiałam, patrząc z zewnątrz, zlokalizować mojego okna. Później nauczyłam się drogi na pamięć, przyzwyczaiałam się do błota, wykruszonych schodków przed wejściem, gołych żarówek, obscenicznych malunków na ścianach, łoskotu windy - po prostu przestałam to wszystko zauważać. Tamtego dnia, wracając z centrum, z mieszkania taty, zatrzymałam się i ogarnęłam spojrzeniem osiedle. W zapadającym zmierzchu szarość i brzydota nabrały barwy ultramaryny, w tysiącach okien zapalały się tysiące żarówek, tysiące ludzi rozmawiało, milczało, kłóciło się, płakało, zasiadało do kolacji. Zdławiła mnie świadomość, że jestem nic nieznaczącą częścią tej plazmy zbudowanej z ciała, krwi, betonu, stali i miriad identycznych przedmiotów. A przecież sama dla siebie jestem kosmosem.

Siedem lat. Czy to nie dosyć?

Zanim otworzyłam drzwi mieszkania, poczułam zapach dymu papierosowego. W pierwszym odruchu cofnęłam się, gotowa rzucić się do ucieczki. Dopiero co podjęta decyzja jeszcze we mnie nie dojrzała do realizacji, sądziłam, że mam przed sobą wieczór, noc i poranek, żeby się w niej utwierdzić. Ale właściwie nad czym miałabym się jeszcze zastanawiać? W tym równaniu już nie było niewiadomych. Weszłam. W telewizji leciał jakiś serial, Zbyszek leżał w butach na moim tapczanie i palił.

- No nareszcie - powiedział, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Cześć.

Romantyczne powitanie kochanków. Czy ja miałam jeszcze jakieś wątpliwości? Usiadłam na krześle w pobliżu drzwi wejściowych i postawiłam u stóp reklamówką z papierami zabranymi od ojca. W ciągu minionego tygodnia

Zbyszek starał się, jak mógł, by być moją podporą w nieszczęściu: „wykonał” kilka telefonów w sprawie pogrzebu, podwiózł mnie parę razy do zakładu pogrzebowego i na cmentarz. Zamówił kwiaty. Kiedy je odbierałam, okazało się, że wpłacił tylko dziesięć procent zaliczki. Niby nic, a głupio, bo jakoś o tym nie pomyślałam, przyjechałam, że to sprawa załatwiona, i miałam przy sobie za mało gotówki. Zabrakło mi ośmiu złotych. Panienska z kwiaciarni powiedziała: „żaden problem” i wyjęła z wiązanki dwa tulipany. Dwa jedyne tulipany. Przypomniałam sobie, że tato na grobie mamy położył właśnie tulipany. Czy to były ulubione kwiaty mamy? Taty? Nie wiedziałam. Nie wiedziałam o nich tak prostych rzeczy... Nazajutrz kupiłam dwanaście białych tulipanów i zawiozłam na cmentarz.

Zbyszek wstał, podszedł do mnie i szarpnął mnie lekko za włosy. Na powitanie. Czemu wszyscy czepiają się moich włosów? Cofnęłam się.

- Jestem zmęczona - powiedziałam. - Chcę zostać sama.

- Żeby spokojnie przeliczyć szmal po tatusiu? trącił nogą stojącą u moich stóp reklamówkę.

Nie odpowiedziałam. Jak do cholery mam mu to powiedzieć? To zupełnie co innego siedzieć w tramwaju i układać sobie, co się powie, zupełnie co innego powiedzieć.

- Chcę zostać sama - powtórzyłam.

- Nie jesteś głodna?

Zupełnie zignorował to, co powiedziałam. Uświadomiłam sobie, że tak, że rzeczywiście jestem głodna.

- Bo co?

- Bo nic. Myślałem, że coś przyniesiesz, ale skoro nie przyniosłaś, możemy gdzieś skoczyć.

- Nie, nie. Naprawdę jestem zmęczona. Idź już.

- Dobra. Tylko zaraz się połóż, żebyś jutro... Nabrałam głęboko powietrza.

- Zostaw klucze.
- Jakie klucze...?
- Moje. Klucze do mojego mieszkania. Stał chwilę bez ruchu.
- Czekaj... nie rozumiem. Mam ci oddać klucze? To masz na myśli?
- Tak.
- Oszalałaś...? Ty mnie wyrzucasz?
- Och, Zbyszek! Daruj sobie ten patos! Proszę cię, nie rób scen! Sam wiesz, że to bez sensu...
- No jasne, że to bez sensu! - parsknął pogardliwie. - Już dawno to jest bez sensu, tylko mi ciebie było żal. rozumiesz?!
Skinęłam głową. Niech mu będzie. Po co miałabym mówić, że mnie też było żal jego? Czy to coś zmieni? Na pewno nie poczułby się lepiej, słysząc to, a mnie wcale nie chodziło o to, żeby go zgnoić, tylko żeby się go pozbyć.
- Nie ma sprawy - nerwowo szperał w kieszeni dzinsów, w końcu wyszarpnął z niej klucze i rzucił je na podłogę u moich stóp. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nabrawszy powietrza, prychnął tylko i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.
Na półce obok tapczanu zostały jego papierosy. Jeszcze wczoraj złapałabym je i pobiegła za nim. Wyjęłam z paczki jednego i zapaliłam. Już. Po krzyku. Nie było to miłe, ale konieczne. A miłych rzeczy przydarza się tak niewiele!
Pod tapczanem leżały klapki Zbyszka, w łazience piżama, szczoteczka do zębów, maszynka do golenia, w koszu na brudy podkoszulki, majtki... Może wypadałoby te majtki wyprać i oddać czyste? Hm. Przez moje ręce przeszło już mnóstwo poradników: "jak złapać faceta", "jak zatrzymać faceta", „jak zadowolić faceta" i tak dalej, niestety, na publikację „jak wyrzucić faceta z domu" dotąd nie natrafiłam. Prac? Nie prac?

A co to, ja pralnia jestem? Pozbierałam wszystko do nylonowej torby.

Dlaczego właściwie trzęsą mi się ręce? To wymagało cięcia i cięcie właśnie zostało dokonane. O co u diabła chodzi? Przełknęłam parę razy ślinę, żeby pozbyć się ucisku w gardle. Wyjęłam z barku butelkę wina Don Solis i nalałam sobie sporą porcję do szklanki. Jestem wolna - powiedziałam na głos i stwierdziłam, że zabrzmiało to żałośnie. Nie z powodu treści, ale drętwej artykulacji. Głos mi nawalił. Jeszcze raz: jestem wolna. Schyliłam się po leżące na podłodze klucze. O rany... to nie były moje klucze, tylko jego kluczyki do auta.

*

Nazajutrz w firmie dokonaliśmy milczącej wymiany kluczy. Reklamówkę z rzeczami Zbyszka umieściłam dyskretnie w kącie za wieszakiem. Zajrzy - dobrze, nie zajrzy - drugie dobrze. Najwyżej pani Lidzia znów się obłowi. Zabrałam się w milczeniu do pracy, on też nic nie mówił. Pokręcił się chwilę i znikł w swoim pokoju, zwanym „gabinetem szefa”. Na pewno wstydził się swojego wczorajszego zachowania, dramatycznego rzutu niewłaściwymi kluczami i braku opanowania przy zamykaniu za sobą drzwi. Zawsze dotąd dbał o swój wizerunek opanowanego, doskonale wychowanego faceta, wstawał z krzesła, kiedy wchodziłam do pokoju, otwierał przede mną drzwi auta, nie podnosił głosu, nie używał wulgaryzmów. A wczoraj emocje wzięły górę i się posypało. Wyobrażam sobie, jak straszliwie kłął, kiedy się zorientował, że nie ma kluczyków i że ma do wyboru albo wrócić po nie na górę i zepsuć efekt ostatecznego zerwania, albo zasuwać do domu na piechotę. Z Jarzębinowej na Staszica jest co najmniej pięć kilometrów, wieczorem trudno pokonać tę trasę, korzystając ze środków komunikacji zbiorowej. Jestem pewna, że wziął taksówkę i całą drogę zgrzytał zębami.

Wypełniłam parę formularzy: wniosek o urlop, wypowiedzenie, świadectwo pracy. Zapukałam do gabinetu szefa i weszłam. Przeglądał na stojąco jakieś papiery, które na mój widok odłożył.

- Teraz muszę jechać do Obornik - powiedział. - Pogadamy, jak wrócę.

Włożył papiery do teczki i sięgnął po kurtkę.

- Nie ma o czym. Po prostu to podpisz i jesteście kwita. Wziął papiery i rzuciwszy na nie okiem, niedbale położył na biurku.

- Chyba żartujesz. Tak o? Z dnia na dzień?

- To ty ustalałeś warunki umowy. Wypowiedzenie dwutygodniowe, w dowolnym terminie. Urlopu mi się nabierało więcej niż dwa tygodnie.

Umowa spisana była tak, żeby właściciel firmy mógł szybko i bez bólu pozbyć się pracownika. To, że pracownik mógł odejść równie szybko i bezboleśnie, było skutkiem ubocznym tej chytrłości. Wiedział o tym.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, jak teraz trudno o pracę. Wzruszyłam ramionami. Powiedz mi coś, o czym nie wiem - pomyślałam. Patrzył na mnie, nie kryjąc już wrogości.

- Poczulaś w kieszeni trochę kasy i wydaje ci się... Powiedz mi, ile on ci zostawił?

Powinnam to pytanie pozostawić bez odpowiedzi, ale... jeszcze czego!

- Och, myślę, że jak się wszystko zsumuje, to będzie z pół miliona - skłamałam, żeby go jeszcze bardziej wkurzyć. Przyjął to dzielnie.

- Pogadamy, jak wrócę.

- Jak wrócisz, ja już będę gdzie indziej.

Wyminął mnie bez słowa i wyszedł. Nieważne, podpisze prędzej czy później.

Poukładałam wszystkie walające się po moim biurku papiery we właściwych segregatorach, spakowałam do torby swój ręcznik, filiżankę i zapasowy sweter, który trzymałam w firmie na wypadek nagłego ochłodzenia. Właśnie nastąpiło nagłe ochłodzenie. Z korytarza jeszcze zawróciłam i przeniosłam reklamówkę z rzeczami Zbyszka do jego gabinetu. Wychodząc, zajrzałam do wzorcowni, gdzie nudziła się jedyna oprócz pani Lidzi i mnie etatowa pracownica firmy, pani Grażynka. Położyłam przed nią klucze.

- Wychodzę, pani Grażynko. Proszę oddać klucze szefowi, jak wróci.

- Dokąd pojechał? - spytała, wyjmując z szuflady powieść w bibliotecznej oprawie.

- Do Obornik.

Odchodząc „tak o, z dnia na dzień”, nie miałam najłżejszych wyrzutów sumienia. Nie dlatego, że jestem nieobowiązująca czy nieodpowiedzialna. Po prostu czerwiec w firmie handlującej materiałami szkolnymi i biurowymi to martwy sezon, który trwa aż do połowy sierpnia. Do tego czasu na moje miejsce zgłosi się kilkadziesiąt kandydatek i Zbyszek będzie mógł przebierać w nich tak długo, aż znajdzie odpowiednią. Założę się, że to nie będzie wysoka blondynka.

Znalazłszy się na ulicy, nareszcie poczułam prawdziwy powiew wolności. Zupełnie jakbym właśnie zdała maturę albo ostatnie egzaminy letniej sesji i miała w perspektywie wakacje. Na chodnikach kłębił się tłum przechodniów - mężczyźni w koszulkach z krótkim rękawem, z teczkami albo bez, kobiety w letnich sukienkach, z siatkami, torebkami, wózkami, malowniczo rozebrana młodzież. W dzień powszedni, o dziesiątej rano! Kto do cholery pracuje w tym kraju, skoro wszyscy są na ulicach? Nie miałam jeszcze ochoty wracać do domu, chciałam pobyc trochę w tym czerwcowym, porannym tłumie, nacieszyć się świeżo

odzyskaną wolnością. Przecięłam Sławkowską i poszłam w kierunku Rynku. Schodząc na pasy, wyminęłam blaszany kosz na śmieci i zawadziłam o niego reklamówką. Coś w niej trzasnęło. O, moja filiżanka. Już po niej. Nie przejęłam się tą stratą, usiadłam sobie pod parasolem „Cafe New York” i zamówiłam kawę.

Co teraz? Ułożyć plan. Moje życie tu i teraz jest nijakie i chcę je zmienić, to ustaliłam już wcześniej. Pierwszy krok właśnie zrobiłam i był to krok w dobrym kierunku. Teraz trzeba podjąć następne, żeby wynieść się z miasta, żeby odciąć się od wszystkiego, czego nie chcę dłużej znosić: ogłupiającej monotonii i bezsensu moich dotychczasowych poczynań, ciasnoty swojego mieszkania, kaszlu za ścianą, szarości. Ale najpierw muszę wyjaśnić do końca sprawę rodzinne.

Gdyby po moim ojcu pozostał wielki stos listów, fotografii, notatek, dokumentów i tak dalej, jednym słowem zwykły chłam, jaki ludzie pozostawiają po sobie, umierając - prawdopodobnie upchnęłabym wszystko do jakiejś szafy czy szuflady, odkładając przejrzenie tego „na później”, czyli na świętego Nigdy. Ale fakt, że pozostało po nim tylko jedno zdjęcie i jeden list i że ten list pozostał tylko dlatego, że tato o nim zapomniał, musiał poruszyć moją wyobraźnię. Ten list sprawił, że jak fala odbita od dalekiego brzegu powróciła do mnie niewyjaśniona sprawa choroby psychicznej mojej matki i od nowa nabrała dla mnie znaczenia. Choroby psychiczne są dziedziczne. Muszę, mam prawo wiedzieć, jak było naprawdę. Dość łatwo będzie się przekonać, czy pod wypisanym na kopercie adresem znajduje się zwykły dom, czy rację miała Lucia Kotowska i będzie to „dom wariatów”. Adres wyglądał zupełnie normalnie, ulica, numer domu, numer mieszkania. Cokolwiek mieści się pod tym adresem - zwykła kamienica czy zakład dla chorych psychicznie, na pewno znajdę kogoś, kto będzie moją mamę pamiętał. Mama zmarła osiemnaście lat

temu, ale osiemnaście lat to nie aż tak dużo. Człowiek żyje przeciętnie cztery razy dłużej.

A zatem jutro wyprawa do Poznania. Pociąg pośpieszny jedzie z Wrocławia do Poznania dwie godziny, a ulica Rybarska leży w centrum, sprawdziłam to już wcześniej na planie miasta. Jeden dzień to aż nadto, powinno mi jeszcze wystarczyć czasu na odwiedzenie grobu mamy. Jeżeli go odnajdę. Wiedziałam tylko tyle, że znajduje się na cmentarzu przy ulicy Lipowej.

Dopiero w autobusie zorientowałam się, że moja reklamówka została pod stolikiem w Cafe New York. O cholera. Co w niej było? Stary sweter, brudny ręcznik i stłuczona filiżanka. Zagadka dla szczęśliwego znalazcy.

*

Z dworca pojechałam taksówką. Nie dlatego, żebym się obawiała, że się zgubię. Dworzec w Poznaniu jest dość daleko od centrum, a ja czułam, że dzień będzie długi i męczący, i chciałam oszczędzać nogi. Po niespełna dwudziestu minutach jazdy kierowca wskazał mi przeciwną stronę szerokiej, ruchliwej ulicy.

- To tam. Przejdzie pani czy mam objechać?

Zapłaciłam i wysiadłam. Rybarska dwadzieścia siedem, dwadzieścia pięć... O, do jasnej cholery... chyba mam pecha. Dom, który powinien mieć numer dwadzieścia trzy, osłonięty był z góry na dół zieloną, półprzejrzystą tkaniną, rozpiętą na rusztowaniach. Przeszłam dalej i odczytałam numer kamienicy następnej w szeregu: dwadzieścia jeden. Zawróciłam. Może to tylko remont elewacji? Niestety. Umieszczona tuż nad ogrodzeniem żółta tablica informowała, że jest to budowa, że inwestorem jest firma Balio - Polska, a wznoszonym obiektem - biurowiec. Że zaprojektowany został przez firmę Architron, a wykonawcą jest firma Complex - Budinstal z Kościana. I jeszcze adresy, telefony... Cóż mi z tego?

Ostrożnie uchyliłam wąską furtkę w ogrodzeniu i znalazłam się na terenie budowy. Na osłoniętym zieloną tkaniną rusztowaniu, mniej więcej na wysokości pierwszego piętra dostrzegłam pracującego robotnika.

- Przepraszam pana...! Czy jest pan Grzelak?

Pan Grzelak to był kierownik budowy, jeśli wierzyć informacjom wyszczególnionym na żółtej tablicy.

- Teraz szef jest w zarządzie, będzie o drugiej. Pani z firmy projektowej?

- Och nie, skąd. Ja tylko... chciałam wiedzieć, co tutaj było przedtem.

- Przedtem...?

Zdawało mi się, że wyraziłam się jasno, ale facet najwyraźniej zbaraniał.

- No, zanim zaczęła się budowa. Co tutaj było. Dom?

- Aha, przedtem. Nie, nic nie było. Plac.

- Ale przecież coś musiało być. Kamienica albo dom... Ugryzłam się w język i nie powiedziałam „dom wariatów”, bo pewnie wzięłby mnie samą za wariatkę.

- Pewnie coś było. Może szef będzie wiedział? - zapytał sam siebie i pokręcił przecząco głową. - Nie, to jest firma z Kościana.

- Aha. A kto by mógł wiedzieć?

- No... ktoś stąd, z Poznania. O drugiej ma być architekt na nadzorze, on będzie wiedział.

Super. Podziękowałam i wycofałam się. Do drugiej jeszcze mnóstwo czasu, powinnam spokojnie zdążyć obrócić na cmentarz i z powrotem na Rybarską. Żeby tylko nie okazało się, że ten architekt jest na przykład z Kielc...

Skinęłam na taksówkę. Właściwie znałam tylko nazwę cmentarza i pamiętałam, że grób znajduje się dosyć daleko od głównej bramy. I że naprzeciw wejścia jest albo była kwiaciarnia, w której osiemnaście lat temu tato kupił białe

tulipany. Teraz przyszło mi nagle do głowy, że tato wiedział o tej kwiaciarni, inaczej kupiłby kwiaty wcześniej. Jeszcze we Wrocławiu albo w pobliżu dworca. Może zapytałby kogoś o najbliższą kwiaciarnię. Ale nie pytał, pamiętałam, że nie. Na pewno zaraz po wyjściu z dworca wsiedliśmy do taksówki i pojechaliśmy prosto na cmentarz. Znał Poznań. Może mieszkał tu jakiś czas po wojnie, a raczej po wyjściu z więzienia? Albo przyjeżdżał do mamy. Tak, to prawdopodobne. Podróż trwała dawniej z pewnością nieco dłużej niż dziś, ale nie więcej niż trzy, cztery godziny. Mógł tu bywać, nie wzbudzając moich podejrzeń - wyjechać z Wrocławia za dnia, spędzić tu kilka godzin i wrócić przed wieczorem.

Nigdy nie byłam na grobie mamy - w dniu Wszystkich Świętych zapalałam za mamę świeczkę pod figurą Matki Boskiej Bolesnej na cmentarzu Centralnym, podobnie jak ci, których bliscy spoczęli na cmentarzach we Lwowie i w Wilnie, jak ci, którzy stracili bliskich w Katyniu, Ostaszkowie i Starobielsku.

Bardzo możliwe, że nie zdołam odnaleźć grobu mamy.

Kwiaciarnia była na swoim miejscu. Kupiłam białe tulipany i przeciąwszy ulicę, weszłam do biura zarządu cmentarza. Na szczęście sprawa okazała się więcej niż prosta - wystarczyło podać imię, nazwisko i przybliżoną datę pogrzebu, i już uśmiechnięta urzędniczka podawała mi kserokopię planu cmentarza z precyzyjnie naniesionymi współrzędnymi. Pomyślałam z tęsknotą, że w żadnym innym mieście w tym kraju nie byłoby to aż tak proste. A przecież było proste.

- Grób został opłacony na dwadzieścia lat - powiedziała. - Jeżeli zechce pani przedłużyć...

- Oczywiście. Nie wiem tylko, czy mam przy sobie dość pieniędzy.

- Ależ nie w tej chwili. Proszę to wypełnić i wpłacić w banku albo na poczcie w ciągu dwóch lat.

Przemierzając schludne alejki, odczuwałam coś w rodzaju tremy. A jeżeli ten grób okaże się zaniedbany, zapadnięty...? Wstyd. Powinnam była przyjeżdżać tu regularnie, przynajmniej raz w roku, a mnie dotąd nawet to nie przyszło do głowy. To sprawa zadawnionej, dziecinnej pretensji do mamy, że mnie porzuciła, wina taty, który mówić o mamie nie chciał i w ogóle zachowywał się tak, jakby ona nigdy nie istniała.

Jest. Lśniący prostokąt wypolerowanego czarnego granitu. Praktyczny. Takiego grobu zaniedbać się po prostu nie da. U góry płyty wyżłobiony mały krzyżyk, poniżej napis: Anna z Jazłowskich Sawicka 1937 - 1978. I to wszystko. Ani skrawka miejsca na kwiaty czy znicz, żadnego „śp.” czy „RIP”, żadnego z tych żalonych, ciepłych znaków, które są świadectwem bliskości łączącej z kimś za życia, czyjegoś żalu po śmierci.

Mama oprócz nas, taty i mnie, nie miała tu, w kraju, nikogo. Z całej rodziny Jazłowskich tylko moja babcia z dziewięcioletnią wówczas mamą wyjechały po wojnie ze Lwowa. Dziadek zaginął w czterdziestym piątym roku i jego ciała nigdy nie odnaleziono. Cała reszta rodziny utkwiała za kordonem na dobre: brat dziadka pozostał, by strzec rachitycznej sosenki, którą zasadził w podwórzu domu przy ulicy Krótkiej w miejscu, gdzie zakopał garnuszek złotych świnek; siostra nie chciała porzucić pięknej willi z ogrodem w Chodorowie, siostra babci trzypokojowego mieszkania przy Lwowskich Dzieci, mieszkania, w którym prócz antycznych mebli i mnóstwa obrazów znajdowały się dwa fortepiany. Teodora Grzymecka była przed wojną znaną pianistką, uczyła w klasie fortepianu w lwowskim konserwatorium, za męża nie wyszła, dzieci nie miała. Całe to towarzystwo rodziło się

gdzieś na przełomie wieków i mało prawdopodobne, żeby ktoś z nich jeszcze pozostawał przy życiu. Wszyscy oni prędzej czy później pożałowali decyzji pozostania na miejscu i strzeżenia dorobku - willę w Chodorowie znacjonalizowano i urządzono w niej kolchozowy skup mleka czy coś w tym rodzaju, do mieszkania cioci Grzymeckiej dokwaterowano dwie rodziny, skutkiem czego wyładowała z całym garniturem mebli i dwoma fortepianami w najmniejszym pokoju. Jedyne los sosenki w podwórzu przy Krótkiej pozostał nieznany. Przypuszczam, że ani stryj Jazłowski, ani jego potomkowie nie znaleźli sposobności, by garnuszek wykopać; mogli jedynie patrzeć, jak sosenka rośnie. Wszelkie informacje o tej rodzinie musiały pochodzić od mamy i trochę to dziwne, że tato opowiadał mi o nich bez oporu, nawet chętnie i z humorem. Widocznie omerta ciążyła tylko na sprawach dotyczących osoby mamy.

Przykucnęłam i położyłam dłonie na gładkiej powierzchni kamienia oddzielającego jej tajemnicę od świata żywych. Tak niewiele o niej wiedziałam! Tylko tyle że była piękna i że mnie kochała. Do końca.

Przez moje dłonie do serca popłynął chłód, przeczucie wielkiej samotności i wielkiego cierpienia. Mamo... gruba kropla spadła i rozplynęła się w wyłobieniu litery „A”. Nie płakałam ani na wiadomość o jej śmierci, ani na jej pogrzebie. Nie miałam powodów, żeby płakać, bo jej śmierć niczego w moim życiu nie zmieniła. W chwilach kiedy myślałam o niej, myślałam właściwie o sobie - ona mnie porzuciła, nie kocha mnie, nie chce mnie widzieć. Teraz byłam dorosła i samotna - zdolna zrozumieć zawłość, jakich nie jest w stanie pojąć umysł dziecka ani zapatrzonej w koniec własnego nosa nastolatki; te wszystkie trudne sprawy, których ludzie dojrzaali nawet nie próbują tłumaczyć dzieciom, bo wiedzą, że to bez celu - kiedy dorosną, doświadczą tego na sobie. Nadal nie

rozumiałam, ale już nie dlatego, że nie mogłabym zrozumieć. Brakowało mi klucza. Zresztą to nie zrozumienie jest tu najważniejsze, ale współodczuwanie. Być może tato także nie rozumiał, ale czuł jej cierpienie, sam cierpiał. Wtedy płakał. Ja płakałam dopiero teraz.

*

Taksówka wlokła się niemiłosiernie, utykając co chwila w gęstym strumieniu aut. Było już wpół do trzeciej i powoli traciłam nadzieję na złapanie na budowie architekta. Do licha, powinnam była wziąć poprawkę na godziny szczytu i nie marudzić tak długo na cmentarzu. Kiedy za kwadrans trzecia zziębła wsunęłam się przez wąską furteczkę, mój znajomy sprzed paru godzin tkwił na rusztowaniu dokładnie w tym samym miejscu.

- Jeszcze są - poinformował mnie przyjaźnie.

- Pan wie, jak się nazywa ten architekt?

- Inżynier Kłyś. Siedzą w sali na dole, na lewo od schodów. Wejście od tyłu.

Obeszłam budynek i przez tylne drzwi dostałam się do środka. Znalazłam się na półpodeście - na górę prowadziły szerokie, wykładane bazaltem schody, na dół wąskie, cementowe. Zbiegłam na dół. Był tu wąski korytarz i kilka pomieszczeń po obu jego stronach, drzwi jeszcze nie założono i przez otwory wpadało światło. Panowała zupełna cisza. Chyba nikogo tu nie ma... Niepewnie weszłam do jednego z pomieszczeń. Wąskie, czyściutkie, cementowa podłoga, wybiałkowane ściany. Pod sufitem małe, uchylone okienko, przez które wpadał ciepły powiew przeciągu.

Nagle doznałam tak silnego deja vu, że zakreśliło mi się w głowie. Bezwładnie oparłam się o ścianę.

- O, zabłądziła pani. - Przede mną stał mój znajomy z rusztowania, trochę zakłopotany.

- Chyba tak.

- Oni są na parterze, to chciałem powiedzieć. Zaprowadzę panią.

Idąc za nim po szerokich, bazaltowych schodach pomyślałam, że firma Balio - Polska jest bardzo bogata, a przynajmniej chce sprawiać takie wrażenie. Na parterze, w dużym, otynkowanym pomieszczeniu, także wyłożonym bazaltowymi płytami, stał prymitywny stół na kozłach, na nim zaś miły swojski akcent: puszka po pasztecie mazowieckim wypełniona po brzegiętami. Jeden z dwóch siedzących przy stole mężczyzn, starszy i szczuplejszy, pisał coś w grubej księdze, drugi, młody, tęgawy, patrzył z szacunkiem na koniec jego pióra. Nie trzeba było oglądać Czterdziestolatka, żeby od razu odgadnąć, kto jest kim.

- Ta pani do pana inżyniera Kłysia - zaanonsował mnie mój znajomy i zmył się, zanim zdążyłam mu podziękować.

Podeszłam do stołu.

- Sawicka - przedstawiłam się. Architekt wstał i krótko uścisnął mi rękę.

- Kłysz - nawet na mnie nie spojrział. - Za moment służę. Pani z konserwacji?

Skojarzyło mi się to natychmiast z puszką po pasztecie i stłumiłam nerwowy chichot.

- Nie, prywatnie.

Dopiero teraz na mnie popatrzył. Może trochę dłużej niż lubię, żeby na mnie patrzono. Złożył zamaszysty podpis pod swoim elaboratem, przybił pieczętkę i wstał.

- I proszę tego dopilnować - stuknął palcem w księgę i spojrział surowo na grubasa, który, choć dwa razy większy od niego, wydawał się jakiś malutki.

Kłysz obszedł stół i uśmiechnął się do mnie - zupełnie inny człowiek.

- My się znamy? - zapytał.

Nie było w tym pytaniu niczego niegrzecznego - po prostu miły starszy pan, który zna bardzo wielu ludzi. Uśmiechnęłam się także.

- Teraz już tak. Interesuje mnie ten dom, ten budynek.

- W jakim sensie? Chce pani go kupić?

Zaśmiałam się. Ujął mnie pod łokieć i skierowaliśmy się do wyjścia.

- Chciałabym się czegoś o tym domu dowiedzieć... a właściwie o domu, który tu był przedtem. Zanim zaczęła się budowa. Ktoś z mojej rodziny mieszkał pod tym adresem zaraz po wojnie i przyjechałam specjalnie, żeby ten dom obejrzeć, a tu...

Było to bardzo chytre kłamstwo. Nawet jeśli przez wiele lat mieścił się tu zakład psychiatryczny, to tuż po wojnie wszystko było możliwe.

- A, to się pani spóźniła co najmniej osiemnaście lat.

- O... osiemnaście...? - Zająknęłam się zaskoczona.

- Tyle mniej więcej lat upłynęło od czasu, kiedy tamten dom został rozebrany. - Przepuścił mnie przez furteczkę na ulicę. - Miałem w planie łyknąć kawę tu, zaraz, pod parasolem...

Skinęłam głową i poszliśmy razem chodnikiem.

- Jaki to był dom? Są może jakieś rysunki?

- Oczywiście, że są. Był dokładnie taki sam jak ten, który się buduje. To znaczy ten jest taki sam jak tamten. Cały ten kwartał jest pod opieką konserwatorską, dlatego tak długo to trwało.

Oczywiście, bardzo proste. Niby mówił po polsku, ale równie dobrze mógł mówić na przykład po węgiersku. Kupiliśmy sobie po kawie i usiedliśmy pod parasolem. Oczekałam, aż popatrzy na mnie, i obdarzyłam go moim dobrze wyćwiczonym uśmiechem blondynki.

- Co to jest opieka konserwatorska?

- Och... to znaczy, że nad budynkiem czuwa konserwator zabytków. W tym wypadku nad całym kwartałem budynków i układem urbanistycznym.

Nie ma co, wytłumaczył, że masło to masło. Przywołałam na twarz wyraz zagubienia. To jedyny sposób, żeby skłonić go do przejścia na normalny, ludzki język, bez dodatkowych pytań.

- Po prostu nie wolno było zbudować w tym miejscu niczego innego, niż było przedtem. Nakaz konserwatora.

- Ach, rozumiem. Więc przedtem był tam biurowiec.

Teraz z kolei na jego twarzy odbiło się zagubienie. Chyba uwierzył we wszystkie dowcipy o blondynkach.

- Nie, nie... tam stała zwykła kamienica, dom mieszkalny. Nakaz konserwatorski dotyczy samej substancji budowlanej, formy. Funkcję można zmienić.

- Dlaczego rozebrano tamtą kamienicę? - spytałam szybko, żeby nie dopuścić do zbyt szczegółowego wykładu.

- Bo wyleciała w powietrze. W swoim czasie to było głośne... pani nie jest z Poznania?

- Nie, przyjechałam z Wrocławia... Jak to - wyleciała w powietrze...?

- Gaz. Wyrwało dach, kawał elewacji, popękały stropy. Został naruszony układ konstrukcyjny budynku i nie można go już było remontować, więc poszedł do rozbiórki.

- Czy... ustalono przyczynę tego... wypadku?

- Pewnie tak. Chociaż... wie pani, jak to jest z gazem. Ktoś zapomniał zgasić albo komuś odbiło i odkręcił kurek. A potem wystarczy nacisnąć kontakt - i fa - fu...! Dobrze się pani czuje?

Nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Musiałam zzielenieć, bo najwyraźniej zaniepokoił się.

- Przyniosę pani koniak. - Zanim zdążyłam zaprotestować, poleciał do baru. Po chwili wrócił z lampką

koniaku i postawił przede mną. Sięgnęłam do torebki, ale pokręcił głową. - Proszę to wypić. Chyba że pani jest autem.

Wypiłam spory łyk.

- Dziękuję. To ten upał - szepnęłam, przychodząc z wolna do siebie. - Pan wie, kiedy to się stało? Dokładnie?

- Mogę pani podać datę, jeśli pani chce.

Wstał, przelazł przez niski wiklinowy płotek okalający stoliki i kilkanaście metrów dalej zanurkował w zaparkowanym przy chodniku samochodzie. Po chwili wrócił ze sporym zeszytem formatu A4 i zaczął przewracać w nim kartki.

- Dwudziestego czerwca siedemdziesiąt osiem - powiedział w końcu.

Miałam stuprocentową pewność, że to nie był żaden wypadek, że to moja mamusia zrobiła fa - fu.

Oczywiście mogłam zdobyć o wiele więcej informacji o tamtym wybuchu w czytelnicy czasopism albo na policji. Czy było więcej ofiar? Och, na pewno. Trzypiętrowa kamienica, przy ruchliwej ulicy... Chryste. Po prostu nie chciałam wiedzieć. Już to, co wiedziałam, dostatecznie mnie przerażało. Jak można zrobić coś takiego? Na pewno nie chciała zabić nikogo innego prócz siebie! Nie mogła być zdrowa, normalna. Zdrowi, normalni ludzie nie odkręcają gazu. Powinna była pozostawać w zakładzie, ktoś powinien jej pilnować, patrzeć na ręce, nie dopuścić... Wiedziałam dobrze, że ona przyszła do mnie po swojej śmierci. Nigdy nikomu tego nie powiedziałam i nigdy nie odważę się powiedzieć, ale przecież ja o tym wiem. Kim ona była? Kim ja jestem? Choroby umysłowe są dziedziczne. To prawda powszechnie znana i tato też o tym wiedział. Wychowywał mnie samotnie, obserwując z niepokojem, usiłując utrzymać na prostej drodze, pielęgnując wszelkie aspekty normalności naszego życia. Życia, które przez nieobecność matki i tak nie było do końca

normalne. Zaprzeczając jej szaleństwu, kłamał. Kłamał, żeby chronić mnie przed innymi i przed sobą samą. Nie chciał, żebym tropiła w sobie objawy choroby, żebym jakiegokolwiek własnego nieszablonowego zachowania czy odstępstwa od powszechnie przyjętych norm nie tłumaczyła sobie psychiczną dewiacją. I udało mu się na długo. Do dziś. Och, tato! Zawsze cię kochałam, a teraz, kiedy już wiem, że przez te wszystkie lata okłamywałeś mnie - Kocham cię za to jeszcze mocniej, jeśli to w ogóle możliwe.

Z Poznania wróciłam bardzo późno i podobnie jak tamtej nocy przed osiemnastu laty, długo nie mogłam zasnąć. To zdawało mi się, że wciąż jeszcze jadę pociągiem, to znów ukazywał mi się obraz rozświetlonego, pełnego kwiatów cementarza. I gruba płyta z czarnego granitu z wyrytą ogromną literą „A”. Gdzie się podziała reszta liter? Przecież powinno być ich więcej... szukałam, wodząc dłońmi po gładkiej powierzchni kamienia. Gdzieś tu muszą być... jest, jeszcze „N”. Próbowałam ułożyć litery we właściwej kolejności, ale ona nie chciała mi na to pozwolić. Zrozumiałam, że ona chce, żebym ułożyła swoje imię. Nie, mam, proszę, już było zbyt wiele niewinnych ofiar...! Przecież jestem taka młoda, mam jeszcze tyle do zrobienia... Żeby tylko nie zmusiła mnie do pójścia dalej...

Księga motyli leżała na cementowej posadzce piwnicy. Leżała jak człowiek, który upadł na twarz - zgniecionym wachlarzem poślizgniętych kartek w dół, wśród tęczy okruchów podeptanych kuli - bambuli. Schyliłam się i wyciągnęłam rękę, żeby ją podnieść, i nagle zastygłam przestraszona: a jeżeli tam w ogóle nie ma motyli? Cofnęłam się i spojrzałam na ścianę - nie było nieba, chmur, krajobrazów. Była tylko brudna, poznaczona zaciekami i smugami pajęczyn ściana, w której tkwiły samotnie dwa zardzewiałe haki. .

*

Nie powinnam była jeździć do Poznania. Mimo że tato kłamał, mądrzej było mu wierzyć i być posłuszną nawet po jego śmierci. Zniszczyć list, tak jak on sam by go zniszczył, zapomnieć adresu. Nie szukać. Nie węszyć. Nie wiedzieć. Niektórzy twierdzą, że lepiej znać najgorszą prawdę, niż trwać w niepewności. Bzdura, a ja się o tym przekonałam za późno. Cóż miałam teraz począć z tą prawdą?

Siedziałam w klitce na siódmym piętrze wieżowca i z natężeniem badałam twarz patrzącą na mnie z lustra, oglądałam dłonie, szperałam w mózgu, tropiąc odchyły. Szukajcie, a znajdziecie. Czy widziałam mamę po jej śmierci dlatego, że ona do mnie przyszła, czy raczej mój chory mózg sam wytworzył jej obraz? A może jedno i drugie? Niematerialny tunel pomiędzy jej jaźnią i moją, w wymiarze niedostępnym ludzkim zmysłom, ale bez wątplenia istniejący. Nie miałam wątpliwości, że każdy psychiatra zatarłby ręce, gdybym mu o tym opowiedziała z pełnym przekonaniem tak charakterystycznym dla obłąkanych. A ten rower? Całe szczęście, że ktoś go w końcu ukradł, może już więcej go nie zobaczę.

Jakoś nie chciało mi się wyjść po zakupy, zapomniałam o myciu, czesaniu, jedzeniu. Bałam się spać - przecież ona we śnie wołała mnie, czy też chciała ode mnie czegoś, a ja nie mogłam zrozumieć czego. Lepiej nie rozumieć. Lepiej nie spać. Przysypiałam przy stole, siedząc na sedesie, czasem przy oknie z czołem opartym o parapet.

Nie wiem, jak długo to trwało - tydzień, trzy dni? Pięć? Z letargu wyrwał mnie dzwonek telefonu. Obojętne, kto dzwonił i z którego świata - nie miałam zamiaru odbierać. Próbowałam wyciągnąć wtyczkę z gniazdka, ale ona jakoś się zapiekła i nie chciała wyjść. Szarpiąc się z nią, oderwałam od ściany całe gniazdko, ale kabel trzymał się mocno i telefon dzwonił dalej.

Pokonana oporem martwej materii podniosłam w końcu słuchawkę.

- Tak - wychrypiałam.

- Monika...? Zaskoczenie w głosie Zbyszka sprawiło, że uświadomiłam sobie, jak brzydko, ochryple zabrzmiał mój głos. Nic dziwnego, od powrotu z Poznania nie wypowiedziałam ani jednego słowa. Odchrząknęłam.

- Monika, Monika. Kto umarł?

Ale dowcip. Stłumiłam histeryczny chichot.

- Jeszcze nikt. Ale to kwestia godzin - mamy kontrolę skarbową.

- Mamy? Mnie już tam nie ma, Zbyszek.

- Owszem, jesteś. Co najmniej do lipca. Zresztą zostawiłaś taki burdel w papierach...

- Papiery są w porządku!

- Nieważne, zaraz po ciebie przyjeżdżam.

Chlast, odłożył słuchawkę. Totalna klęska. Oczywiście, że papiery są w porządku, o to się nie obawiałam. Zbyszek na pewno sam je skotłował po moim odejściu, urzędując od przypadku do przypadku, a potem szukając dokumentów dla kontrolera. Muszę tam być, bo kontrola przecież dotyczy moich poczynań. Stałam jeszcze chwilę jak kołek, po raz pierwszy od wielu dni patrząc mniej więcej przytomnie na bezład, jakim się otoczyłam. Potem, jakby ktoś podciął mnie batem, ruszyłam do łazienki. Natrysk. Mycie głowy. To nic, że będę miała mokre włosy, lepsze mokre niż brudne. Przestraszyłam się własnej twarzy w lustrze. Co ja ze sobą zrobiłam? Napięta, blada skóra, oczy jak dwie dziury do piekła. Nieważne, szybciej, bo trzeba trochę sprzątnąć w mieszkaniu, zanim Zbyszek tu dotrze... och, zrobiłam bajzel, owszem, ale nie w papierach, tylko w swoim życiu.

Lepiej się ubrać i zejść na dół, żeby Zbyszek nie zobaczył tego bałaganu - brudne kubki, talerze z jakimiś zaskorupiałymi

resztkami, rozbebeszona pościel, byle jak rozrzucone ubrania. Jakimś cudem w szafie była czysta bluzka, bawełniane spodnie. Uff. Wypadłam z mieszkania jak pocisk, dosłownie w ostatniej chwili - Zbyszek właśnie wychodził z windy. Miałam nadzieję, że nie zdążył rzucić okiem do środka, zanim zatrzasnęłam drzwi.

Kontrola skarbową okazała się starszą kobietą, która pod biurkiem zsunęła pantofle z opuchniętych stóp. Papiery spod moich rąk dosłownie sfruwały jej przed nos, a ona błyskawicznie wprowadzała do kalkulatora szeregi cyfr. Poszłoby jeszcze gładziej, gdyby Zbyszek wcześniej jej nie wkurzył, wyklócając się o jakieś pierdoły. Kiedy zabrała się w końcu do pisania raportu, zeszałam do wzorcowni, wzięłam z szuflady pani Grażynki klucze i z pancерnej gabloty wyjęłam piękny, gruby notatnik oprawiony w skórę (77,90) i pióro Parker ze złotą skuwką (290,00). Umiarkowana cena za co najmniej trzy lata spokoju. Włożyłam te skarby do firmowej reklamówki, którą wcześniej przewróciłam na lewą stronę, i wróciwszy do pokoju, położyłam na teczce babinki.

- Proszę to natychmiast zabrać! To niedopuszczalne...

- Ależ to zupełny drobiazg, naprawdę. Zerknęła do reklamówki.

- Och, miła pani, to naprawdę niepotrzebne...

- Wiem, ale czasem może się przydać. Jak nie ma pomysłu na prezent.

Bez słowa wróciła do swego raportu.

Po jej wyjściu Zbyszek wychynął zza drzwi gabinetu.

- Naprawdę po wszystkim?

- Prawie. Za parę dni podjedź do skarbowki podpisać raport i wziąć kopię.

- Jesteś genialna. Co jej dałaś?

- Parkera i ten notatnik za siedemdziesiąt osiem. I tak byś go nie sprzedał. No, ruszam.

- Czekaj... - Patrzył na mnie z jakąś dawno zapomnianą przez nas obojętnością, a może to była litość? - Zabieram cię na obiad.

- Och, miły panie, to naprawdę niepotrzebne. Zachichotał.

- Żadnych wykrętów. Przecież nie musimy zostać na resztę życia wrogami tylko dlatego, że zerwaliśmy ze sobą.

To ja zerwałam, palancie. Ale obiadek... czemu nie? Mogłabym zjeść na przykład kotlet schabowy. Albo lepiej pieczonego indyka. Całego.

I w ten sposób Zbyszek (współ z kontrolą skarbową) uratował mi życie. No, może to przesada, w każdym razie wytrącił mnie z tego somnambulicznego stanu, w jakim wtedy ugrzęzłam. Nie wiadomo, jak długo mogło to trwać ani jak by się skończyło. On był zupełnie pewny, że to depresja w następstwie naszego rozstania, a ja nie wyprowadzałam go z błędu. Niech sobie myśli, co chce, grunt, że mnie przywrócił do rzeczywistości, a to sprawiło, że zrobiłam wokół siebie porządek.

Rozdział 3

Dwa dni zabrało mi sprzątanie. Wymyłam swoje jedyne okno, wyszorowałam łazienkę, wszystkie podłogi, wypolerowałam meble. Wyprałam brudy. Rozmroziłam lodówkę. Zmieniłam pościel. Praca była mordercza, ale stanowiła dla mnie błogosławieństwo. Już nie siedziałam na tyłku, oczekując, aż mnie odwiozą do czubków. Będzie, co ma być, a ja muszę żyć na tyle normalnie, na ile się da. Po zakończeniu porządków pojechałam do centrum i nakupiłam sobie wielką torbę ciuchów, w większości takich, o jakich dawniej mogłam tylko pomarzyć. I nowy plecak. I cyfrowy aparat fotograficzny. I nowy ekspres do kawy. Postanowiłam te wszystkie pieniądze, które tato zostawił mi w gotówce, wydać na siebie. Na podniesienie standardu mojego życia i na poprawienie image'u. Po półtorej godzinie tego szaleństwa byłam zmachana jak pies i musiałam przestać, bo nie mogłam już unieść zakupów, a i tak nie udało mi się wydać wszystkiego. Doszłam do wniosku, że wydawanie pieniędzy jest równie męczące, jak ich zarabianie, ale za to efektywniejsze. Żeby zarobić tyle, ile wydałam w ciągu półtorej godziny, musiałabym pracować dwieście godzin. Pani Lidzia pięćset. Prezydent RP szesnaście. Nawet prezes banku musiałby tyrać co najmniej trzy godziny. Mój mózg czynił te przeliczenia sam z siebie, bez zachęty, nawykowo. Taka rachunkowa nerwica natręctw, choroba często występująca u księgowych.

Wzięłam do domu taksówkę. Jednak nowe ciuchy to doskonałe lekarstwo na stres. Może same z siebie nie postawią człowieka na nogi, ale bez wątpienia wspomagają terapię. Cały wieczór przymierzałam koszulki, swetry, sukienki, spodnie. Nie pozwoliłam sobie ani na chwilę przysiąść z opuszczonymi rękoma. O północy nakazałam sobie: teraz

spać, a rano czas najwyższy powrócić do swoich planów. Niby dlaczego miałabym je zmieniać?

Zabierając się nazajutrz do przejrzenia zawartości szarej koperty, zastosowałam najprostszą metodę: chwyciłam ją za róg i wytrząsnęłam wszystko na stół. Z brzękiem wypadł z niej ciężki, żelazny klucz, za nim wyjechała sterta papierów. Zajrzałam do środka, żeby sprawdzić, czy to już wszystko. Nie. Na samym spodzie jeszcze coś było. Jakiś papier, który w miarę jak tato dopychał kolejne dokumenty, zgniatał się i zwijał, aż zmienił się w harmonijkę. Wyjęłam go ostrożnie i rozprostowałam - był to mały arkusik kratkowanego papieru, kartka przed wielu laty wyrwana ze szkolnego zeszytu. Pożółkła i krucha. Drogi Stachu... jeszcze jeden zapomniany list. O, nie! Muszę go natychmiast zniszczyć, podrzeć, zgnieść i wyrzucić, a najlepiej spuścić w klozecie. Inaczej znowu dowiem się czegoś straszego...

Moje palce zamiast posłuchać głosu rozsądku cały czas delikatnie rozprostowywały arkusik. A jeżeli to jest list od mamy? No cóż, w takim razie lepiej byłoby go nie czytać. Uświadomiłam sobie, że nie znam jej pisma, nigdy go nie widziałam. Może tylko rzucić okiem na podpis? Ostrożnie odwróciłam kartkę i przeczytałam podpis u dołu : Henryk. Phi... jakiś taty kolega z dawnych czasów. Co takiego mógł napisać? Że spędza wczasy w Ciechocinku i mile wspomina ostatnie spotkanie z tatą albo że przyjeżdża do Wrocławia i chętnie wpadnie na szachy. Ciekawe, kiedy napisał ten list...

Sanok, 16.IX.71.

Sanok! Przecież ja się właśnie wybieram do Sanoka. Może to było wtedy, kiedy byliśmy tam wszyscy na wakacjach?

Babska ciekawość to potworna siła. Wbrew rozsądkowi, z pełną świadomością, że mogę się znów dowiedzieć czegoś, czego bym wiedzieć nie chciała, pochyliłam się nad listem.

Drogi Stachu,

Po Twoim ostatnim pobycie w Sanoku zaszły pewne istotne okoliczności, które sprawiły, że zdecydowałem się nie czekać na Twój ponowny tu przyjazd, lecz pisać do Ciebie natychmiast. Jak dotąd trzykrotnie rozmawiałem z Anią - zgodnie z Twoją sugestią nie ujawniając jej mojej profesji - i śpieszę upewnić Cię, że jest ona zupełnie zdrową. To, co z Twojego opisu wziąłem początkowo za objaw schizofrenii, jest moim zdaniem jedynie skutkiem nadwrażliwości. Zapewne słyszała od Ciebie wszystko na temat tragedii, jaka się w tym nieszczęsnym domu rozegrała pod koniec wojny, a pobyt tutaj wywołał w jej umyśle coś w rodzaju projekcji tamtych wydarzeń. Może to nie jest zgodne ze zdobyczami nowoczesnej psychiatrii, ale moja diagnoza brzmi: szkodzi jej pobyt w tym domu. Weź pod uwagę, że z czasem to mogłoby się odbić na dziecku. Już teraz Monisia okazuje niezwykłą w tym wieku nerwowość. Na Twoim miejscu zrezygnowałbym z projektu przeniesienia tu na stałe całej rodziny. Być może nie doradzałbym Ci tego tak stanowczo, gdyby Ania nie zaniepokoiła mnie nie na żarty - dziś powiedziała mi, że w ogrodzie jest ktoś zakopany. Ktoś, kto został zastrzelony. Nie potrafi powiedzieć, skąd o tym wie, ale jest tego zupełnie pewna. Pytanie, czy Ty o tym wiesz? Czy mówiłeś jej coś na ten temat? Ona chce rozkopać to miejsce i to skłania mnie do natychmiastowego wezwania Cię do przyjazdu. Pół biedy, jeżeli tam jest zakopany jakiś Niemiec, ale jeżeli to ubek, kabewista albo nawet sowiecki żołnierz? Przy Twojej przeszłości to już nie kłopoty, to klęska. Musisz jej to jak najszybciej wyperswadować. Postaram się ją odwieść od tego pomysłu, ale sam wiesz, że jest ona upartą i skutek moich perswazji może być nikły. Mam nadzieję, że nie zlekceważysz mojego ostrzeżenia i zjawisz się tu w możliwie najkrótszym czasie. Zatem do rychłego zobaczenia - Henryk.

No i proszę...

Mama była zdrowa. "jest ona zupełnie zdrową" - napisał ten Henryk. Psychiatra, bez wątpienia. Czyż to nie bezcenna informacja? Całe szczęście, że jednak przeczytałam ten list! Moja dotychczasowa pewność, że to ona odkręciła gaz, zaczęła się chwiać. Mama mieszkała w mieszkaniu numer sześć, a z rysunków, które pokazał mi inżynier Kłyś, wynikało, że mieszkań na każdej kondygnacji było trzy. Zatem pierwsze piętro. W najgorszym wypadku drugie, jeśli sklepy na parterze nie były numerowane. Jakim cudem w takim razie wyrwałoby dach?

O, błogosławiony Henryku!

Jak on się nazywał? Pod listem podpisał się tylko imieniem. To oczywiste, jeśli był z ojcem na ty. Przerzuciłam szybko papiery w poszukiwaniu koperty listu, ale jej nie było. Trudno, świadectwo lekarskie podpisane imieniem musi mi wystarczyć. To i tak więcej, niż śmiałam oczekiwać.

Coś tam jednak musiało być na rzeczy, skoro tato prosił o pomoc psychiatrę. Jak on to napisał? „To, co z Twojego opisu wzięłam początkowo za objaw schizofrenii...”. Jakie są objawy schizofrenii? Wzięłam z półki encyklopedię medyczną.

Musiała słyszeć głosy albo zdawało jej się, że jest kimś innym. Nie, to drugie jest raczej mało prawdopodobne, choć wykluczyć tego nie mogę. Ale bardziej prawdopodobne, przynajmniej dla mnie, że dobiegały ją głosy zamordowanych w tym domu osób z rodziny taty. Opowiedział mi kiedyś, co się stało. Powiedział o tym bardzo krótko, tylko raz, a ja nie domagałam się szczegółów - miałam wtedy jakieś naście lat, byłam zaabsorbowana własnymi sprawami i wydarzenia sprzed ponad trzydziestu lat były dla mnie historią równie odległą, jak obrady Sejmu Czteroletniego.

Dziadkowie ukrywali Żydów, trzyosobową rodzinę, przez ponad dwa lata. Od przejścia przez Niemców linii Sanu w

czterdziestym pierwszym do maja czterdziestego czwartego roku. Tamtej majowej nocy dom dziadków został otoczony przez gestapo, a wszyscy jego mieszkańcy wymordowani. Zginęli Żydzi, dziadek, babcia i pięcioletnia siostra ojca, Monika. To właśnie jej zawdzięczam moje imię. Tato rok wcześniej, jako szesnastolatek, zbiegł z transportu do Rzeszy i zaciągnął się w szeregi Armii Krajowej w okręgu „San”. Z całej rodziny przeżył tylko on.

Może krzyczeli do niej z zaświatów ci, których tak bestialsko pomordowano, wywlekając w środku nocy z łóżek...? Na śmierć trzeba się przygotować, mieć trochę czasu. Niekoniecznie pogodzić się z jej nadejściem, ale przynajmniej mieć świadomość jej możliwości. Żołnierz w czasie wojny ma tę świadomość. Musieli ją mieć również moi dziadkowie, z pewnością zdawali sobie sprawę, czym w razie denuncjacji groziło ukrywanie Żydów. Ale malutka Monika nie mogła mieć tej świadomości...

Wierzę, że umarli mogą przemawiać do nas, żywych. Wtedy kiedy wydaje się nam, że śnimy, ale to nie jest sen, raczej znajdujemy się wówczas w dziwnym stanie podobnym do snu, stanie, który później, w świetle dnia, skwapliwie uznajemy za sen. Ten psychiatra, Henryk, z pewnością wiedział o ojcu o wiele więcej niż ja. Był jego kolegą, może przyjacielem, znał jego przeszłość. „Przy twojej przeszłości...” - napisał. Te sprawy, które dla mnie stanowiły zaledwie suchy szkic, on potrafiłby wypełnić barwną, żywą treścią.

Ciekawe, czy żyje...

Czy istnieje sposób, żeby go odnaleźć?

Przewertowałam starannie cały wyświechtany kołnotatnik, który latami leżał u ojca obok telefonu, ale nie znalazłam w nim żadnego Henryka, nawet literki H przed którymś nazwiskiem. Konkretów miałam żałośnie mało: imię - Henryk, i zawód - psychiatra. I pewność, że dwadzieścia pięć

lat temu przebywał w Sanoku. W ciągu tych dwudziestu pięciu lat mógł wynieść się z Sanoka, przestać praktykować, umrzeć.

Ale zaraz... skoro był przyjacielem taty, to prawdopodobnie też rówieśnikiem. Przy imieniu Henryk dopisałam cyfrę 69. Po namyśle zwiększyłam przedział wieku: 65 - 75. I postawiłam znak zapytania. Przeczytałam list jeszcze raz, bardzo uważnie, ale nie znalazłam żadnej dodatkowej wskazówki. Tylko tyle że on był w Sanoku, podczas gdy tato tylko bywał. Tato chciał przenieść całą rodzinę do Sanoka, chciał, żebyśmy wszyscy zamieszkali w jego rodzinnym domu. Mama ze mną już tam mieszkała, trwał remont, przecież pamiętam jakieś deski, cegły, wapno. A potem tato musiał posłuchać rady tego Henryka i wróciliśmy wszyscy do Wrocławia.

No cóż, trzeba przejrzeć książkę telefoniczną Sanoka i wynotować z niej wszystkich lekarzy o imieniu Henryk. Specjalności będą w książce telefonicznej umieszczone, wiek, niestety, nie. To nic, ilu może być psychiatrów o imieniu Henryk?

Włożyłam nowusieńkie spodnium z bladożółtego lnu, sandaalki na szpilkach i piękna jak księżna Walii wyruszyłam do UPT.

Okazało się, że nie ma żadnego. Na szczęście książka telefoniczna Sanoka jest niezbyt gruba, a lekarzy wyszczególniono w osobnym spisie. Przystudiowanie go zajęło mi kilkanaście minut. Co teraz? Stałam na środku hallu pocztowego jak zagubiona owca. Pozostało mi chyba tylko dzwonić do wszystkich tych, których nazwiska tato zapisał w notatniku i pytać ich po kolei, czy nie mieli z ojcem wspólnego znajomego imieniem Henryk. Niezbyt wdzięczne zadanie.

- Monika...? Odwróciłam się.

- Cześć, Dominik.
- To naprawdę ty? Świetnie wyglądasz...
- Ty też. Zmężniałeś.

Zachichotaliśmy oboje. Stary dowcip. Już w szkole Dominik był „dużym chłopcem”, 190/100. Podobał mi się zawsze, niestety - od czasu kiedy skończyliśmy podstawówkę, był na mnie obrażony i unikał mnie konsekwentnie. Mówiliśmy sobie „cześć”, plus zdawkowy uśmiech. Aż do dziś. I mówią, że nie suknia zdoła człowieka!

Nabrał powietrza, żeby zadać to idiotyczne pytanie, ale ja byłam szybsza.

- Jak powiesz „co słyhać”, to cię kopnę - uprzedziłam. Zaśmiał się.

- Zaprosiłbym cię na kawę, ale najpierw muszę wiedzieć jedno: czy to ty...

- Nie, to nie ja, przysięgam. Mogłeś zapytać piętnaście lat temu albo przynajmniej dziesięć. Pół życia straciliśmy.

Na zakończenie roku szkolnego w podstawówce, do której oboje chodziliśmy, klasy wychodzące przygotowywały występy artystyczne. Taki był zwyczaj. W naszej klasie akurat zgrupowano dla wygody dzieci uczęszczające do szkoły muzycznej i zamiast dramatycznych produkcji poetycko - literackich postanowiliśmy przygotować żart muzyczny. Jest taka piosenka, którą wieki temu na festiwalu w San Remo śpiewała urocza nimfetka, Gigliola Cinquetti - Nie wolno mi. Już wtedy piosenka nie była przebojem, ale wciąż była znana. Jako główny wykonawca Dominik musiał przybrać pseudonim sceniczny i ktoś (na pewno nie ja) rzucił: Domenico La Lugno. Brzmiało z włoska i zostało zaakceptowane. W ferworze przygotowań do występu nikt nie zwrócił uwagi na dwuznaczny wydźwięk tego pseudonimu. Dominik w wypożyczonej z teatru peruce Otella i wyprowadzonym z ojcowskiej szafy smokingu wypadł na

scenę, a za nim malowniczo rozebrane koleżanki klasowe jako chórek girlasek. Przy fortepianie zasiadła nasza nauczycielka muzyki, pani Kubicka.

Dominik ujął mikrofon, który był atrapą, prawdziwy trzymałam ja, schowana za kulisami. Miałam (mam zresztą nadal) dość czysty, wysoki głos.

Nie wolno mi
Nie wolno mi
Kochać ciebie
Nie wolno mi do ciebie przyjść
nawet we śnie
mówią że mam
za mało lat...
i tak dalej.

Numer był nienowyy, żywcem zdarty z Deszczowej piosenki, ale po jakimś wyjątkowo długim monologu Kordiana zadziałał ożywczo na publiczność. Odnieśliśmy wielki sukces; niestety - dla Dominika był to sukces gorzki. Ksywa „Lalunio” jakimś cudem poszła za nim do liceum na drugim końcu miasta, a potem na studia. Sęk w tym, że ja chodziłam do tego samego liceum i studiowałam na tym samym wydziale co on. Byłam pierwszą podejrzaną, co wcale nie znaczy, że byłam winna.

Wyszliśmy z budynku poczty i zasiedliśmy na otwartej antresoli Kresowej. Dominik wcale nie wyglądał świetnie, raczej paskudnie. Wymięty jakiś, przekrwione oczy. Aż się prosiło zapytać, co słyhać, ale nie zapytałam. Obgadaliśmy za to paru wspólnych znajomych z uczelni - jednym się powiodło, innym nie. Na ogół powiodło się tym, którzy poszukali szczęścia poza krajem. Deprymujące. Dominik westchnął i ostrożnie zapytał:

- Pracujesz?

Jego pytanie nasunęło mi podejrzenie, że stracił pracę. Zapytać „pracujesz?“, to było to samo, co zapytać „żyjesz?“. Skinęłam głową, a potem pokręciłam, przypomniawszy sobie, że już nie pracuję.

- Przez trzy lata byłam księgową w prywatnej firmie, ale już tam nie pracuję. Do końca czerwca jestem na urlopie, a potem laba.

- O rany - powiedział ze współczuciem. - Popatrz, jak to się porobiło...

- Nie, nie. U mnie w porządku, sama odeszłam. Miałam dość.

Patrzył niedowierzająco.

- Poważnie. A ty? Dalej siedzisz na uczelni?

- Tak. Teraz, w sesji, mam trochę luzu. Wiesz, ożeniłem się. Zabrzmiało to tak, jakby ożenił się teraz, w sesji, bo akurat ma trochę luzu.

- O - powiedziałam nieco rozczarowana. - Z kim?

- No... z kobietą. Nie znasz.

- Aha.

- I w zeszłym miesiącu urodził mi się syn - w jego przekrwionych oczach na moment błysnęła duma, potem zgasła. - Ty sobie nawet nie wyobrażasz, jak takie małe gównu potrafi człowiekowi życie przenicować. Masz jakieś dzieci?

- Nie.

- Tak trzymaj.

Mieszal smętnie w swojej kawie, a ja już wiedziałam, że jest po prostu niewyspany i totalnie zmęczony zmienianiem pieluch, poza tym zdrów.

- No, nie pękaj - pocieszyłam go. - Urośnie z czasem, zobaczysz.

Zaśmiał się.

- Co robisz w wakacje?

- Nic specjalnego - bąknęłam i raptem doznałam olśnienia. - Och, Dominik... chyba mógłbyś coś dla mnie zrobić.

- Co?

- Szukam właśnie psychiatry... nie, nie dla siebie - wyjaśniłam szybko, widząc popłoch w jego spojrzeniu. - Ty masz dostęp do Internetu, prawda?

- Oczywiście.

- Jak myślisz, czy Towarzystwo Psychiatryczne ma swoją stronę?

- Mogę sprawdzić, ale na pewno ma.

- Chciałabym odnaleźć dawnego kolegę mojego ojca, a mam o nim niewiele informacji. Tylko imię, przybliżony wiek i zawód, psychiatra. - Wyjęłam z torebki notes, długopis i zapisałam te dane na kartce. - I jeszcze wiem, że dwadzieścia pięć lat temu mieszkał w Sanoku. - Wyrwałam kartkę i podałam mu przez stolik.

- A te cyfry i „M”?

- To mój telefon.

- Aha. Cholernie mało - patrzył na świstek z powątpiewaniem. - Ty wiesz, ilu psychiatrów w Polsce może spełniać te parametry?

- Ilu?

- No... musiałbym to policzyć. Zaśmiałam się.

- To policz, a potem sprawdź. Jak mi go wyłuskasz, to masz u mnie całonocną balangę.

- Ooo...

Oj, chyba rzeczywiście zabrzmiało to dwuznacznie.

- Coś ty, na balangę udasz się ze swoją kobietą, a ja w tym czasie popilnuję tego waszego potwora. To mam na myśli.

Rozstaliśmy się w przyjaźni. Właściwie... szkoda. Zdałam sobie sprawę, że wkroczyłam w trudny wiek. Sezon na zające

się skończył, co tłustsze sztuki już dawno upolowane, nawet te chude zdążyły wyjść na strzał. Czas się rozejrzeć za poradcnikiem „jak się zestarzeć z godnością”. Pociuszające, że na pewno łatwiej to osiągnąć bez faceta niż z nim.

Dominika musiało to moje zadanie zaintrygować jako problem akademicki: „analiza porównawcza wyników rachunku statystycznego i stanu faktycznego zbadanego empirycznie”, czy coś w tym rodzaju, bo obiecał, że zaraz się za to weźmie. A może po prostu zwietrzył pretekst do pozostania przez całe popołudnie z dala od wrzasków swojego potomka, dość na tym, że zadzwonił jeszcze tego wieczora.

- Ty wiesz, ilu psychiatrów w Polsce spełnia twoje parametry?

- Ilu?

- Zgadnij.

- Stu?

- Pudło. Jeszcze raz.

- Dziesięciu?

- Pudło.

- Dominik, zlituj się...

- Żaden.

- O, cholera...

- Czterdziestu sześciu spełnia parametr pierwszy - gadał podniecony - ale już tylko dziewięciu dwa, imienia i wieku. Trzech nie spełnia żaden.

- Coś takiego... to znaczy żaden nie mieszka w Sanoku?

- Żaden nie mieszka i żaden nigdy nie praktykował w tym mieście. Jest jeden, który urodził się w Załużu pod Sanokiem, ale nigdy tam nie mieszkał.

- A gdzie?

- W Krakowie.

- Hm. Skoro tak, to może to ten? Masz coś o nim?

- Wszystko.

- No to dawaj. To znaczy podaj mi jego parametry - poprawiłam się.

- Już. Chwila... urodzony w 1928 w Załużu koło Sanoka, 1943 - 1945 żołnierz Armii Krajowej w okręgu „San”, 1960 dyplom lekarski Akademii Medycznej w Krakowie, specjalizacja... doktorat... habilitacja...

Bingo! Przestałam słuchać. Oczywiście, że to ten. Towarzysz broni taty w AK. Nie przerywałam Dominikowi, niech się wykaże. Dotrwałam w milczeniu do końca listy prac naukowych doktora... no właśnie.

- Super. Jesteś genialny - pochwaliłam. - Jeszcze tylko nazwisko.

- Nie mówiłem? Skrzypek, profesor Henryk Skrzypek.

*

Przed rozmową z profesorem Skrzypkiem miałam lekką treść. Jak zacząć? Co powiedzieć, żeby od razu nie odłożył słuchawki, jeśli nie zrozumie, o co mi chodzi? A jeżeli to w ogóle nie ten Henryk? Wielkie rzeczy. Przepraszę i się wyłączę. Żeby się nie pogubić, zapisałam sobie pierwszą kwestię, a resztę w punktach. I natychmiast wynikł następny problem - kiedy zadzwonić, żeby go na przykład nie wybić z drzemki albo nie oderwać od kolacji? Starsi ludzie miewają ugruntowane przyzwyczajenia, wypracowaną latami rutynę dnia i potrafią być nieprzyjemni, jeśli ktoś odważy się ją zakłócić. Po namyśle postanowiłam zadzwonić o siódmej wieczór - za późno na popołudniową drzemkę, za wcześnie na „Wiadomości”, jeżeli je ogląda. Słuchawkę podniosła kobieta, a raczej baba, sądząc po piskliwym, pełnym niechęci głosie. Żona?

- Nazywam się Monika Sawicka, czy mogę rozmawiać z profesorem...

- Głośniej mówi! Powtórzyłam głośniej.

- Zapytam. Uff... nie wyglądało to za dobrze. Po długiej, bardzo długiej chwili usłyszałam szybkie kroki, a potem rzeński, męski głos.

- Skrzypek.

- Dobry wieczór, panie profesorze. Nazywam się Monika Sawicka i jestem córką Stanisława i Anny Sawickich... - zawiesiłam głos w nadziei na jakąś reakcję. Sekunda ciszy.

- Tak?

Skłęśłam, ale brnęłam dalej.

- Pan znał moich rodziców, prawda?

- Znał? Czy to znaczy, że oni nie żyją?

- Mama od osiemnastu lat, a ojciec zmarł niedawno.

- Och... to przykre. Bardzo pani współczuję.

- Dziękuję. Wie pan, wybieram się teraz do Sanoka, obejrzeć dom, który przypadł mi w spadku, i chciałabym po drodze wstąpić do Krakowa. Czy mogłabym się z panem spotkać?

- Czy to konieczne?

Zamurowało mnie. Chyba zdał sobie sprawę, że nie zabrzmiało to grzecznie, bo po chwili dodał wyjaśniająco:

- Wie pani, jestem człowiekiem zajęтым.

- Rozumiem. Cóż... wobec tego przepraszam...

- Zaraz, zaraz. Pani chce jechać do Sanoka? Do tego domu?

- Tak. Teraz to mój dom.

- Hm... Moment.

Na chwilę zapadła cisza, profesor albo myślał, albo wertował swój terminarz.

- W najbliższy wtorek, mniej więcej o tej porze. Będę w domu. Zna pani adres?

- Jeżeli to ten sam, co w książce telefonicznej...

- Ten sam.

Uff. To nie była przyjemna rozmowa, profesor Skrzypek najwyraźniej nie chciał się ze mną spotkać. Może miał jakiś zatarg z ojcem? Może po tym, jak przez długie lata byli przyjaciółmi, zostali z jakichś przyczyn wrogami? Kontakt musiał się zerwać dawno temu, inaczej w notatniku taty byłby jakiś ślad - telefon, adres. Ten notatnik leżał obok telefonu od bardzo dawna, pamiętałam go jeszcze z dzieciństwa. Do licha! Cokolwiek tam między nimi zaszło, nie mam z tym nic wspólnego i chyba profesor Skrzypek nie jest na tyle głupi, żeby obwiniać o cokolwiek mnie, osobę, która do wczoraj nie miała pojęcia o jego istnieniu.

Zabrałam się do pakowania. Od razu stwierdziłam z żalem, że z moich nowych, pięknych ciuchów na tej wycieczce przyda mi się niewiele - parę koszulek, dżinsy, najwyżej jedna sukienka. Zdawałam sobie sprawę, że dom, w którym od dwudziestu pięciu lat nikt nie mieszkał, musi być zaniedbany i nie mogę liczyć na żadne luksusy. Raczej muszę się przygotować na obóz przetrwania, a w takim wypadku każdy skrawek miejsca w plecaku jest bezcenny. Może tam nie ma prądu? Przypomniałam sobie, że u taty w mieszkaniu, w schowku, powinien być mój stary kocher, pozostałość po jakimś obozie harcerskim. Czy da się jeszcze kupić do niego kostki spirytusowe? A może od tamtego czasu wynaleziono jakieś urządzenie bardziej technologicznie zaawansowane? Trzeba to zbadać. Muszę też zabrać karimatę, latarkę... Odłożyłam na razie pakowanie i wzięłam się do sporządzania spisu rzeczy niezbędnych.

Drzwi otworzyła mi Kobieta - Góra. Miała wąsy, z metr osiemdziesiąt wzrostu i tyleż obwodu w talii, na gargantuicznych stopach męskie skórzane pantofle. Pewnie damskich w tych rozmiarach się nie produkuje. Patrzyła spode łba okręconego ni to zawojem, ni to chustką. Pani profesorowa?

Przedstawiłam się i dodałam, że jestem umówiona z profesorem.

- Wytrze porządnie buty - powiedziała i odeszła w głąb mieszkania. Parkiet jęczał żałośnie pod jej stopami.

Na dworze było sucho, a moje nowiusieńkie pumy wręcz lśniły czystością, ale posłusznie wytarłam je i zamknęłam za sobą drzwi. Mieszkanie profesora było duże i bardzo piękne, rozkładowe - tak to się chyba nazywa. Wysokie, nobliwie przykurzone ściany gęsto zawieszane obrazami i sztychami, antyki. Zapach pasty do podłóg i jeszcze jakiś, ledwie wyczuwalny, kojarzący się z zasiedzeniem, stałością nawyków i upodobań. Po chwili Kobieta - Góra powróciła.

- Niech wejdzie.

Położyłam plecak na podłodze obok rzeźbionej garderoby. W drzwiach pokoju stanął niewysoki, drobny mężczyzna około siedemdziesiątki i wyciągnął do mnie rękę. Przywitaliśmy się.

- Napije się pani kawy? - spytał i jakimś cudem wyczułam, że on chce, żebym się napiła kawy.

- Dziękuję, chętnie.

- Zrób kawy, Wandziu - polecił Kobiecie - Górze.

- Tak, a potem mu serce będzie biło.

- Póki bije, to nie Wandzi zmartwienie. Proszę - zaprosił mnie gestem do pokoju.

Wandzia, mamrocząc pod nosem, udała się do kuchni. A więc to służąca. Super, nigdy w życiu nie widziałam prawdziwej służącej. Chyba tylko tu, w Krakowie, można jeszcze spotkać taki zabytek. Słodkie, zwiewne imię Wandzia pasowało do niej jak pięść do nosa, kwiat do kozucha, było niczym lśnienie perły rzuconej przed wieprza. Z tonu, jakim do siebie przemawiali, zorientowałam się, że tych dwoje wojuje ze sobą od lat. I pewnie profesor trochę się jej boi - jest dwa razy mniejszy od niej.

Pokój, do którego weszliśmy, był gabinetem, takim, jakie widuje się już tylko w filmach o życiu wyższych sfer. Ciężkie zasłony, dwie identyczne biedermeierowskie biblioteki wypchane książkami, duże biurko w tym samym stylu, skórzane fotele i niski okrągły stolik z blatem z czerwonego marmuru. Hm. Z Załuża na takie salony... pewnie w swoim czasie ożenił się właściwie.

Profesor wskazał mi fotel, sam usiadł za biurkiem. Przyglądał mi się ciekawie, otwarcie, mogłabym rzec - obcesowo.

- A więc Stach już nie żyje - powiedział w końcu. - Kiedy to się stało?

- Przed miesiącem. Miał zawał.

- Zawał - mruknął wieloznacznie i pokręcił głową. Być może pożałował, że postawił się Wandzi i zażądał kawy. - Dlaczego pani chciała się ze mną zobaczyć? Mówił pani coś o mnie?

- Nie, nie. Nigdy. Po jego śmierci porządkowałam papiery i natrafiłam na to - wyjęłam z torebki list i położyłam przed nim na biurku.

Nasadził okulary i przysunąwszy sobie list, zagłębił się w czytaniu. Czytał powoli, uważnie, jakby przychodziło mu z trudem odcyfrowanie własnego pisma. Kiedy skończył, odwrócił kartkę i przeczytał list raz jeszcze. Chwilę dumał, nie podnosząc wzroku, potem zsunął okulary na koniec nosa i wbił we mnie przenikliwe spojrzenie błękitnych, spranych oczu.

- Pamiętam - rzekł krótko.

Zmieszałam się. Najwyraźniej nie był rozmowny, trudno będzie cokolwiek z niego wyciągnąć. Tym trudniej, że nie potrafiłam sprecyzować, czego tak naprawdę chcę się dowiedzieć. Na szczęście w tym momencie do gabinetu

wtoczyła się Wandzia z tacą i profesor przestał się we mnie wgapiać.

- Proszę, proszę. Przekona się pani, że Wandzia piecze najlepsze ciasteczka w całym Krakowie, a może i w całej południowej Polsce.

Wandzia spojrzała na mnie groźnie. Nie bez przyczyny, bo te najlepsze w południowej Polsce ciasteczka, to były zwyczajne „pieguski”, po dwa sześćdziesiąt paczka. Puściłam do niej oko, a ona udała, że tego nie widzi, i się wyniosła.

- Napisał pan w tym liście „objawy schizofrenii” - powiedziałam, nalewając profesorowi kawę do filiżanki. - Czy pamięta pan, jakie to były objawy?

- Głosy. Zdawało jej się, że słyszy głosy. - Zamilkł na moment, a potem dodał z nutą zdumienia w głosie: - Pani jest do niej bardzo podobna, wie pani o tym? Przeszły mnie ciarki.

- Tak, wiem. Obawiam się, że ona... że popełniła samobójstwo.

- Coś podobnego... Jest pani pewna?

- Nie. Niczego nie jestem pewna. Ale wiele wskazuje na to, że jednak...

- Proszę mówić, słucham.

- Niedługo po tym - wskazałam leżący na biurku list - ona nas porzuciła, tatę i mnie. Wyjechała do Poznania i nigdy już jej nie widziałam. - Nie miałam zamiaru wspomnieć o moim spotkaniu z mamą po jej śmierci, zbyt łatwo byłoby mi odstawić mnie do czubków. - Zmarła osiemnaście lat temu i mam podstawy sądzić, że popełniła samobójstwo. Nie wiem, dlaczego moi rodzice się rozstali... w ogóle niewiele o nich wiem. Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś od pana.

Profesor pokręcił głową.

- Nie potrafię pani tego objaśnić. Stach przyjechał wtedy natychmiast - stuknął palcem w list - i zabrał was obie do Wrocławia. Miał do mnie napisać, ale nie napisał.

- I nigdy więcej nie spotkaliście się?

- Nie. Zresztą i przedtem nie widzieliśmy się od zakończenia wojny, a w Sanoku spotkaliśmy się przypadkiem. Byłem tam krótko, na urlopie. Miałem jeszcze matkę w Załuzu.

Kiwałam leciutko głową, żeby zachęcić go do dalszego mówienia, ale on umilkł i po chwili też zaczął leciutko kiwać głową. O rany...

- Poznaliście się w czasie wojny, prawda?

- Nie, chodziliśmy do tego samego gimnazjum przed wojną. Stach był o rok wyżej, tak że ja go pamiętałem dobrze, a on mnie tak sobie. Tyle że z widzenia. Wie pani jak to jest, starsi nie zwracają uwagi na kotów. A później, w czterdziestym trzecim, spotkaliśmy się w lesie. - Poprawił się na krześle, zdjął okulary i starannie je przetaił. Sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się, czy mówić dalej, czy nie, w końcu zdecydował się zamilknąć.

Nie zamierzałam dać za wygraną.

- Proszę mi opowiedzieć o nim. Jaki był?

- O... był bardzo odważny. Wręcz... Pani wie, co stało się z jego rodzicami?

- Tak, wiem.

- Kiedy przyszła wiadomość o tym, coś się w nim wywróciło, o mało nie oszalał. Strach było spojrzeć mu w oczy. Każdy... no, prawie każdy kocha swoich rodziców, ale on ich wręcz wielbił. I siostrzyczkę... miała dopiero pięć lat! Nie osiągnął jeszcze wieku, kiedy nabiera się dystansu do rodziców i zaczyna patrzeć na nich krytycznie, miał siedemnaście lat. Za dużo, żeby nie rozumieć, za mało, żeby przyjąć to tak, jak przyjmują nieszczęście ludzie dojrzały, z pewnym zasobem doświadczeń. Nazywano go później „Wściekły”. Zdawało się, że stracił instynkt

samozachowawczy. Taki człowiek staje się dla organizacji bezcenny...

Przerwał gwałtownie, jakby zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo. Rzeczywiście powiedział za dużo. Mogło to oznaczać tylko jedno - ojcu powierzano do wykonania rozkazy, których nikt inny nie odważyłby się wykonać. Albo nie chciałby. Albo nie byłby w stanie. Pomyślałam o dłoniach mojego taty - dużych, silnych... Ogarnął mnie chłód. I coś jeszcze - panika. Nie, nie chcę wiedzieć! Profesor, jakby przejrzał moje myśli, uśmiechnął się i dodał:

- Żołnierz na wojnie wykonuje rozkazy albo odmawia i dostaje kulkę. Tak to funkcjonuje, Moniko. Ale możesz być pewna, że twój ojciec nigdy nie zrobił niczego, czego musiałabyś się teraz wstydić. Nie wiesz, Moniko, co to znaczy wojna. Całe twoje pokolenie nie ma o tym pojęcia. I dobrze, tak powinno być. Grzebanie w przeszłości to zadanie dla historyków, wy wszyscy powinniście się po prostu cieszyć życiem, bo nam o to właśnie chodziło.

Słyszałam to zdanie tysiące razy, ale dopiero teraz, kiedy usłyszałam je wypowiedziane tak po prostu, bez zadęcia, ciepłym, łagodnym głosem profesora Skrzypka, uświadomiłam sobie do końca jego sens. Odwzajemniłam jego uśmiech. Nie miałam mu za złe, że zwraca się do mnie przez ty. Był przecież kolegą mego taty, kimś w rodzaju dalekiego wujka. A może osiągnęłam już taki wiek, że sprawia mi przyjemność, gdy ktoś traktuje mnie jak smarkatą.

- To wydarzenie, ta tragedia musiała zaciążyć na całym jego życiu - podjął profesor. - On po prostu nie chciał, żeby wojna się skończyła. Nie chciał współczucia, przyjaźni, miłości. To go okaleczyło na długo. Kiedy spotkaliśmy się w siedemdziesiątym pierwszym, już był innym człowiekiem. Znow miał prawdziwą rodzinę, ciebie i twoją matkę. Kochał i był kochany.

- Tak... to jest właśnie dla mnie zagadka. Jej odejście, jej śmierć. Nie potrafię sobie tego logicznie wyjaśnić.

- Ho, ho! Logika to coś dla matematyków. Ludzka psychika i wynikające z niej zachowania nie poddają się jej regułom. Skąd wiesz, że Ania... że twoja matka popełniła samobójstwo?

- Nie wiem tego na pewno, domyślałam się tylko. Wie pan, po śmierci taty musiałam uporządkować jego rzeczy osobiste i okazało się, że właściwie nie było niczego osobistego. Żadnych fotografii, listów, nawet dokumentów. Ten list - wskazałam na leżący na biurku papier - znalazłam w kopercie, w której tato trzymał papiery domu, tego w Sanoku. Zachował się przypadkiem, zgnieciony, na samym dnie. Wcześniej, składając jego ubrania, znalazłam jeszcze jeden list, też zapomniany przez ojca.

Wyjęłam z torebki tamten list do mamy i razem ze zdjęciem podałam profesorowi. Przeczytał szybko te parę linijek, uniósł brwi i zatopił się w kontemplacji mojej podobizny sprzed lat, a ja streściłam mu pokrótce przebieg wycieczki do Poznania.

- Gaz?

- Tak.

- No też coś! Skąd pani wysnuła wniosek, że to akurat ona?

- Nie wiem, tak mi się zdaje...

- Ale czy ma pani jakieś konkretne podstawy, żeby tak sądzić? Jakieś dowody?

- Nie. Ale wie pan, dopóki żyła, to jakoś tak jakby z tła, właściwie nie umiem określić, skąd to się brało... w każdym razie dochodziły mnie słuchy, że ona jest chora psychicznie.

- Bzdura. Była zdrowa, przynajmniej wtedy, kiedy z nią rozmawiałem. A z tym gazem... to prawdopodobnie zwykły

wypadek. Albo jeden z kilkudziesięciu mieszkańców kamienicy. Czemu akurat ona?

Mówił teraz niechętnie, niemal opryskliwie, w jego głosie pobrzmiwały znów tony, które tak mnie speszyły w czasie rozmowy telefonicznej. Przeszedł z powrotem na „pani”.

- Pan ją pamięta?

- Oczywiście. W ciągu trzech tygodni, tyle chyba czasu spędziłem wówczas w Sanoku, spotykaliśmy się prawie codziennie. Graliśmy w karty, pływaliśmy i tak dalej. To, co ludzie zwykle robią na urlopie. Była bardzo bezpośrednia, pełna życia, a przy tym jakaś... krucha, wrażliwa. Pani ją bardzo przypomina.

Powiedział to już po raz drugi. Otrząsnęłam się, zaśmiałam się nerwowo.

- Nie jestem ani krucha, ani specjalnie wrażliwa. Teraz, kiedy mówimy o tej jednej sprawie, można by sądzić, że moje dotychczasowe życie upływało w jej cieniu, w cieniu jej szaleństwa. Ale tak nie było. Miałam zupełnie normalne... no, prawie normalne dzieciństwo, szkoła, harcerstwo, szkoła muzyczna. W liceum nawet byłam w reprezentacji siatkarskiej...

- Brawo! - klasnął niespodziewanie w ręce, aż podskoczyłam. - Dalej pani gra?

- Nie...

- Błąd. Powinna pani grać. Chociaż siatkówka... ja wiem? Raczej futbol, koszykówka. To fantastycznie kanalizuje agresję.

- Och... chyba nie mam zbyt wiele agresji do skanalizowania - stęknęłam oszołomiona.

Nie potrafiłam panować nad tą rozmową. On się wymykał, mówił tylko to, co chciał. Rozgadał się teraz na temat zaniedbań w dziedzinie kultury fizycznej „w tym kraju”, a ja nie miałam dość śmiałości, żeby mu przerwać. Stwierdziłam,

że do odjazdu mojego pociągu zostało mi zaledwie czterdzieści minut. Najdalej za kwadrans muszę stąd wyjść i prawdopodobnie wyjdę z niczym. Przyglądałam się jego ruchliwej twarzy, rozgestykulowanym dłoniom. On jest jakiś... nierówny, nieobliczalny. Jednak musi być coś z prawdy w powszechnym twierdzeniu, że psychiatrzy upodobniają się do swoich pacjentów. Słowem, że bywają stuknięci. Profesor, jakby znów odgadł moje myśli, umilkł równie nagle, jak się przedtem rozgadał.

- Jakie to były głosy? Czyje? - spytałam, ignorując zupełnie jego poprzedni wątek.

Wzruszył ramionami.

- Poprzednich lokatorów... chyba.

- Tamtych Żydów?

- Nie, nie. Oni nie mieszkali w domu. Siedzieli w loszku pod chlewem. Pani dziadek był lekarzem, zbyt wiele osób przewijało się przez jego dom, i to o różnych porach, nawet w nocy. Także Niemcy. Tamtej nocy gestapowcy po prostu zaryglowali chlew i podpalili. To już był maj, armie „Północ” w odwrocie, tu, na południu, front na Wołyniu. Już czuli na plecach oddech krasnoarmiejców. Nie chcę przez to powiedzieć, że wcześniej postąpiliby inaczej.

Przerwał, a ja ze wszystkich sił odsunęłam od siebie makabryczny obraz duszących się w dymie, płonących żywcem ludzi.

- Więc to były głosy moich dziadków? Moniki?

- Tak. Proszę posłuchać, pani była wtedy dokładnie w wieku tamtej Moniki. Nawiasem mówiąc, to nie był szczęśliwy pomysł, nadawać dziecku właśnie jej imię. Ania bała się tamtego domu, od samego początku prześladował ją koszmar. Wciąż ten sam: próbowała ratować swoje dziecko. Monikę. Panią. Oczywiście nie da się w tym dopatrzeć sensu,

ale koszmary nie podlegają prawidłom logiki, nie poddają się głosowi rozsądku. Po prostu przychodzą i już.

- Tak, wiem o tym.

- Co? Pani też miewa koszmary?

- Tak sędę. Taki powtarzający się sen... to znaczy... w samym śnie nie ma niczego strasznego, tylko to, że się powtarza.

- Często?

- Nie, właściwie nie. Jak się czymś bardzo przejmę albo zdenerwuję. Czy to może zwiastować chorobę...

- Co się pani śni?

- Rower - szepnęłam zawstydzona, uświadamiając sobie, jak niewiele koszmarnych przymiotów może mieć rzecz tak powszednia jak zwykły rower.

- I co, jeździ pani na nim?

- Nie, nie. - Rzeczywiście, uświadomiłam sobie, że nigdy w moim śnie nikt na tym rowerze nie jechał. - Zresztą nieważne, nie jest moją intencją wyłudzenie bezpłatnej porady - uśmiechnęłam się słabo. - Tylko wiem, że choroby psychiczne są dziedziczne i...

- Niechże się pani nie da ogłupić, Moniko. Rower to rower.

- Tak, oczywiście. Proszę zapomnieć o tym rowerze, to nonsens. Chodzi mi o moją matkę.

Parsknął i znów obdarzył mnie niechętnym, niemal wrogim spojrzeniem.

- Pani koniecznie chce postawić diagnozę. Teraz. Po co to pani?

- To była moja matka. Chcę znać prawdę. Mam prawo do prawdy o niej.

- Prawda! Szukajcie prawdy, a ona was wyzwoli - zachichotał ponuro. - Proszę posłuchać, tamta tragedia na długo okaleczyła pani ojca. Nosił ją w sobie, jak wrzód... nie,

raczej jak raka. Myślę, że kiedy spotkał pani matkę, niezamierzenie... jak by to powiedzieć... nasączył ją swoim kalectwem. Rozumie pani?

Skinęłam głową.

- To był bardzo silny człowiek, mam na myśli, że miał bardzo silną osobowość. A trzeba pamiętać, że i ona nosiła w sobie doświadczenie wojny. Wprawdzie zatarte i stłumione, ale przecież obecne w jej psychice. Dziś podszedłbym do tego inaczej, zorganizowałbym jej terapię, ale to były inne czasy. Ludzi, których prześladowały wojenne koszmary, były tysiące i nikt się nimi specjalnie nie przejmował. Wyjazd wydawał się najprostszym rozwiązaniem. A co istotne, skutecznym.

- No nie wiem... jednak ona później...

- Z pewnością chodziło o coś innego. Proszę posłuchać rady starego człowieka i zostawić przeszłość w spokoju. Pozwolić umarłym pogrzebać swoich umarłych.

- Więc była całkowicie zdrowa, czy tak?

- Była zdrowa. Całkowite zdrowie to pojęcie czysto teoretyczne, coś, co w przyrodzie nie istnieje. Dotyczy to psychiatrii w tym samym stopniu co innych dziedzin medycyny...

- Panie profesorze - przerwałam mu obcesowo, kiedy już nabierał pary do dalszych wywodów. - Nie jestem w stanie podjąć z panem akademickiej dyskusji. Jestem zwykłą, przeciętną osobą, z wykształcenia ekonomistką. W moim pojęciu ktoś, kto słyszy głosy i popełnia samobójstwo, nie może być psychicznie zdrowy.

- Ależ demagogia! Pani nigdy nie słyszała terminu „depresja”?

- Owszem...

- A była pani kiedyś w zakładzie zamkniętym? W domu wariatów?

- Nie...

- To, co tu napisałem, jest prawdą i niczego więcej nie potrafię do tego dodać.

- Rozumiem.

Wstałam pewna, że rozeźlony profesor za chwilę wyrzuci mnie z domu. Albo co gorsza, każe zrobić to Wandzi, a ona uczyni to, tym razem bez szemrania.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas. Za pół godziny mam pociąg, więc...

- Pani chce jechać do Sanoka? Do tego domu?

- Tak.

- I pewnie nie posłucha mnie, jeśli poradzę zapomnieć o wszystkim i wrócić do Wrocławia...

Pokręciłam głową i sięgnęłam po list. Profesor uczynił to samo i nasze dłonie na moment zawisły nad biurkiem.

- Proszę wybaczyć, ale to jedna z nielicznych pamiątek po moim ojcu.

- Oczywiście, oczywiście.

Niechętnym gestem przysunął mi list i wstał. Nie próbował mnie dłużej przekonywać, był wyraźnie zły. Na mnie? Tak, czułam, że właśnie na mnie, jakbym szarpnęła w nim jakąś dawno niedotykaną strunę, a ona wydała dźwięk zrozumiały tylko dla niego.

Na schodach raptem uświadomiłam sobie, że zapomniałam zapytać go o coś bardzo ważnego. Zawróciłam biegiem. W drzwiach znów pojawiła się Kobieta - Góra i przygwoździła mnie groźnym spojrzeniem. Opuściłam jej plecak pod nogi i zanim zdołała cokolwiek wyartykułować, wyminęłam ją zręcznym zwodem i pobiegłam do gabinetu.

- Panie profesorze...

Stał przy biurku i do filiżanki po kawie nalewał brandy z pękatej butelki. Na mój widok drgnął, jakby chciał ukryć butelkę, ale opanował się i spokojnie dokończył nalewania.

- Przepraszam, ale muszę jeszcze wiedzieć, czy tamto miejsce... no, to, o którym pan pisał... czy ono zostało rozkopane?

- Nie. A przynajmniej nie wtedy.

*

W przedziale pierwszej klasy pociągu relacji Kraków - Ustrzyki Dolne byłam sama. Sympatyczny konduktor obiecał obudzić mnie w Sanoku i doradził zamknąć się w przedziale, co uczyniłam. Leżałam w śpiworze, wygodnie wyciągnięta na miękkiej kanapie, a przez lekko odsunięte okno wpadał łagodny oddech lasu i chłodził mi twarz. Mimo tak luksusowych warunków, mimo miarowego, uspokajającego łoskotu kół, sen nie nadchodził. Wciąż powracały do mnie strzępy rozmowy, jaką odbyłam z profesorem, i z wolna nabierałam pewności, że nie był ze mną szczery. Może chwilami, ale nie we wszystkim, nie do końca. Zatrzymał przy sobie jakąś część prawdy o moich rodzicach, podejrzewałam, że tę najważniejszą, tę, która stanowiła klucz. Z jakichś przyczyn musiał być przekonany, że nie mam prawa do całej prawdy. Jego niechęć, falami powracająca w rozmowie opryskliwość, osłaniały coś istotnego, jakby bronił się w ten sposób przed ujawnieniem prawdy nienależnej. Podobnie jak tato, kiedy nie chciał mówić o mamie, o swojej przeszłości. Tylko że tato wtedy milczał. Zmieniał temat rozmowy. Wychodził z domu.

Tak, Skrzypek także próbował parę razy zboczyć na inny temat, ale brakowało mu pola manewru, bo prócz moich rodziców nie mieliśmy żadnego wspólnego tematu. Nie mógł też milczeć ani wyjść z domu. Moje podobieństwo do matki zrobiło na nim pewne wrażenie, aż dwa razy o nim napomknął. Jak wyglądały jego relacje z mamą? Może się w niej po cichu podkochiwał? Spróbowałam go sobie wyobrazić młodszego o dwadzieścia pięć lat. Szczupły, drobny

czterdziestolatek. Może skurczył się od tamtego czasu, ale raczej niewiele, najwyżej parę centymetrów. Jeżeli ona była tak wysoka jak ja, to on zaledwie dorównywał jej wzrostem. Przy moim tacie musiał wyglądać jak karzeł. Ale co to ma właściwie do rzeczy? Steinbeck napisał, że miłości nie powstrzyma nawet łupież i łożotok. Według tej definicji prawdziwej miłości jeszcze nie przeżyłam; moje uczucia potrafiły zwiędnąć z przyczyn o wiele mniej dramatycznych niż łupież, już nie wspominając o łożotoku. Być może Skrzypek się w mamie podkochiwał, ale mama na pewno nie odwzajemniała jego uczuć, jego niepozorna postać jakoś nie pasowała do mojej teorii wielkiej namiętności. I przeczyły temu fakty: on pozostał w Krakowie, ona wyjechała do Poznania. Nie, Skrzypek nie próbował ukryć swojej roli, bo jego rola była jednoznaczna i tłumaczyła się w liście do taty. To, co chciał zachować w tajemnicy, raczej dotyczyło ich przeszłości, w dużym stopniu wspólnej dla nich trojga, naznaczonej stygmatem wojny. Mama urodzona w trzydziestym siódmym roku miała osiem lat, kiedy wojna się skończyła. Osiem lat. Spróbowałam sobie przypomnieć siebie w tym wieku. Co z tamtego czasu pamiętam? Całkiem dużo, bo to już druga i trzecia klasa. Zabawa mikołajkowa, zbieranie liści do zielnika, pierogi pani Szypułko. Sporo, a gdybym chciała, mogłabym przypomnieć sobie o wiele więcej. Jeśli nawet wspomnienie wojny zatarło się w mamy pamięci, to pod wpływem pobytu w tym naznaczonym tragedią domu mogło powrócić. Jej ojciec zaginął w czterdziestym piątym roku. Na pewno to pamiętała. Może nie sam fakt, ale rozpacz, przerażenie jej matki. „Zaginął” to eufemizm ukuty na miarę obecnie obowiązującej poprawności politycznej. Naprawdę został zamordowany, zakłuty widłami, a babcia, chociaż powiadomiono ją, gdzie porzucono ciało, po nie nie poszła. Bała się pójść. Wiedziała, że może ją spotkać podobny los, a

przecież miała pod opieką dziecko i musiała dla niego żyć. Sensu takich dramatycznych wyborów nasza współczesna percepcja nie zna i nie przyjmuje, bo i po co? Czasy są inne, takie, jakie są. Zapominamy, nie chcemy wiedzieć, że to nasi rodzice albo rodzice ich rodziców byli zmuszeni do dokonywania takich wyborów. Jakaś część ich doświadczeń przeszła na nas, czy tego chcemy, czy nie.

Pamiętam, że w którejś z ostatnich klas podstawówki wypożyczyłam ze szkolnej biblioteki Łuny w Bieszczadach. Kiedy tato zobaczył, co czytam, zabrał mi książkę, rozdarł ją na pół i wrzucił do kubła na śmieci. Nie odważyłam się protestować. Pod koniec roku przyniosłam upomnienie z biblioteki, a on bez słowa dał mi pieniądze na zapłacenie kary. Tak, to była ich przeszłość, czarna, poskręcana, odstręczająca. Ten zakątek kraju, „narożnik”, „kozy róg” - ku któremu niósł mnie teraz stukot pędzącego pociągu przecinającego letnią noc, nie oszczędził im niczego - strachu ściganej zwierzyny, głodu, bratobójstwa. Do dziś bilans nie jest zamknięty, a tematu wystrzegają się jak ognia politycy i historycy, bo nie dokonano pełnej oceny tamtych wydarzeń i nadal nie jest to możliwe, bo nie ostygły emocje. Bo chciałoby się przyznać rację tym albo tamtym, ale się nie da. Po prostu się nie da. Historyczny i emocjonalny pat. I tak jak o powstańcach Warszawy czy uczestnikach bitwy o Monte Cassino można spokojnie myśleć, mówić i pisać jako o bohaterach, to uczestnicy tamtych wydarzeń nadal nie chcą się poddać jednoznacznej ocenie.

Pociąg z łoskotem pochłaniał kilometry, od czasu do czasu, coraz rzadziej, przystawał na jakiejś stacji i wówczas na kilkanaście sekund zalegała gęsta cisza, wypełniona graniem świerszczy. Czasem tę ciszę przecinał trzask drzwi wagonu, jakieś ludzkie głosy. A potem niskim, syrenim jękiem odzywała się lokomotywa i gładko, niemal niedostrzegalnie

ruszaliśmy dalej w noc. Wyobraziłam sobie ten pociąg jako małego czarnego robaczka sunącego wytrwale po mapie - na wschód, na wschód. Nie czułam już tej pewności, tego zdecydowania, z jakim opuściłam profesora. Może rozsądniej byłoby posłuchać jego rady i zawrócić? Kto wie, co czeka na mnie u końca tej drogi... Stukot kół z wolna zaczął się oddalać, a właściwie to ja oddalałam się od niego. W końcu słyszałam go już tylko z daleka, jakby pociąg jechał gdzieś za horyzontem, a granie świerszczy przybliżyło się i otoczyło mnie ciasnym kręgiem. Czy to naprawdę świerszcze? Och nie, przecież to rower. Stał na obszernej płachcie rozłożonej wśród zboża, stał na siodełku i kierownicy, a jakiś człowiek, zły człowiek, trzymał w ręku pedał i kręcił nim zapamiętale. Drugi przynosił w ramionach wiechcie dojrzałego zboża i wtykał je kłosami w wirujące szprychy tylnego koła. Na płachtę jak gęsty deszcz sypało się ziarno.

Profesor powtarzał uparcie: bzdura. Rower to rower.

Rozdział 4

Nie rozpoznałam sylwety miasta. Wtedy było inne. A może nie zdarzyło mi się spojrzeć na nie z okien pociągu i jego dawnej sylwety po prostu w mojej pamięci nie było. W każdym razie te wieżowce gęsto oblepiające centrum należały już do innej, późniejszej epoki. Do epoki, która minęła, podczas gdy ja byłam gdzie indziej. Wielki boom budowlany rozpoczął się tu pewnie, jak w całym kraju, w latach siedemdziesiątych. Kupiłam plan miasta i zasiadłszy w dworcowym barze, zabrałam się do jego studiowania.

Ulica Ogrodowa. Nazwa ulicy, ładna i politycznie obojętna, przetrwała kolejne burze, odwilże i przewroty. Samej zaś ulicy nie pochłonęły rozrastające się blokowiska. Odnalazłszy na planie ulicę Ogrodową, od razu zrozumiałam, dlaczego przez te wszystkie lata nie znalazł się chętny na kupno domu. Ulica położona na odległych, prawie niezabudowanych peryferiach urywała się w terenie oznaczonym na mapie rzadko rozmieszczonymi przecinkami - tereny podmokłe, bagno. Miasto rozbudowywało się w innych kierunkach, bo tu grunt nie był pewny i musiał panować wilgotny, malaryczny mikroklimat. Dlaczego dziadkowie akurat tutaj zbudowali dom? Licho wie. Pomyślałam, że mogli go nie zbudować, a dostać w spadku albo tylko rozbudować. Albo wznieść na gruncie, który od dawna był własnością rodziny. Nie wiedziałam o nich tak elementarnych rzeczy!

Wzięłam taksówkę. Miałam ciężki plecak, a ulica zdawała się odległa od centrum. Chyba przyłożyłam tu wrocławską miarę, bo w rzeczywistości okazało się, że nie jest to zbyt daleko - po kilku minutach jazdy byliśmy na miejscu. Taksówkarz zatrzymał się u samej nasady ulicy, przed zadbanym domostwem ogrodzonym siatkowym płotem. Innych domostw w zasięgu wzroku nie było. To nie mogło być tu, bo dom znajdował się po lewej stronie ulicy, czyli pod

numerem nieparzystym, a dom dziadków miał numer dwanaście.

- Ja chciałam pod numer dwunasty - powiedziałam do młodego taksówkarza.

- Tam dalej już nic nie ma. Ktoś podał pani zły numer. Nie dyskutowałam, zapłaciłam i wysiadłam. Znalazłam się na szerokiej gruntowej drodze pełnej wertepów i zagłębień, które w czasie deszczu musiały wypełniać się wodą; nawet teraz, mimo suchej, pięknej pogody trwającej od kilku dni, na dnie co głębszych dziur czerniło się wysychające błoto.

Poznałam tę drogę.

U jej wylotu, za ostatnimi parcelami, rozciągały się bujne łąki aż po nieuregulowany San; jednym z moich nielicznych wyraźnie zachowanych wspomnień z pobytu tutaj był codzienny przemarsz krów przez naszą ulicę. Było tych krów mnóstwo, szły same, o świcie, każda ze swojej obory, dobrze znaną drogą na wspólne, gminne pastwisko, a pod wieczór wracały. Bałam się tego przemarszu panicznie, a jednocześnie jakaś nieprzeparta siła ciągnęła mnie pod płot, skąd szeroko otwartymi z grozy oczyma patrzyłam z bliska na ogromne zwierzęta. Były naprawdę ogromne - dla człowieka mierzącego metr dziesięć krowa ma wielkość dinozaura. Czasem któraś biesiła się - wówczas świadoma wiotkości siatkowego płotu odgradzającego mnie od łomocących racic zrywałam się i ile sił w nogach uciekałam na ganek. Innym równie podniecającym przeżyciem były sekretne wyprawy do wychodka. Chodzenie do wychodka zostało mi surowo zabronione, musiałam załatwiać się do nocnika, chociaż już od dawna umiałam korzystać z sedesu. Wychodek przyciągał mnie jednak neodpartym urokiem zakazanego owocu; zakradałam się tam od czasu do czasu, by w zapierającym dech smrodzie przyglądać się przez dziurę w desce rojącym się na dnie robakom.

Dom...

Był tu, ponad skłębionymi, dziko rozrosłymi krzewami bzu i jaśminu wypiętrzały się pokryte dachówką połacie dachu, od strony ulicy straszło puste oko mansardy z wybitym oknem. Zadrżałam. Nie spodziewałam się, że dom będzie w dobrym stanie, ale to, co ujrzałam...

Drewniana konstrukcja ganku rozpadła się jak domek z kart i niebezpiecznie zawisła nad wejściem. Strach podejść. Obeszłam dom. Tylne, kuchenne drzwi... nawet nie można powiedzieć, że stały otworem - po prostu ich nie było. Znikły wraz z framugą, w ich miejscu w murze ział nieregularny otwór. Przeszłam przez ten otwór i znalazłam się w obszernym pomieszczeniu - w kącie resztki kafłowej kuchni, z której zniknęła cała żelazna płyta, obok kamienny zlew, który jakby nie miał siły dłużej trzymać się ściany, obsunął się i teraz leżał na podłodze. Po dłuższej chwili mocowania się z kranem udało mi się odrobinę poruszyć kurek, ale spłynęło z niego tylko kilka płatków rdzy. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, choćby to była wartość złomu - zniknęło. Na zaniezionej warstwą błota podłodze walały się jakieś nieokreślone szczątki - noga od krzesła, resztki rozbitej szuflady, potłuczone szkło. W sąsiednim pomieszczeniu, które ongiś było salonem, okna wyjęto starannie, pozostały po nich zmurszałe framugi i fragmenty parapetów. Za oknami zdziczały sad - przygięte do ziemi, poskręcane jabłonie, na wpół uschnięta wiśnia, jasnozielone, proste orzechy. Ani śladu różowych floksów, za to wybijała trawa sięgała niższych gałęzi drzew.

Tu podłoga w wielu miejscach zapadła się, z sufitu zwisały postrzępione płaty tynku. Pod ścianami walały się puszki po piwie, plastikowe butelki, strzępy foliowych opakowań. Och...! Niechby mi się teraz nawinał któryś z tych balangowiczów! Zatrząłabym jak psa.

Powinam jak najszybciej znaleźć rzeczoznawcę i wycenić ten... dom. Idiotyzmem byłoby płacić podatek spadkowy za taką ruinę. Trudno nazwać to domem, a dżunglą za oknem - sadem. Całość jest warta niewiele, tyle, ile grunt. A to, że tutaj mieszkali moi dziadkowie, że tutaj urodził się i wychował mój ojciec... na szczęście wartość sentymentalna nie podlega opodatkowaniu.

Schody na poddasze trzymały się mocno - wtopione w mur dębowe stopnie nawet nie ugiwały się pod moim ciężarem. Poręcz zniknęła, być może przydała się komuś na podpałkę. Na górze sprawy przedstawiały się nieco lepiej. Wprawdzie dachówkowe poszycie oglądane od wewnątrz świeciło sporą ilością dziur, ale belki i krokwie wyglądały zdrowo i solidnie, a podłoga trzymała się dobrze. Rozejrzałam się. Tak, tu można założyć obozowisko, pomiędzy regularnie rozstawionymi słupami konstrukcji. Wody wprawdzie tutaj nie ma, ale temu można zaradzić. Kilka pięciolitrowych butelek mineralnej powinno zaspokoić moje potrzeby toaletowe i wystarczyć na zrobienie porządku, to znaczy na wyszorowanie kawałka podłogi pod obóz. W razie czego mogę obrócić z wodą dwa, trzy razy. I tak nie mam nic innego do roboty - w czym problem? Większość rzeczy koniecznych do przetrwania miałam ze sobą - kocher z zapasem kostek spirytusowych, zapalki, latarkę, śpiwór, karimatę, mydło i „krótki” zapas podstawowych produktów żywnościowych. Czego jeszcze będę potrzebować? Plastikowej miski i wiadra - na potrzeby higieny i porządku. Gumowych rękawic. Gąbki i szmaty. Młotka, gwoździ i sznura do bielizny. Zapasowych baterii do latarki. No i wody - tyle, ile zdołam unieść.

Nie warto się rozklejać. Jest, jak jest, a ja mam tu do załatwienia kilka ważnych spraw. Zsunęłam plecak z ramion na podłogę, obejmując tym gestem we władanie rodzinną posiadłość.

*

Moje przybycie tu i objęcie we władanie rodzinnej posiadłości nie zostało zauważone przez sąsiadów z tej prostej przyczyny, że żadnych sąsiadów nie było. Po tej stronie ulicy na sąsiedniej parceli stała jedynie odrapana stacja transformatorowa, z której nie wychodził żaden przewód elektryczny. Poza tym niewiele - krzaki czarnego bzu, głogi, składowisko gruzu okolone kozuchem jeżyn. Sprawdziłam na mapce własnościowej, którą wzięłam z koperty taty - ta działka, oznaczona na mapce kolejnym numerem, także należała do ojca. Jak wynikało z innych dokumentów zebranych w kopercie, w sześćdziesiątym dziewiątym tato wyraził zgodę na wejście na nią zakładowi energetycznemu i budowę tej stacji. Jak teraz wygląda sprawa własności? Czyżbym została właścicielką tajemniczej stacji transformatorowej? O kurczę, ale to romantyczne! Po drugiej stronie ulicy Ogrodowej, naprzeciw mojej posiadłości, rozciągał się kompleks baraków i bud, wznoszonych w różnych epokach - od czasów głębokiej komuny, po okres wczesnej transformacji ustrojowej, jak można było wywnioskować z różnych stylów architektonicznych i różnych rozwiązań materiałowych zlokalizowanych tu obiektów. Z okresu realnego socjalizmu pochodziły zapewne dwa baraki wzniesione z porządnej cegły, pokryte papą. Lata siedemdziesiąte, to kilka bud skleconych z eternitu, którego podstępna szkodliwość zdemaskowano dopiero niedawno, a niska, kwadratowa budka przy wjeździe na parcelę obłożona została sidingiem, który był hitem końca lat osiemdziesiątych. Ci, którzy obłożyli budę przy wjeździe sidingiem, mimo że tak prężni i nowocześni, musieli albo splajtować, albo przenieść się gdzie indziej, gdyż na parceli nie działało się nic. Żelazna, zardzewiała brama już dawno została okręcona żelaznym łańcuchem, dziś zardzewiałym, na którym zawieszono żelazną

kłódkę, dziś zardzewiała, a żelazna, dziś zardzewiała tabliczka ostrzegała, że wstęp jest surowo wzbroniony. Dalej rozciągała się spłacheć umarłego ze starości sadu, na której poniewierało się kilka betonowych kręgów. Ktoś kiedyś zamierzał drążyć tu studnię, ale już dawno zmienił zamiary. Kręgi zapadły się w ziemię i obrosły wysoką trawą.

Oto miałam pełną odpowiedź, dlaczego ojcu nie udało się sprzedać domu - ulica, przed wojną zapewne przyzwoita, zdażyła zupełnie zejść na psy.

Dopiero na końcu ulicy, a właściwie u jej początku, tam, gdzie wysadził mnie taksówkarz, widać było ślady ludzkiej obecności - porządne siatkowe ogrodzenie, zadbane sad, w głębi sześcienny, typowy budynek mieszkalny - w ścianie frontowej symetrycznie rozmieszczono cztery okna. Równy z ogrodzeniem kończył się porządny odcinek drogi, wyrównanej i wysypanej szutrem. Tutaj mieszkają moi najbliżsi sąsiedzi; gdybym miała tu osiaść, to powinnam zawrzeć z nimi znajomość, ułożyć jak najlepiej wzajemne stosunki i pielęgnować je starannie. Na takim odludziu życzliwi sąsiedzi to po prostu skarb. Tylko czy będzie mnie stać na remont domu? Wątpliwe, tym bardziej że jako dobra ekonomistka wyznawałam zasadę niewydawania wszystkich posiadanych środków na jeden cel, a najwyżej połowę. Jak mawiają Anglicy - nie wkładać wszystkich jaj do jednego koszyka. To, czym dysponowałam, to kawałek ziemi, mury i więźba dachu. Zresztą i mury mogą okazać się do niczego, przeżarte przez mróz. Wizja jasnego ognia na kominku, wypolerowanej podłogi, drzemiących psów - z wolna bladła i przesuwała się w sferę niespełnionych marzeń.

Skreśliłam w prostopadłą do Ogrodowej ulicę i po kilkudziesięciu krokach natknęłam się na nieźle zaopatrzonej sklep spożywczy. Nie było tu wprawdzie pięciolitrowych butli wody, ale były dwulitrowe. To nic, za to jest bliźutko,

zaledwie kilka minut od domu. Odłożyłam zakup wody na drogę powrotną i ruszyłam do centrum.

Kiedy wczesnym popołudniem powróciłam z zakupami, zziębnięta jak pies, na moim strychu panował taki upał, że prace porządkowe odłożyłam na później, kiedy już się nieco ochłodzi. Tymczasem rozłożyłam sobie w sadzie karimatę i zabrałam się do studiowania świeżo zakupionego przewodnika po Ziemi Sanockiej. W Bieszczadach byłam tylko raz w życiu, wtedy, w Sanoku, przed dwudziestu pięciu laty. Oczywiście o tym, jak tu jest pięknie, słyszałam wielokrotnie; teraz, patrząc na mapę, zorientowałam się, że Komańcza, Uherce, Jezioro Solińskie - wszystkie te znane miejsca leżą w zasięgu najwyżej dwudziestu kilometrów stąd. Szkoda, że nie mam auta...

Jakoś dotąd nie przyszło mi do głowy, że mogłabym kupić auto. W dużym mieście, gdzie komunikacja działa w miarę sprawnie, a tłok w centrum utrudnia znalezienie miejsca do parkowania, auto nie jest konieczne do życia. Muszę uczciwie dodać, że w razie potrzeby woził mnie Zbyszek, a jeśli akurat nie mógł albo nie chciałam go prosić, miałam do dyspozycji rząd taksówek.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa, gdy mieszka się na peryferiach i ma się dom w remoncie. Jeszcze nie wiedziałam, czy uda mi się tu zamieszkać, ale gdyby... Auto, oczywiście używane, powiedzmy dwu - , trzyletnie... Dwadzieścia do trzydziestu tysięcy. Uch. I kilkaset złotych miesięcznie. A ja nie pracuję. Westchnęłam. Muszę to sobie wybić z głowy. Na razie obejrzę skansen zabytkowych chat, którego piękną fotografię zamieszczono w przewodniku, później wstąpię coś zjeść, a wracając, pójdę na cmentarz. Na ulicę Cmentarną można było wyjść tylną furtką z naszego sadu, trafię tam na pewno. Gorzej będzie z odnalezieniem grobu dziadków i Moniki, ale, o ile pamiętam, cmentarz nie

jest duży i może jakoś sobie z tym poradzę. A jak nie, to poproszę o pomoc kogoś z miejscowych.

*

Tu, od strony ulicy Cmentarnej nie zmieniło się nic. Niewysoki kamienny mur obrośnięty winoroślą, mała, na wpół zasłonięta purpurowymi liśćmi furteczka. Boczne wejście. Główne znajdowało się po drugiej stronie cmentarza, w pobliżu kościoła i plebanii. Przeszłam przez furtkę w murze i zatrzymałam się na moment. Zamknęłam oczy. Zmysły mają osobną pamięć. Mój zmysł powonienia natychmiast odnalazł w swojej pamięci ten zapach - zmieszana woń więdnących lilii, wilgotnej ziemi i maciejki. Zapach małego, peryferyjnego cmentarza późnym popołudniem. Latem. I cisza nasycona dalekim odgłosem ocierającego się o cembrowinę wiadra czy konewki i niskim łoskotem toczonej z głębi wody.

Ogarnął mnie spokój i poczucie bezpieczeństwa - jakbym wróciła do domu po długiej podróży. Jeśli tutaj zamieszkać, to kiedyś, po najdłuższym życiu (jak to się ładnie mówiło), ktoś mnie pochowa właśnie tu, na tym cmentarzu, gdzie trwanie i przemijanie przenikają się w łagodnej harmonii zapachów, barw i dźwięków.

Pod gzymsem niedużej, murowanej kapliczki odkryłam wyryty w tynku napis: *Media vita in morte sumus* (Z łac.: W chwili śmierci jesteśmy w połowie życia.). Wierzę w to. W sprawach nauk katolickich jestem trochę niedowiarkiem albo, jak wolą niektórzy - agnostykiem. Ale w to akurat wierzę albo raczej czuję, że to prawda.

Ruszyłam, rozglądając się za odpowiednim dla siebie nagrobkiem.

Jest. Podeszłam bliżej i zamarłam w zachwycie: nadnaturalnej wielkości anioł (zresztą kto wie, jaka jest naturalna wielkość anioła?) z rozwartymi do lotu wyłocionymi skrzydłami. Stał ze złożonymi rękoma, z

nabożnym skupieniem na głupkowatej twarzy, z oczyma wzniesionymi do nieba.

Idąc w głąb wysadzonej lipami alejki, układałam dla siebie epitafium: „tu spoczywa Monika, dziewczyna kierownika...”, nie, to ograne i nie moje. A może „tu spoczywa Monika S., bywała tu i ówdzie, a teraz tu jest”. Albo: „tu Monika wzdycha za ziemskim padołem, nie chciała leżeć pod Zbyszkiem, leży pod aniołem”. Zaśmiałam się i przystanąłam zdezorientowana. Coś tutaj się zmieniło. Wycięto drzewa, a może powiększono cmentarz? Ruszyłam niepewnie w bok, usiłując wypatrzeć znajomą konstelację drzew i pomników. Na pewno były wysokie drzewa... ba! Tego tu nie brak. Zawróciłam i na skrzyżowaniu alejek rozejrzałam się za kimś, kto mógłby mi pomóc, ale w perspektywie nikogo nie było, a szczęk konewki już dawno rozplynał się w ciszy. Żywej duszy. Postanowiłam przeczesać teraz jeden kwartał, ten najbliższy mojemu wspomnieniu, a dalsze poszukiwania przełożyć na jutro.

- Szczęść Boże.

Napięłam wszystkie mięśnie, żeby nie podskoczyć, i się odwróciłam. Trzy kroki za mną stał wysoki, chudy ksiądz. Plecy miał wygięte w pałąk, w rękę trzymał konewkę. Chyba opuścił się wprost z nieba z tą konewką...

- Przestraszyłem panią.

- Owszem, ale wyjdę z tego. Szczęść Boże.

- Mam tu parę zapomnianych mogiłek. - Machnął konewką, jakby tłumaczył się przede mną ze swojej obecności. - A pani nie z mojej parafii - stwierdził raczej, niż zapytał.

- Nie. Przyjechałam z Wrocławia i próbuję właśnie odszukać grób moich dziadków, Sawickich. Może ksiądz wie?

- A pewnie. Stoi pani na wprost niego, tyle że on tyłem jest obrócony. - Zamiótł raźnie sutanną nagrobki. - To ten.

Rzeczywiście. Znajomy zarys krzyża, płyta z wycięciem na kwiaty. Andrzej Sawicki, Barbara, Monika. Płyta była czysta, a rząd purpurowych stokrotek tchnął świeżą wilgocią. Podniosłam wzrok na stojącego obok księdza.

- To ksiądz...?

- A pewnie. Myślałem, że już nikogo z rodziny nie ma. To pani dziadkowie?

- Tak, i siostra ojca. Nie byłam tu od dzieciństwa... bardzo księdzu dziękuję.

- A tam. - Machnął ręką.

Było mi głupio. Te kwiaty to przecież wydatek, jeśli on tak co roku...

- Jeżeli ksiądz pozwoli chciałabym zwrócić...

- A tam. Proszę tam we Wrocławiu zapalić świeczkę na jakimś zapomnianym grobie i będzie kwita - zaśmiał się. - Zawsze mnie ten grób zaciekał, że tak wszyscy jednego dnia pomarli.

- Oni zostali zamordowani, rozstrzelani przez Niemców. Dziadek ukrywał Żydów, trzyosobową rodzinę..

- A... to nie wiedziałem. Patrz pani, to pożyteczny człowiek był, boży człowiek. A takie syny... choć dziecku mogli darować.

Spojrzałam na jego nieładną, pobrużdżoną twarz, wykrzywioną zupełnie „niebożym” gniewem.

- A... może na herbatę pani do mnie zajrzy? Opowie mi o tych Żydach.

- Niewiele więcej o nich wiem, ale na herbatę wstąpię bardzo chętnie, dziękuję.

Poszliśmy alejką w kierunku głównej bramy. Ksiądz cały czas wymachiwał rażno konewką i cały czas gadał, każde zdanie zaczynając od „A”. Miał miłą dla ucha kresową wymowę, miękka i śpiewną. I lubił gadać. Dowiedziałam się

wkrótce, że jego parafia to już nie to, co kiedyś. Od czasu, jak pobudowali nowy kościół... wie pani.

- Od razu mnie większe pół parafii wyrwali, że mało kto został. A, jest jak jest. Ja nauczony jestem, proszę pani, godzić się z losem, żyć skromnie. Jakoś sobie radzę, choć w przeszłości lepiej bywało. I człowiek młodszy był, to mu niewygodny nie były straszne. A jest jak jest.

Otworzył kluczem drzwi niskiego budynku w głębi kościelnego podwórza i gestem zaprosił mnie do środka. Weszliśmy do dużego, zagraconego pokoju, tak zaciemnionego przez rosnące w podwórzu drzewa, że chociaż trwał jeszcze dzień, trzeba było zaświecić światło. W pierwszej chwili pokój wydał mi się podobny do gabinetu profesora Skrzypka przez wypełnione książkami szafy biblioteczne i ciężkie stylowe biurko. Ale tu podobieństwo się kończyło, nie pachniało pastą do podłóg, a na meblach zalegała warstwa kurzu. Przydałaby się tu Kobieta - Góra. Ksiądz jakby odgadł moje myśli.

- A pani pewnie myślała, że tu księża gospodyni urzęduje, jegomości dogadza? - śmiał się, sprawnie zabierając się do parzenia herbaty. - Księża gospodynie między bajki włożyć, proszę pani. Ja swoją pochowałem sześć lat temu, a i to latami koło niej musiałem skakać. A to, proszę księdza, nogi popuchli, a to kaszel od serca idący... A tam. Jest jak jest. Pani mocną herbatę pija?

- Jaka wyjdzie. Od dawna ksiądz tu jest? Na tej parafii?

- Piętnaście lat będzie na jesieni. Za ten cały czas nie zdarzyło się, żeby kto o grób Sawickich pytał. Dopiero pani.

Zawstydziałam się. Za tatę. Przecież bywał tu od czasu do czasu. Inna sprawa, że o grób pytać nikogo nie musiał, wiedział, gdzie jest.

- Mój ojciec, syn doktora Sawickiego, zmarł przed kilku tygodniami. A innych krewnych nie ma. Oprócz mnie - powiedziałam, chociaż to niczego nie tłumaczyło.

- A tam. Młodym co innego robić, a nie przez pół Polski na groby jeździć. To pani dziadek był lekarzem?

- Tak. Mieszkał tu i praktykował przed wojną i w czasie wojny, aż do śmierci. Kiedy to się stało, mój tato miał siedemnaście lat. Był wtedy w lesie, jak to się mówi. Z całej rodziny tylko on przeżył wojnę.

Ksiądz w międzyczasie zaparzył herbatę. Podał mi filiżankę, wyjął z kredensu paczkę herbatników i wysypał niezbyt zręcznie na spodek.

- A pani do Sanoka na wczasy przyjechała?

- Niezupełnie. Jest tutaj dom, po dziadkach Sawickich. I wychodzi na to, że odziedziczyłam go w spadku. Chcę się zorientować, czy jest coś wart i... nie wiem. Sprzedać albo przenieść się tutaj. Jeszcze nie wiem, co z nim zrobię.

- Dom? Gdzie on jest? Tu, w mojej parafii?

- Nie mam pewności, ale sądzę, że tak. To przy ulicy Ogrodowej, dwa kroki stąd, więc chyba w tej parafii.

- Ogrodowa? Toż tam tylko jeden dom i jedna rodzina mieszka, Boberkowie. Przyzwoici ludzie, nie powiem.

- Dom dziadków jest dalej, na samym końcu ulicy, po prawej stronie. Taki z wysokim dachem.

- Aaa... jest, faktycznie. Toż rujnacja kompletna. Pani myśli zamieszkać?

- Jeszcze nie postanowiłam, co zrobię. Na razie pomieszka tam jakiś czas. Jestem na wakacjach.

Ksiądz popatrzył na mnie jakoś dziwnie, potem zaśmiał się i zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Mówią, że w tym domu straszy.

- Ksiądz w to wierzy?

- Ta gdzie. - Odegnął gestem to niegodne podejrzenie. - Ale tak mówią - dodał uparcie. Popatrzył na mnie ni to z powątpiewaniem, ni to ze współczuciem. - A nie lepiej do hotelu pójść?

- Na pewno wygodniej. Na razie spróbuję tam pomieszkać. Już kiedyś mieszkałam w tym domu przez parę miesięcy, z rodzicami. Byłam wtedy dzieckiem. Nie czuję się tam obco, jestem przecież u siebie.

- Tak, tak. Rozumiem. Tyle że nieprzyjemnie. Naprzód trocha naprawić, założyć drzwi i dopiero zamieszkać.

- Może ksiądz wie, kto by się podjął remontu? Albo chociaż wstawił drzwi i okna?

- Stolarnia jest niedaleko, przy Leskiej, obok sklepu z rowerami, w podwórzu. Znajdzie pani łatwo, ale dzisiaj już za późno. Już pewno do domu poszli.

- Zajrzę tam rano.

Ukryty gdzieś w mroku zegar zgrzytnął ostrzegawczo i wybił dwa razy, miękko, dźwięcznie. Wpół do ósmej. Podniosłam się.

- Pójdę już. Tam nie ma prądu i muszę się zainstalować, póki jeszcze coś widać. Dziękuję księdzu za herbatę.

- Szczęść Boże, dziecko. Niech pani jeszcze przed odjazdem wstąpi do starego.

Najwyraźniej nie brał pod uwagę możliwości, że jednak tu osiadę.

- Wstąpię na pewno.

*

Na moim poddaszu wciąż jeszcze było gorąco. I mimo że zmierzch jeszcze nie zapadł, zrobiło się mroczno. Pocąc się i sapiąc, wymyłam spory kawał podłogi, potem wbiłam gwoździe w dwa sąsiadujące ze sobą słupy i rozciągnęłam sznur. To wszystko. Powinnam jeszcze wyjąć z plecaka ciuchy i rozwiesić, żeby „odeszły”, ale odłożyłam tę robotę na

jutro. Rozejrzałam się po swoim królestwie. To dziwne, ale tak jak odnajdywałam w pamięci kolejno ulicę, ogród, grób dziadków, tak wewnątrz domu nie wydawało mi się znajome. Musiało się tu dużo zmienić. Zamknęłam oczy i spróbowałam przywołać obraz z przeszłości. Duże meble, firanki w oknach, dzban z kwiatami na parapecie okna. Którego...?

Jakiś znajomy zarys framugi drzwi, fotografia ustawiona na biurku... moja fotografia. Zapach strychu, odgłos śpiesznego zbiegania po schodach. Obrazy z pogranicza pamięci i niepamięci, fragmentaryczne, na wpół zatarte, obecne tylko w mało znaczących szczegółach.

Psycholog albo psychoanalityk może dotarłby do najgłębszych pokładów mojej pamięci i poskładał te obrazy w całość - ja nie miałam metody. Mogłam jedynie skupić się i mozolnie przypominać sobie.

Zacznijmy od tego odgłosu zbiegania po schodach.

Usiadłam na podłodze, objęłam rękoma kolana i oparłam o nie czoło. Odgłos zbiegania po schodach. Bosych stóp. Drobnych stóp... moich. Podniesione głosy. I to dziwne wrażenie milczenia, nagłego przerwania rozmowy, kiedy pojawia się ktoś, kto nie powinien słyszeć. Jakieś słowo zawisłe w tej ciszy... ostatnie słowo. Czyjeś imię? I głos mamy - włóż buciki, na dworze jest zimno. Włóż serdak, Moniko. I czyjaś dłoń pomagająca mi założyć serdak. Brązowy sukienny serdak, obsyty czarnym barankiem. Czy ja miałam taki serdak? Czy ja w ogóle miałam serdak? Widocznie miałam.

Nie, to na nic. Jakbym sięgała do pudełka z puzzlami i wyjmowała małe kolorowe kartoniki zrozumiałe tylko wówczas, gdy tkwią na swoim miejscu w gotowej układance.

Uniosłam głowę i mocno wciągnęłam nosem powietrze. Zapach strychu. Drewno, nagrzane dachówki i kurz. Jedyne zapach strychu, jaki znałam, bo we Wrocławiu nie mieliśmy

strychu. A w bloku, gdzie mieszkałam, była tylko suszarnia na ostatniej kondygnacji, pod niebem. Jak cały dom, i suszarnia była zbudowana z betonowych płyt. Zresztą byłam tam wszystkiego raz, może dwa razy, nawet nie wiem po co, bo nigdy nie chciało mi się jeździć na jedenaste piętro z praniem i suszyłam je w łazience.

Tu kiedyś był strych. Nie po tej stronie. Tu dawniej były pokoje. Na podwalinach pod słupy jeszcze można dostrzec ślady po gwoździach, gdzieś na wpół oderwany kawałek deski. Chociaż ścianki działowe znikły, dość łatwo można określić, gdzie kiedyś stały: jedna tam, gdzie kończy się podbicie krokwi, druga pomiędzy mansardami. Teraz była tylko jedna mansarda, druga, bliższa ścianie szczytowej musiała się zapaść wcześniej, gdyż miejsce po niej załatano starannie dachówką. Wiszący na jednym gwoździu wymiany i brak ścianki pod okapem wskazywały, że ongiś była tu mansarda. Tę reperację musiał zlecić komuś mój ojciec podczas któregoś pobytu w Sanoku, kiedy jeszcze przyjeżdżał tu od czasu do czasu ożywiony nadzieją pozbycia się domu.

Tu sypiałam, w jednym z pokoi mansardowych. A obok był pokój rodziców... tylko że oni przychodzili spać bardzo późno, nie mogłam się ich doczekać i zasypiałam. Albo nie. „W tej chwili na górę!” - to poirytowany głos mamy, która intuicyjnie wyczuwała moją przyczajoną za zakretem schodów obecność.

Wstałam i zeszłam kilka stopni w dół. Przysiadłam na pierwszym stopniu nad zakretem schodów. Wtedy była tu poręcz. Mogłam nad nią obserwować ćmy krążące wokół lampy, a kiedy wychyliłam się trochę do przodu - powierzchnię stołu, a na niej piękne, kolorowe karty. Grali w „bez atu”. I ja chciałam grać w „bez atu” - ryczałam, tupałam i czepiałam się poręczy, a potem... piekący ból, zdumienie i łagodny głos ojca: Nie trzeba, Aniu. Wystarczy... dziecku...

Pofrunęłam w górę, zielony stół z rozsypanymi kartami został daleko, bardzo daleko w dole, a ja unosiłam się bezpieczna w ogromnych, silnych ramionach taty.

Pochyliłam twarz, do oczu napłynęły mi łzy. On mnie nigdy, przenigdy nie uderzył... a ja... bywałam wobec niego taka... podła...

Na strychu zapadła zupełna, aksamitna ciemność. Nagle poczułam obezwładniające zmęczenie: poprzednia noc spędzona w pociągu, dzisiejszy dzień, który rozpoczął się kilka godzin wcześniej niż wszystkie inne dni. Dosyć na dziś. Wstałam, otrzepałam tyłek z kurzu. Czas rozstawić swój wigwam.

Wspięłam się po kilku stopniach i wymacałam w ciemności plecak. Latarka. Jest. Już miałam ją włączyć, kiedy usłyszałam cichy, ale bardzo wyraźny głos: na stryszek... połóż to na stryszek.

Mimo że było ciepło, nawet gorąco - po plecach przeleciał mi lodowaty dreszcz. Skąd ten głos...? Otrząsnęłam się gwałtownie, żeby odpędzić wrażenie, że ten głos pochodził z zewnątrz. Musiał wypłynąć z mojej pamięci, która pobudzona, wręcz przymuszona do otwarcia się funkcjonowała już bez udziału mojej woli. Połóż to na stryszek... oczywiście, że był stryszek. Gdzieś tu, na końcu ciemnego korytarza poddasza, obok drzwi do pokoju... mojego pokoju. Na stryszku stały jakieś osnute pajęczyną graty, spiętrzone klamoty, rzeczy, które już zmarły, ale nikt nie miał serca ich wyrzucić. Zaglądałam od czasu do czasu na stryszek. W dzień. W nocy bałam się stryszku. Oczywiście, że stryszek w dzień i stryszek w nocy, to są dwie zupełnie różne sprawy!

Przelazłam przez belkę i nieistniejącym już korytarzykiem powędrowałam w najczarniejszy kąt poddasza. Tutaj zachował się fragment ściany... a nawet dwie ściany, prostopadłe do

siebie - ściany stryszk. I małe drzwi. Zamknięte. Dobra, stryszek obejrzymy jutro, za dnia.

Zajęłam się przygotowaniem legowiska. Zawiesiłam zapaloną latarkę na gwoździu, ułożyłam karimatę, a na niej śpiwór. Wielka kurtka z polaru, lekka i miękka, kilkakrotnie złożona, świetnie zastąpi poduszkę. Wymacałam w plecaku nylonową torbę z przyborami toaletowymi, ręcznikiem i nocnym strojem. Ręcznik powiesiłam na sznurze, odkładając mycie na rano. Teraz spać, spać jak najszybciej, bo oczy się kleją i wydaje się, że to już nie moje życie, tylko film. Przebrałam się w stary baletowy trykot, w którym spało mi się najwygodniej. Sprany i ponaciągany, leżał jak druga skóra, a miał tę przewagę nad koszulą, że nie zwijał się i nie podjeżdżał do góry. To był mój ostatni trykot baletowy, sprzed piętnastu lat. Pod koniec podstawówki jakoś tak gwałtownie urosłam, w ciągu paru miesięcy osiągnęłam mój docelowy wzrost - metr siedemdziesiąt - i raptem stałam się wyższa o głowę od koleżanek z baletu. Był z tym pewien kłopot - mistrz musiał teraz tworzyć układy koncentryczne - wokół mnie. A ja wcale nie miałam zadatków na primabalerinę; chodziłam na ten balet, bo tato uważał, że dzięki temu nabiorę wdzięku w poruszaniu się, co, jak sądził, jest kobiecie niezbędne. Jakoś tego wdzięku nie nabywałam, wręcz przeciwnie: zaczęłam się garbić i zdarzało mi się potknąć o własne prawidła. Mogłam w miarę bezpiecznie funkcjonować jako kwiatek czy ptaszek w ostatnim rzędzie, w pierwszym stanowiłam coś w rodzaju samochodu pułapki. Zbuntowałam się i porzuciłam balet. A rok później skrzypce. „Małpia biegłość to nie wszystko, trzeba jeszcze iskry bożej!”, wykrzyczałam osłupiałemu ojcu słowa rzucone mi w zdenerwowaniu przez nauczycielkę. I zażądałam, żeby kupił mi magnetofon. Wobec tych kolejnych buntów tato był bezradny, jego logiczne argumenty spływały po mnie jak woda po gęsi - miałam swoje naście lat i

wiedziałam lepiej. Szkoda. Może nie byłabym dziś takim beznadziejnym przeciętniakiem.

Co jeszcze? Jakoś nie miałam ochoty gasić latarki. Z westchnieniem rezygnacji wyjęłam z plecaka ubrania i rozwiesiłam je starannie na sznurze. Co jeszcze? Uświadomiłam sobie, że to, co podświadomie nie daje mi spokoju, to ten zamknięty stryszek. To, co może być za jego zamkniętymi drzwiami. A niby cóż tam mogło być? Pajęczyny, stare graty albo nic. Nie, nie da rady. Muszę zajrzeć tam teraz, bo inaczej będę się go bać tak samo, jak bałam się wtedy. Zdjęłam latarkę z gwoźdźca i ruszyłam w kąt strychu. Drzwi stryszku nie były zamknięte na żaden haczyk czy zatyczkę, były przymknięte. Pchnęłam je, a one poddały się z lekkim hurgotem. Z mocno bijącym sercem skierowałam do wnętrza światło latarki. Pusto. Odetchnęłam. Trochę pajęczyn, trochę śmieci na podłodze - to wszystko. Już chciałam się wycofać, kiedy zauważyłam, że coś na podłodze błysnęło w świetle latarki. Postąpiłam krok i przykucnęłam. Ostrożnie, żeby nie pokaleczyć palców, odsunęłam odłamki potłuczonego szkła i raptem ujrzałam twarz dziecka... moją własną twarz z dzieciństwa, patrzącą z dużej fotografii w kolorze sepii. Od razu poznałam tę fotografię, dawniej stała na biurku.

Ciekawe... przecież to był siedemdziesiąty pierwszy rok... kto jeszcze posługiwał się tą techniką? Może w jakimś artystycznym atelier wykonywano takie zdjęcia? Odwróciłam kartonik i przeczytałam na odwrocie: „Monika 1944”.

No proszę. To tamta Monika.

Wycofałam się ze stryszku. Wyjęłam z plecaka opakowanie jednorazowych chusteczek i starannie oczyściłam fotografię z kurzu. Potem oparłam ją o podwalinę o krok od mojego posłania i skierowałam na nią światło latarki. Hej, Moniko - szepnęłam.

Patrzyła wprost na mnie ciemnymi, błyszczącymi oczyma, z lekko uchylonymi ustami. Na okrągłej buzi zastygł wyraz na wpół zdziwienia, na wpół radosnego oczekiwania - zapewne powiedziano jej, że za moment z czarnego obiektywu wyleci ptaszek.

Pewnie ona także chciała grać w „bez atu” i chodzić sama do wychodka, a oni mówili: jak urośniesz.

Ptaszek nigdy nie wyleciał, a ty nie urosłaś. Mój Boże! Gdybyś przeżyła jeszcze dwa miesiące, dwa marne miesiące do wkroczenia Armii Czerwonej... żyłabyś do dziś. Wszystko potoczyłoby się inaczej.

Na wyprawę do fotografa Monika została starannie przygotowana: jasne, niemal białe włosy rozdzielono jej na środku równiutkim przedziałkiem i zapleciono nad skroniami w dwa cienkie warkoczyki biegnące w tył głowy i przewiązane wstążkami. Czerwonymi wstążkami. Biała koszulka miała stójkę związaną pod szyją na tasiemki, a na wierzch założono serdaczek. Brązowy sukienki serdaczek obszyty czarnym barankiem.

Hej! Czy ja się nie za bardzo rozpędziłam? Skąd pewność, że wstążki były czerwone, a serdak brązowy? Patrząc na fotografię, widziałam tylko gamę brązów - od kremowego do niemal czarnego. A jednak wiedziałam, że wstążki były czerwone. Jakby to mnie zawiązano je kiedyś na włosach... Czy to możliwe, że to ja byłam Moniką? Tamtą Moniką? Szalony pomysł, a jednak...

Zaśmiałam się i w parnej, ciemnej ciszy domu mój śmiech wcale nie dodał mi ducha. To zupełnie co innego snuć medytacje w duchu sansary, przebywając na siódmym piętrze bloku pełnego ludzi, co innego na strychu opuszczonego domu, twarzą w twarz z wizerunkiem poprzedniego wcielenia. Dosyć! Odwróciłam fotografię i zgasłam latarkę. Wyciągnęłam się na śpiworze i zamknęłam oczy. Spać.

A jednak te wstążki nie dawały mi spokoju. Musi być jakieś logiczne wytłumaczenie. Och... oczywiście! Musiał mi to powiedzieć tato albo mama. Którekolwiek z nich to powiedziało, zrobiło to na odczepnego, bo przecież nie mogli tego wiedzieć. Wtedy, kiedy fotografia włożona w metalową podstawkę z uchwytem stała na biurku, musiałam jej się często przyglądać. To zrozumiałe, że ciekawiła mnie dziewczynka w moim wieku, choć z tego, że jestem do niej podobna, prawdopodobnie nie zdawałam sobie sprawy.

Wszystko ma swoje logiczne wytłumaczenie. Wszystko - powtarzałam sobie, usypiając. Ale i tak wiedziałam, że prócz rzeczy wytłumaczalnych istnieje całe mnóstwo bzdur, których wytłumaczyć się nie da - a one jednak są. Po prostu. Te wstążki, czerwone wstążki to była właśnie taka bzdura: nikt nie mógł wiedzieć, że były czerwone - a jednak ja wiedziałam. Nie dlatego, że ktoś mi to powiedział, tylko dlatego, że wiedziałam. I właśnie te wstążki, czerwone wstążki, to klucz do tajemnicy... początek zła... otwarcie w „bez atu”...

Coraz głębiej zapadałam się w ciepłe milczenie domu, moje myśli plątały się, odpływały jak coś niepotrzebnego - i raptem z ciszy wypłynęło jak podane na tacy tamto zawisłe w powietrzu słowo, słowo, którego usłyszeć nie powinnam: Pragłowska. Takie zupełnie zwykłe, pospolite nazwisko. I bardzo dobrze mi znane. Jak mogłam zapomnieć?

Nie było niczego niezwykłego w tym, że ściany znów są na swoim miejscu, a w mroku rysują się znajome kontury sprzętów. Połóż to na stryszek. Połóż to na stryszek, Andrzej... I kroki. Ktoś wspina się po schodach. Jednak byłam tamtą Moniką... Nie, jestem tą Moniką, a tamta, która gra na skrzypcach, skacze do basenu pełnego błękitnej wody - dopiero będzie. Albo nie będzie jej wcale - może ja ją tylko sobie wymyśliłam? Kroki, szybkie, przestraszone zbliżają się i nagle oślepia mnie światło lampy. Lampa chwieje się i

wszystkie cienie w pokoju zaczynają szalony taniec, a nade mną pochyła się mama. Ma twarz mojej matki i nic w tym dziwnego, to jedyna twarz matki, jaką znam. Nic nie mówi, a jej oczy... nigdy nie widziałam u niej takich oczu... nabieram powietrza, żeby rozplakać się, ale ona chwyta mnie brutalnie w pól, wyszarpuje z pościeli i już pędzimy po schodach w dół na złamanie karku, a cienie wokół nas wirują w upiornym tańcu. Pokój, kuchnia... gwałtownie otwarte drzwi kuchenne i otchłań szarzejącej nocy. Popchnięta ręką mamy ląduję na ziemi, ogłuszona, bez tchu. Leć do Pragłowskiej, szybko! Trzask! Jestem sama. A z drugiej strony domu, od ulicy, narasta jakiś piekielny hałas - to motocykle - mówi jakiś głos za mną. Zdaję sobie sprawę, że to niebezpieczeństwo, straszne niebezpieczeństwo, które przerasta nie tylko mnie, ale mamę, tatusia... włosy podnoszą mi się na głowie... Aniele Boży... pchnął mnie w plecy: szybko!

W sadzie, zamiast biec prosto do tylnej furteczki, skrzyłem pchnięta w bok niewidzialną ręką i obiegłam szerokim łukiem to miejsce, gdzie go zakopali. Żeby na niego nie nastąpić. Usłyszałam za sobą szczekliwe krzyki, tupot... to oni...! potknęłam się, upadłam i na brzuchu, na kolanach przeczołgałam się pod furtką. Płakałam. Aniele Boży, Aniele Boży... pozwól mi się obudzić! Ty wiesz, że nie jestem tamtą Moniką, która za chwilę umrze...!

Na moment znalazłam się na dusznym poddaszu, ujrzałam nad głową kontur zastrzału, przez dziury w poszyciu szarzące niebo. Ale ta powracająca rzeczywistość okazała się tylko fantomem, planszą zawieszoną ręką Anioła Stróża przed moimi oczyma. Jakaś ciemna siła zdmuchnęła ją jak strzępek mgły i teraz pędziłam wyludnionymi ulicami w upiornym świetle przedświt. Leć do Pragłowskiej. Do Pragłowskiej, szybko...! Dopadłam w końcu do tamtych drzwi i zaczęłam walić w nie pięściami. Nikt nie otwierał. Usiadłam

na wycieraczce i czekałam. Było mi zimno, świat walił się wokół mnie.

A potem jakimś cudem byłam już w środku. Tamto niebezpieczeństwo minęło, zostało gdzieś daleko za mną. Tyle tu chleba - myślałam zdziwiona, po co komu tyle chleba? Był wszędzie, leżał na stole, na parapecie okna, na płycie węglowej kuchni, na kredensie. Nawet na podłodze - zachrzącał pod moimi stopami i cofnęłam się śpiesznie - to grzech deptać chleb. W fotelu obok węglowej kuchni siedziała kobieta. Była bardzo, bardzo stara, brudnosiwe kosmyki sterczały jej spod nasuniętej na czoło chustki, rysy twarzy gubiły się w obwisłych fałdach szarej skóry. Oczy miała przesłonięte bielmem, ślepe.

- Moniko - powiedziała chrapliwie, jak ktoś, kto rzadko mówi. - Wiem, że to ty. Teraz mogę już umrzeć.

I umarła. Głowa opadła jej na piersi pod nieprawdopodobnym kątem, z ust wysnuła się długa nić śliny. Starcze ciało kurczyło się, zapadało coraz głębiej w fotel, w końcu zamieniło się w odczłowieczoną stertę łachmanów.

Nawet koszmary mają swoje granice. Mój umysł zbuntował się i szarpnął. Wypląnęłam na powierzchnię, bez tchu, spocona, roztrzęsiona. Gwałtownie wciągnęłam powietrze, raz, drugi. Rozpaczliwie walczyłam o każdy strzęp powracającej rzeczywistości. Już. Dobrze. Ja - to ja. Łomocące głucho serce zaczęło uspokajać się z wolna. Sięgnęłam do twarzy i stwierdziłam, że jest zupełnie mokra. Musiałam naprawdę płakać, nie tylko we śnie.

Koszmar to koszmar - przychodzi i już. Jak ja dotąd mogłam sądzić, że miewam koszmary? Przecież to, co do tej pory uważałam za koszmary, to bułka z masłem, łagodne odbicie jakiegoś miejsca w odległej przestrzeni i czasie. A to... z całej siły odepchnęłam od siebie nierzeczywistość sprzed chwili, już, już gotową powrócić. Całe szczęście, że zdołałam

się obudzić! Byle tylko nie zasnąć znowu. Na wpół przytomna wygrzebałam się ze śpiwora i uświadomiłam sobie, że wszystko mnie boli, od stóp po czubek głowy. Wszystkie kości, mięśnie, nawet włosy. Jak widać spanie na podłodze mi nie służy.

Wyprostowałam się z trudem. Rozmasowałam kark, tyłek, ramiona. Zrobiłam kilka skłonów i przysiadów, starając się nie zważać na ból. Wlałam do miski dwie butelki wody mineralnej i umyłam się, nieuważnie rozchlapując wodę po podłodze. Mniejsza o to, byle jakoś opłukać całe ciało - potrzebowałam tego.

Umyłam zęby i wyszczotkowałam włosy. Już lepiej. Lepiej, tylko... ten koszmar wciąż czaił się gdzieś w pobliżu mnie, czułam, że wbrew mechanizmowi przejścia od snu do jawy on, zamiast zacierać się i znikać, podstępnie utrwała się gdzieś w mojej podświadomości. Jakby chciał znaleźć się „pod ręką”, gdy tylko przymknę oczy.

Założyłam dżinsy i koszulkę i z wiaderkiem brudnej wody zesłam na dół. Wiedziałam, że wychodek już nie istnieje - zapadł się pod ziemię albo został dawno rozebrany. Wylałam wodę w miejscu, gdzie kiedyś był.

Ciekawe - na dworze wciąż jeszcze trwał szary przedświt. Ten cholerny sen trwał najwyżej kilka, kilkanaście minut... a mnie się wydawało, że przez całą noc. Przystanąłam w wilgotnym półmroku, wsłuchując się w pierwsze ptasie gwizdy, jeszcze niskie, zasnute snem. Odstawiłam wiaderko i ruszyłam do sadu. Odległość od kuchennych drzwi do tylnej furtki wynosiła sześćdziesiąt trzy kroki dorosłego człowieka. Trawa, miejscami bujna, miejscami wyliniąta, przyjemnie chłodziła mi stopy. To miejsce jest gdzieś tutaj - w pobliżu ulicy Cmentarnej. Tak, to tu. Na przestrzeni kilkunastu metrów kwadratowych nie rosły żadne drzewa, jedynie przy samym płocie rząd zdiczających porzeczek. Nie mogłam się

dłużej oszukiwać, znałam to miejsce i znałam drogę do Pragłowskiej.

Nie musiałam przeczołgiwać się pod furtką, bo już dawno nie było żadnej furtki i tylko dwa ciemnobrązowe od rdzy słupki wskazywały miejsce, gdzie kiedyś była. Wyszłam na Cmentarną i ruszyłam wyludnionymi ulicami, bez wahań odnajdując drogę. To było gdzieś tu... tak, to ten dom. Targowa jedenaście. Dom był jednopiętrowy, stary i brzydki, z drzwiami balkonowymi na piętrze wiodącymi donikąd. Drzwi do klatki schodowej stały otworem, jakby mieszkańcy tego domu nie mieli niczego do ukrycia, niczego, co mogłoby skusić złodzieja. Wewnątrz owionął mnie smród kociego moczu i stęchlizny. Panował mrok, ale mimo to udało mi się przeczytać tabliczkę umocowaną na drzwiach mieszkania na parterze, na lewo od betonowych schodów. „T.A. Mizera”.

Uff. Czyżby Pragłowska, to pospolite nazwisko przyplątało mi się w jakichś innych okolicznościach, później? Niewykluczone. Chociaż to, że w tym mieszkaniu mieszka ktoś o innym nazwisku, wcale nie świadczy, że ona tu kiedyś nie mieszkała.

Wróciłam na swoje poddasze i zajęłam się przyrządzeniem kawy. Zajęcie praktyczne, absorbujące i celowe. Byłam z siebie dumna - przygotowując się do wyjazdu, nie zapomniałam o najdrobniejszym szczególe. Przyglądając się, jak w wodzie podgrzewanej w kocherze tworzą się maleńkie bąbelki, myślałam, jak by dotrzeć do tej Pragłowskiej. A właściwie, jak znaleźć jakiś ślad jej pobytu na ziemi. Może ma tu jakichś pociotków? Warto przejrzeć książkę telefoniczną. Niewielka szansa, że to coś da, ale od czegoś trzeba zacząć.

Dzień wstał słoneczny, na moim strychu zrobiło się zupełnie jasno, a przez dziury w dachu przeświecało błękitne niebo. Będzie znów upał. Przebrałam się w jedyną sukienkę, jaką ze sobą zabrałam, cienką, z indyjskiej bawełny. Była

trochę wygnieciona, ale nie przejęłam się tym. Czy mnie ktoś tu zna? Na stopy wsunęłam sandały. Woda zawrzała, zaparzyłam więc kawę i wyjęłam tabliczkę czekolady z żelaznego zapasu. To gwarancja, że zgłodnieję najwcześniej za dwie, trzy godziny.

*

Najbliżej poszukiwanego przeze mnie nazwiska znalazł się Pragłowicz Zygmunt, pieczętka, nadruki. Przed nim Pragło Eulalia, za nim Prajda Władysław, inżynier. Przerzuciłam kilka kartek wstecz i odszukałam aż dwóch Mizerów, niestety, żaden z nich nie miał imienia rozpoczynającego się na T lub A. Hm. Właściwie powinnam dać sobie spokój, przyjąc, że ta Pragłowska pochodzi z innej bajki albo że jest tylko fantomem. Postacią ze złego snu. Ale cóż szkodzi jeszcze raz pójść do tamtego domu i popytać sąsiadów?

Dom w pełnym blasku słońca okazał się jeszcze brzydszy niż o świcie. Tynk łuszczył się i odpadał z płaskiej elewacji, ukazując wstydlive bebechy trzciny i gipsu, rynna przeżarta była rdzą. Framugi otwieranych na zewnątrz okien wydawały się w nie lepszym stanie niż framugi w domu moich dziadków - rozeschnięte, zamalowane kilkoma warstwami brązowej farby. Bieda.

W podwórzu, za niskim płotem oddzielającym parcelę od ulicy, dostrzegłam kobietę w nieokreślonym wieku, rozwieszającą pranie. Była w nylonowej podomce, w kapciach - żadnych wątpliwości, że tu mieszka. Oparłam się o płot.

- Przepraszam panią! Szukam pani Pragłowskiej... Kobieta odwróciła się i popatrzyła na mnie z ciekawością.

Uśmiechnęłam się, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

- Jak pani mówi?

- Pragłowska.

- Nie, tutaj taka nie mieszka. Jaki to ma być adres?

- Targowa jednaście - odparłam przytomnie.

- To tutaj. Ale taka nie mieszka.

Hm. Nie wypadalo zapytac wprost mojej rozmowczyni, jak dlugo ona sama tu mieszka.

- A nie wie pani, czy kiedyś nie mieszkała? Zdaje się, zajmowała mieszkanie na parterze, po lewej.

Wrzuciła mokrą sztukę bielizny do miski i podeszła do płotu.

- Tam to my mieszkamy, Mizery. Od dwunastu lat. A przed nami był Świderski, felczer.

- Może ktoś z sąsiadów by wiedział? Ktoś, kto tu dłużej mieszka?

- Może Serewa. On tu zawsze mieszkał. Pani wejdzie. - Otworzyła furtkę na podwórze.

Poszłam za nią. Obeszliśmy dom i Mizerowa zastukała we framugę uchylonego okna parterowej oficyny.

- Panie Serewa!

Po chwili okno otworzyło się szerzej i wyjrzał stary, bardzo stary człowiek.

- O co chodzi?

- Ta pani jakiejś Pragłowskiej szuka. Podobnie tu mieszkała.

- Pragłowska? Toż ona już sto lat nie żyje.

Więc jednak. Mizerowa odeszła niby do swoich sznurków, ale słuchała pilnie.

- Pan ją znał? - zapytałam.

- Znał, nie znał. Z domu nie wychodziła, to i nikt jej nie znał. Za te dziesięć lat, co my po sąsiedzku mieszkali, to ja ją widział może dwa razy.

- Nie wie pan, czy miała jakąś rodzinę?

- Jaką rodzinę, pani. Sama była. Zdechła jak pies, tydzień przeleżała, aż my z milicją weszli. Smród był taki, bo to lato było... wie pani. Nikt potem mieszkania nie chciał, tak smrodem przeszło. Dopiero Świderski....

Opowiadał z przejęciem coś o rwaniu podłóg i skuwaniu tynku, a mnie zrobiło się niedobrze. Oparłam się o ścianę przybudówki. Musiałam wyglądać nietęgo, bo w pewnej chwili Serewa przerwał swoje plastyczne opowiadanie i wychylił się zaniepokojony.

- A pani może jej krewna?

- Nie, nie. Ja tylko... chciałabym znaleźć kogoś, kto ją znał.

- Moja żona ją znała, nosiła jej czasem zakupy. Ale żona już nie żyje. A tak, to nie wiem...

- Jak ona wyglądała? Ta Pragłowska?

- Nijak. Stara była, ślepa.

- Ale... na pewno ktoś ją odwiedzał, choćby z opieki społecznej...

- Jakiej opieki, pani! Te z opieki to chodzą tam, gdzie mogą coś wynieść, do budy nie przyjdą.

- Wierzyć mi się nie chce, żeby nikt nigdy jej nie odwiedził. Choćby ktoś ze starych znajomych.

- Też nie.

- Wierzyć mi się nie chce - powtórzyłam.

Powoli wracałam do siebie. Serewa z grymasem skupienia na pomarszczonej twarzy usiłował wygrzebać coś z pamięci. Z chrzęstem tarł nieogolony podbródek.

- Zaraz... czekaj pani... chyba że taka jedna... tak, ta by ją mogła znać. Ona długie lata była kierowniczką spożywczego, tu, za rogiem. Teraz tam jest jakiś Polmozbyt czy coś.

- Myśli pan, że w tym sklepie ktoś ją zna? Tę kobietę?

- Nie, nie to. Już ze dwadzieścia lat, jak poszła na emeryturę. Może być, że już umarła.

- Jak się nazywała?

- Zaraz... Jej syn na kolei pracuje. Mizera by wiedział. - Wychylił się ze swego okna prawie do połowy. - Pani

Mizerowa! Nie wie pani, jak on się nazywa? Taki czarniawy, na kolei pracuje. Mieszka na Przewozowej.

Mizerowa porzuciła swoje sznurki i podeszła bliżej. - Na Przewozowej to wszyscy na kolei pracują.

- Jego matka była kierowniczką w geesie, tu, za rogiem. - A, to będzie chyba Sitko.

- Tak jest, Sitko. Nie wie pani, czy jego matka jeszcze żyje?

- Może być, że nie żyje. Ale nie słyszałam, żeby umarła.

- Pani pójdzie na Przewozową, to niedaleko. Tak gdzieś w połowie, po prawej stronie.

- A pani nie zna adresu? - spytałam Mizerową.

- Na co adres? Pani kogo zapyta, tam się wszyscy znają.

I rzeczywiście. Dokonałam wprawdzie próby odnalezienia nazwiska Sitko w książce telefonicznej, ale takie tu nie figurowało. Był tylko jeden Sitek, który mieszkał na Mickiewicza. W tej sytuacji nie miałam wyboru, poszłam na Przewozową, licząc, że rzeczywiście „tam się wszyscy znają”. Pierwszą osobą, którą uznałam za stałą mieszkankę ulicy Przewozowej, była kobieta stojąca na ustawionym na chodniku stołku i z tej wygodnej pozycji myjąca okno parterowego mieszkania. Zadowolona z przerwy w pracy zlaźła ze stołka i udzieliła mi wyczerpujących informacji.

- O, tam. Wejdzie pani w podwórze i zaraz na prawo. Na parterze.

Pomyślałam, że tu prawie wszyscy mieszkają na parterze. Wygodnie. Kobieta przypatrywała mi się ciekawie.

- Pani nowa?

Nie zrozumiałam pytania.

- Tak - odrzekłam na wszelki wypadek, bo nie czułam się staro. A tutaj byłam w pewnym sensie nowa.

- Długo pani nie wytrzyma.

- Tak...? Dziękuję pani.

Nie wlaźła z powrotem na stołek, patrzyła za mną. Czułam na plecach jej spojrzenie. Doszedłszy do wskazanego obejścia, odwróciłam się, a ona kiwnęła energicznie głową i machnęła ponagląco ręką, w której trzymała szmatę. Weszłam na podwórze. Tu, przy tej ulicy, domy pobudowano w ten sposób, że stały frontem do ulicy, ale wejścia znajdowały się od strony obszernych podwórz, częściowo zagospodarowanych jako ogródki.

Kobieta, która otworzyła drzwi, była zaniedbana, nieładna, z siwiejącymi włosami zebranymi byle jak w ogon przewiązany pończochą. Mogła mieć równie dobrze czterdzieści, jak sześćdziesiąt lat. Ale i tak za młoda, by być tą, której szukałam. Zupełnie niezaskoczona moim widokiem szerzej otworzyła drzwi.

- Nareszcie - powiedziała, ignorując moje „dzień dobry”.
- Już myślałam, że nikogo nie przyślecie.

Znalazłam się w kuchni, brudnej, zabałaganionej. Domyśliłam się już, że wzięła mnie za kogoś innego.

- Przepraszam za najście. Ja do pani Sitkowej.
- No pewnie, że do Sitkowej.
- Do starszej pani Sitkowej. W sprawie osobistej. Nazywam się Monika Sawicka. - Umyślnie przedstawiłam się wyraźnie, a nuż to nazwisko obilo jej się o uszy?

Nie, było jej obce. No cóż, rodzina Sawickich zapadła się pod ziemię przed jej przyjściem na świat.

- Pani nie jest z opieki? - spytała zbita z tropu.
- Nie. Chciałabym porozmawiać z panią Sitkową w sprawie osobistej - powtórzyłam z naciskiem. - Miałam zamiar uprzedzić telefonicznie o moim przyjściu, ale nie znalazłam w książce numeru...

- My nie mamy telefonu - powiedziała z rezygnacją i ruszyła ku tylnym drzwiom kuchni. - Wie pani, oni myślą, że jak pracuję na zmiany, to mogę koło niej skakać. - W jej

głosie pobrzmiwała gorycz, rozczarowanie, niechęć i pretensja do świata. - Proszę.

Za kuchnią znajdowało się coś w rodzaju korytarzyka, oddzielonego szafami i kotarą od większego pokoju. Kobieta zatrzymała się z ręką na kotarze i odwróciła się do mnie.

- Ona od czterech lat nie wychodzi z domu - powiedziała tonem wyjaśnienia i odchyliła kotarę. - Ktoś do ciebie, matka.

Przepuściła mnie do pokoju.

W nozdrza uderzył fetor. Niewietrzonego pomieszczenia, brudnej pościeli, starości. Jedyne okno niemal całkowicie zasłaniały przerośnięte pelargonie, tak że panował tu zielonkawy półmrok. Wiodące wprost na ulicę podwójne drzwi zastawiono szafą i tylko odrobina światła przesączającego się górą świadczyła, że te drzwi tam są.

- Pani z opieki? - zaskrzeczał gdzieś z głębi starczy głos i dopiero teraz dostrzegłam w fotelu pod oknem otyłą postać kobiety.

Tak, ta wyglądała na swoje osiemdziesiąt lat. Pewnie jest głucha, niedowidzi i ma daleko posuniętą sklerozę - pomyślałam ponuro, zbliżając się do fotela. Przemówiłam powoli, wyraźnie i głośno, chyba za głośno...

- Nie, nie jestem z opieki. Nazywam się...

- Pani nie krzyczy - przerwała mi. - Nie jestem głucha.

- Przepraszam. Nazywam się Monika Sawicka... Drgnęła i wpatrzyła się z nateżeniem w moją twarz, w widoczny sposób usiłując wyostrzyć zmętniały wzrok.

- Monika...? Córka doktora Sawickiego? - szepnęła z niedowierzaniem.

- Jestem jego wnuczką. Córką Stanisława.

- A, tak, tak. Pani młoda. A Monisia już po pięćdziesiątce musi być.

Znów zakręciło mi się w głowie. Nie byłam już pewna, czy to jawa, czy dalszy ciąg koszmaru. Sitkowa wychyliła się,

złapała poręcz stojącego obok krzesła i z nadszpiewaną siłą przestawiła je tak, że znalazło się naprzeciw jej fotela.

- Wnuczka doktora, proszę, proszę - mruknęła z podziwem. - Pani siada - klepnęła w siedzenie krzesła.

Usiadłam. Jeszcze nie byłam gotowa przyjąć tej prawdy, ale już czułam, że ona jest, istnieje obiektywnie i tak samo obiektywnie istniała przez tamte wszystkie lata. Jak to możliwe? Siedząca przede mną stara kobieta jest na wpół ślepa, nie może ruszyć się z fotela przy oknie, ale umysłowo jest zupełnie sprawna, to się od razu da zauważyć. Muszę jakoś rozsądnie, po kolei...

- Pani знаła mojego dziadka? - spytałam ostrożnie.

- Pewnie, że znałam. Nie tak z bliska, wie pani, ale jak to się zna doktora. Tu przed wojną ledwie kilku było doktorów, a doktor Sawicki z nich najmądrzejszy. Jak już co powiedział, to było święte. Mojemu ojcu powiada tak: panie Niedzielski, proszę sprawy porządkować, żeby żonie długów nie zostawić. I co pani powie? Pół roku nie przeszło, jak tato już ziemię gryzł! My mieliśmy sklep, tu, w rynku. - Westchnęła z tęsknotą i przymknęła oczy.

Nie odzywałam się, chciałam, żeby mówiła dalej, żeby mówiła jak najwięcej - przecież nie wiedziałam nic.

- Teraz lekarze głupi są albo udają głupich - podjęła po krótkiej chwili. - Do mnie taki smark powiada tak: pani Sitkowa, pani to będzie żyła sto lat. Taki mądry, wyliczył sobie. A Stanisław żyje?

- Zmarł niedawno. W zeszłym miesiącu, na zawał. Ja właśnie... to znaczy... Czy pani wie, co się stało pod koniec wojny z rodziną doktora?

- Pewnie, że wiem. Zabili go Niemcy, że Żydów chował.

- A rodzina? Co się stało z rodziną?

- No jak to? Zabili doktorową, chłopaka, co doktorowi do pomocy był, no i Szulców, ile ich tam chowali. Trzech albo

czterech, tego już nie wiem. Żadnego Szulca już potem nie widziałam, więc mogło być i czterech. Stanisława wtedy nie było, wiele wcześniej wywieźli go z łapanki.

- A Monika...?

- Nie, nie. Monisia u Pragłowskiej była. To pani nie wie?

- Nie - szepnęłam.

Więc Monika przeżyła. Uciekła tamtej strasznej nocy do Pragłowskiej. Jak to możliwe, że nikt o tym nie wiedział? Że tato o tym nie wiedział...?

- Czy ta... Pragłowska była znajomą doktora? - spytałam.

- A gdzież! Do prania chodziła, ogród plewić. Służąca.

- Rozumiem. Ale... musiała być w jakiś sposób bliska moim dziadkom, skoro powierzyli jej dziecko.

- Nikt z nią nie był blisko. Bali się jej ludzie i obchodzili z daleka.

- Bali się? Uważali ją za czarownicę?

Spojrzała na mnie uważnie, jakby chciała na mojej twarzy wytropić cień uśmiechu czy szyderstwa. Nic z tego, nie było mi ani do śmiechu, ani do żartów. Sitkowa zrobiła dłonią falisty ruch oznaczający chyba, że wszystko na tym świecie jest możliwe.

- Ona się naprawdę nie nazywała Pragłowska.

- A jak? - spytałam zdezorientowana.

- Banera.

Patrzyła na mnie z napięciem, ale to nazwisko było mi zupełnie obce. Wychyliła się ku mnie ze swojego fotela i owiał mnie jej oddech, ciepły, lekko zatęchły.

- Jej ojciec był katem we Lwowie. Podobno bardzo elegancki człowiek, majątna rodzina. Ona też brzydka w młodości nie była, ale kto by się chciał zadawać z córką kata? Jak doszła swoich lat, to uciekła. Naprzód do Warszawy, a potem tu przyjechała, za jakimś alfonsiakiem. Bawiła się, puszczała pieniądze. Aż to się za nią przywlokło. Jakoś tak,

ktoś ją rozpoznał albo co. Latka poleciały, pieniądze się rozeszły, no i została się tu.

- Biedna kobieta - szepnęłam. Popatrzyła na mnie i się skrzywiła.

- No, niby tak. Nikt jej do pracy nie chciał ani do domu, ani nawet do krów. Coś w niej takiego było, że się ludzie bali. Z głodu by zdechła, gdyby nie doktor Sawicki. On ją do szpitala wołał, do mycia trupów, a to wie pani, dobrze płatne było. Doktorowa ją do pracy przy domu brała, nawet zachodziła do niej czasem tak, z dobrego serca.

- Powierzyła jej dziecko...

- No, najwidoczniej. To Stanisław nie wiedział?

- Nie, nie wiedział. Był pewny, że Monika została zabita tamtej nocy, razem ze wszystkimi. Zresztą... na płycie grobu dziadków jest też jej imię, i data śmierci. Ta sama co ich.

- Tak? Co pani powiesz... Może i jest...? Ja nie pamiętam. Przetarłam oczy.

- Nie rozumiem... przecież o tym, że Monika przeżyła, musiało wiedzieć mnóstwo osób!

- Ale. Jakim cudem? Nikt niczego nie wiedział, może jeden ksiądz, co ich chował. Ja też nie wiedziałam, dopiero potem. To były złe czasy, pani. Za kawałek margaryny życie można było stracić... Pragłowska siedziała cicho, w piwnicy ją trzymała. Nikt nie wiedział. Dopiero jak Ruskie weszli, wzięła ją do mieszkania, że niby krewniaczka. Głód był... pani! Kto miał głowę o cudze dziecko się martwić?

- Ale pani wiedziała.

- Ja tak, bo znałam Monię wcześniej. Była strasznie zabiedzona, ale przecież poznałam.

- I nie powiedziała pani nikomu?

- A komu miałam mówić? Tu mało kto z życiem uszedł. Co Niemcy nie zdążyli, to dokończyli Ruskie. Pani, walili w to miasto, że kamień na kamieniu nie został. Człowiek sam

sobie się dziwił, że jeszcze żyje. Jakby kto z rodziny był, to Pragłowska by ją sama oddała, głód był taki... pani! Temu, co tego nie przeżył, gadać nie warto.

- Pani Sitkowa... co się stało z Moniką?

- No... u Pragłowskiej była. Jeszcze w czterdziestym szóstym, jak stawiali most... Później to już nie wiem.

Pochyliłam się ku niej, wzięłam ją za rękę. Były miękkie, zimne. Wpatrzyłam się z napięciem w bezbarwne, sino obwiedzione tęczęwki.

- Proszę mi pomóc - powiedziałam błagalnie.

- Ale co ja mogę?

- Proszę sobie przypomnieć... może ktoś coś mówił...

- Nie, nie. Pani tak myśli, jakby to było teraz. Kto miał mówić? Pragłowska tylko. Ona coś kręciła, naprzód mówiła, że ją na wieś wywiozła, a innym razem, że ją ktoś z rodziny wziął. Ale po mojemu, to ona ją sprzedawała.

Pomyślałam, że się przesłyszałam.

- Sprzedała...?

- A jak. To kurwa była, pani. Szła z każdym, z Niemcem, Sowietem, żeby tylko jej chleba dał. Głód był, to się nikt temu nie gorszył, takie były czasy. A potem się zapisała do partii, ważna się zrobiła, że nie podchodź. Co od ludzi doznała złego, to wypłaciła z nawiązką, tyle że już komu innemu. Nawet się po cichu mówiło, że miała wyrok, tylko się nie udał. Kilku naszych rozwalili, a ona przeżyła.

Ukryłam twarz w dłoniach. Dlaczego akurat Pragłowska? Córka kata... kurwa. Z wyrokiem śmierci wydanym przez niepodległościową organizację. Dlaczego? Przecież dziadków znali tu i szanowali wszyscy, na pewno Moniką mógłby się zaopiekować ktoś bardziej odpowiedni...

- Dlaczego akurat Pragłowska? - spytałam głucho.

- Co akurat Pragłowska?

- No... dlaczego Monika była wtedy u niej? Akurat u niej?

Sitkowa wzruszyła ramionami.

- A bo ja wiem?

Czy to możliwe, że to już wszystko? Że niczego więcej dowiedzieć się nie da? Przecież człowiek nie szpilka, musi być jakiś ślad... Na pewno żyje jeszcze ktoś, kto pamięta, tylko jak go znaleźć?

- Co ja pani mogę pomóc? - powtórzyła bezradnie Sitkowa i przetarła dłonią pomarszczone czoło. - Pragłowska szlag trafił... będzie już ze dwadzieścia lat... nie, więcej. A od czasu jak poszła w odstawkę, w pięćdziesiątym szóstym, nie wychodziła z domu. Ze strachu albo już nie mogła... tego nie wiem. Ktoś jej chleb nosił, ale nie pamiętam, kto.

- Ja wiem. Sąsiadka, Serewowa.

- Tak jest, Serewowa.

- Nie żyje. Ale przecież muszą być jacyś inni! Na pewno żyje ktoś, kto pamięta! Ktoś, kto znał mojego dziadka, był przecież lekarzem! W takim małym mieście...

- Tak, wtedy go wszyscy znali. Ale teraz? Mało kto przeżył wojnę, a ci, co przeżyli, porozjeżdżali się, pomarli. Pani, to już pięćdziesiąt lat!

- Gdyby pani spróbowała... przypomniawszy sobie jakieś nazwiska... To takie ważne! Pani Sitkowa, proszę...

- Toż wiem, że ważne.

Zapadła się w swoim fotelu, jej dłoń znów powędrowała do czoła. Zamknęła oczy. Siedziała bez ruchu, niemal bez tchu, bojąc się zakłócić jej namysł. Po kilku minutach przyszło mi do głowy, że ona po prostu usnęła. Poruszyłam się niespokojnie, odetchnęłam głośno.

- Doktor Cichocki - powiedziała nagle i powtórzyła, jakby nabierając pewności - tak, doktor Cichocki. Zdaje się, że jeszcze żyje. On tu przyjechał dopiero w trzydziestym dziewiątym, tuż przed samą wojną. Młody był, nie miał praktyki, ale doktora Sawickiego musiał znać ze szpitala.

*

„Doktor Cichocki” - to było wszystko, co miałam. Sitkowa nie знаła jego imienia, nie miała pojęcia, gdzie mieszka, nawet nie była do końca pewna, czy jeszcze żyje. Wiedziała tylko, że mieszkał tu po wojnie, że się nigdzie nie wyprowadził. Mimo wysiłku nie mogła przypomnieć sobie żadnego innego nazwiska. Rozmowa ze mną, choć zapewne stanowiła dla niej urozmaicenie monotonnej egzystencji, zmusiła ją do powrotu pamięcią do czasów, których wolałaby nie pamiętać, i w końcu ją zmęczyła.

Ciekawe, ilu Cichockich znajdę w książce telefonicznej? Nazwisko dość pospolite. W drodze na pocztę poczułam, że żołądek skręca mi się z głodu, ale na myśl o zjedzeniu czegośkolwiek znowu dostałam mdłości. Może później.

Cichockich było siedmiu, ale tylko jeden był lekarzem. Zdawałam sobie sprawę, że ten Cichocki, o którym mówiła Sitkowa, już raczej nie praktykuje - jeśli w trzydziestym dziewiątym był młody, miał powiedzmy około trzydziestki, to dziś dobiega osiemdziesiątki. Niewykluczone, że to jego syn. Szkoda, że w książce telefonicznej nie podaje się wieku... Ten jedyne lekarz nazwiskiem Cichocki miał na imię Romuald i był ginekologiem. Błę. Nie cierpię ginekologów. Ginekolog to dla kobiety ktoś w rodzaju lekarza pierwszego kontaktu; jej organizm jest tak idiotycznie skonstruowany, że obojętne, czy boli ją głowa, plecy czy brzuch, i tak musi iść do ginekologa.

Zadzwoiłam. Odebrała kobieta, głos był dość młody, na pewno nie należał do osoby osiemdziesięcioletniej.

- Mąż przyjmuje codziennie od szesnastej. Należy się podmyć i założyć czystą bieliznę - poinformowała mnie z durnowatą prowincjonalną wyniosłością.

No proszę, jakie to egzotyczne zwyczaje panują w Sanoku! Na szczęście „jej mąż” nie zobaczy nawet skrawka mojego tyłka ani nie będzie miał okazji przekonać się o

czystości moich majtek. Zadzwoiłam z zamiarem zadania paru pytań na temat starszego doktora Cichockiego, ale rozmyśliłam się. Lepiej się dostać do tego ginekologa i rozmówić z nim osobiście, nawet jeżeli nie ma nic wspólnego z tamtym Cichockim, to powinien coś o nim wiedzieć. Puścić mnie na właściwy trop.

Do czwartej miałam mnóstwo czasu. Wyszędłszy z poczty, powędrowałam w zamyśleniu przed siebie. To, że nazwisko „Pragłowska” padło wtedy, przed dwudziestu pięciu laty w naszym domu, nie ulegało już dla mnie wątpliwości. Nie wymyśliłam go ani mi się nie przyśniło, tylko przypomniało. Czy to miałoby znaczyć, że tato już wtedy wpadł na jakiś ślad? Ech, nie. Przecież znał i nazwisko, i osobę, skoro latami przychodziła do posług. A wtedy mogła już nie żyć. Trzeba sprawdzić, kiedy zmarła, to może coś rozjaśnić. Tak, mam już dwa powody, żeby złożyć ponownie wizytę na plebanii.

Wszystko to, co otaczało mnie tu, w starym centrum miasta - ulice, domy, drzewa - nie wydawało mi się obce. Zupełnie, jakbym spotkała kogoś, kogo znałam przed wielu laty, i raptem spoza zgrubiałych rysów wyjrzała ku mnie twarz dziecka, niegdyś dobrze znana. Tu, na tym rogu, stał kiosk z lodami. Mama przyśpieszała, ja włączałam hamulce i rozpoczynała się dyskusja. Z jednej strony padały argumenty o szkodliwości różowej farby dodawanej do lodów, o bólu brzuszka i gardła, z drugiej tylko jeden, za to z powodu ładunku emocji nie do odparcia: „Ja chcę loda! Kup mi loda!”.

I mama ulegała - a ja, pociągając nosem, z ustami wypełnionymi wanilinową słodyczą wędrowałam dalej w poczuciu rozkosznego spełnienia.

Jakoś niepostrzeżenie znalazłam się znów przed domem Pragłowskiej. Przecież on jest przy drodze, przy ulicy, którą znałam już wcześniej! Chodziłam tędy wiele razy, bo to droga

z domu dziadków do centrum. Przeszłam obok domu, minęłam płot, jeszcze jeden dom. Kilka karłowatych akacji, a potem szeroka perspektywa placu z szeregami drewnianych straganów. Targ.

Przymknęłam oczy. Tak bardzo lubiłam tu przychodzić! Ciepły opar końskiego nawozu, kłębiący się tłum ludzi, zgiełk, błoto, w którym małe buciki tonęły po cholewki... przenikliwa woń kiszonych ogórków i czosnku, niepozorne, drobne jabłuszka o wspaniałym smaku pomarańczy i cudowności błyskające złotem i brylantami wysoko nad moją głową. Mama kupowała mi waflowego miśka wypełnionego białą, przesłodzoną papką albo kawałek oblanego czekoladą piernika, rzadziej lizaka w kolorze zajebistej czerwieni, owiniętego w szeleszczący celofan. Z targu zawsze wracałam uszczęśliwiona, ściskając w lepkiej ręce barwne jo - jo, tocząc przed sobą drewnianego motylka klekocącego skrzydłami, albo dumna z nowej spinki do włosów w kształcie serduszka.

Czy pięćdziesiąt lat temu także był tu targ? Łatwo to sprawdzić, ale byłam pewna, że tak. Targ to nie jest budka z lodami czy z piwem, którą można załadować na przyczepę traktora i ustawić gdzie indziej. To miejsce w każdym mieście uświęcone tradycją, często wielowiekową. Tamta Monika podobnie jak ja знаła drogę na targ, bo przychodziła tu ze swoją mamą, a czasem wstępowały przy okazji do Pragłowskiej. Monika miała dopiero pięć lat, a dom Pragłowskiej to było miejsce, do którego mogła trafić sama. Prosta, logiczna odpowiedź na moje pytanie „dlaczego akurat Pragłowska”.

Zawróciłam. W sklepie z zabawkami kupiłam plastikowe wiaderko, łopatkę i grabki i tak wyposażona ruszyłam na cmentarz. Grób dziadków nie był zapuszczony dzięki księdzu proboszczowi, ale wokół zauważyłam sporo zeszłorocznych liści. Postanowiłam wyczyścić kilka przejść pomiędzy

grobami, jednym słowem zrobić coś pożytecznego. I przy okazji upewnić się co do daty śmierci Moniki. Wczoraj mogłam coś przeoczyć, czegoś nie doczytać.

Wszystko było tak, jak wczoraj - z umieszczonych dat wynikało jednoznacznie, że wszyscy troje zmarli w tym samym dniu. Zbierając do wiaderka śmieci, zastanawiałam się: dlaczego? Czy po dokonaniu zbrodni na Ogrodowej Niemcy szukali Moniki? Czy wcześniej wiedzieli o jej istnieniu? Kto i kiedy ufundował płytę? Czułam, że już za późno, żeby odnaleźć odpowiedź na te wszystkie pytania. „Pani, to już pięćdziesiąt lat! Porozjeżdżali się, pomarli”...

Muszę jednak znaleźć odpowiedź przynajmniej na jedno pytanie: co to znaczy „sprzedała”.

Teraz, w latach dziewięćdziesiątych, dobrze wiemy, co to znaczy. Proceder handlu dziećmi, młodymi kobietami do burdeli, ludzkimi organami... czyżby nie był to wynalazek naszych czasów? Sitkowa powiedziała to jakoś tak... normalnie, bez emocji, jednym tchem o głodzie i tym sprzedaniu, zupełnie, jakby ona ją sprzedała na mięso... Boże, nie!

- Tu się nie pali, proszę pani! - Usłyszałam pełen zgorszenia głos.

Spojrzałam zaskoczona na papierosa w swojej ręce. Musiałam zapalić zupełnie bezwiednie. Pośpiesznie wcisnęłam papierosa w kupkę zgrabionych liści i podniosłam się.

- Przepraszam - powiedziała ugodowo do starszego pana. - Może znał pan kogoś z rodziny Sawickich? - wskazałam na płytę z nazwiskami.

Poprawił okulary i podszedł bliżej. Przyjrzawszy się napisom, pokręcił głową.

- Niestety, nie, proszę pani. Ja tu przyjechałem dopiero w sześćdziesiątym czwartym roku.

Skinął mi głową i oddalił się zmęczonym krokiem ku własnej przeszłości. Uniósł swój miniony świat ku jakimś innym grobom i ludziom, którzy na chwilę w nim ożyją, niekoniecznie prawdziwi, ale tacy, jakimi ich zapamiętał.

Zebrałam śmieci do kubelka i ruszyłam na plebanię. Proboszcz sądzi, że niczego nie wie, i pewnie naprawdę nie wie, ale w księgach parafialnych musi znaleźć się jakiś zapis. Coś, co rzuci choć odrobinę światła na tę mroczną sprawę. Pod warunkiem, że księgi się zachowały. Sitkowa powiedziała, że z tego miasta kamień na kamieniu nie został, mogły spłonąć albo przysypał je gruz.

Ksiądz musiał właśnie jeść obiad, żuł jeszcze, otwierając mi drzwi. Na mój widok przełknął pośpiesznie i się uśmiechnął.

- A, to pani. Proszę, proszę - wpuścił mnie do środka.

- Proszę, niech ksiądz skończy obiad, poczekam.

- Już skończyłem. Właśnie się zabieram do parzenia kawy. Napije się pani?

- O, chętnie, jeżeli to nie kłopot. - Uświadomiłam sobie, że jestem spragniona, głodna, ale nade wszystko pożądam kawy.

Ksiądz zakrzętnął się przy ekspresie i po chwili pokój wypełnił się błogim aromatem. Może i był „nauczony żyć skromnie”, ale na kawie nie oszczędzał.

- I co, udało się pani zamieszkać w domu, w którym straszy? - zapytał z uśmiechem.

Wzdrygnęłam się.

- Tak. Może mi ksiądz wierzyć albo nie, ale... tam naprawdę straszy.

- Ooo... jakieś białe zjawy? Brzęk łańcuchów? - pytał aż nazbyt poważnie.

Udałam, że nie słyszę ironii w jego pytaniu.

- Nic z tych rzeczy. Ale miałam ciekawy sen. Śniło mi się, że jestem małą dziewczynką, tą, której imię jest wyryte na płycie grobowej. Pamięta ksiądz? Zgodnie z inskrypcją zmarła, czy też została zabita w maju czterdziestego czwartego roku.

Ksiądz przysiadł naprzeciw mnie.

- I co?

- Nic. Tyle że ona wtedy nie umarła.

- Jak to...?

- Śniło mi się, że jestem nią. I że uciekłam.

- A tak, rozumiem. Ale przecież to tylko sen.

- Okazało się, że to nie tylko sen. Że ona wtedy naprawdę ocalała. Udało mi się odnaleźć kobietę, starą kobietę, która pamiętała Monikę po wojnie. Ostatni raz widziała ją w czterdziestym szóstym roku.

- A ta kobieta... przy rozumie pozostaje? Hm?

- Jak najbardziej. To starsza pani Sitkowa, może ksiądz zna?

- Nie wspomnę. Gdzie ona mieszka?

- Na Przewozowej.

- To nie moja parafia. Tak i nie znam kobieciny. I co ona mówi?

- Że Monika była u takiej dawnej służącej moich dziadków, Pragłowskiej. Ta Pragłowska, niestety, już dawno nie żyje i nikt jej właściwie nie pamięta, z wyjątkiem Sitkowej.

- Ha! To ci historia. No, napijmy się kawy, bo szkoda, żeby wystygła, a potem zajrzemy do ksiąg.

Odetchnęłam. Na szczęście księgi się zachowały. Przy kawie zrelacjonowałam księdzu przebieg wizyty w domu Pragłowskiej, a właściwie w podwórzu, i pokrótce rozmowę z Sitkową. Już nie próbował żartować ze mnie, słuchał uważnie,

od czasu do czasu parskał tylko ze zdumieniem nad niepojętością bożych wyroków.

- Tak, chodźmy sprawdzić - rzekł w końcu, dopijając kawę. Wyszliśmy do sieni. Ksiądz otworzył kluczem drzwi, na których widniał napis „Kancelaria”, i znaleźliśmy się w pokoju zupełnie podobnym do księzego gabinetu, równie zagraconym i równie zakurzonym. Ksiądz chwilę marudził, zaglądając do szaf, w końcu odnalazł i przyniósł księgę parafialną z 1944 roku.

- Patrz pani, dużo ludzi tego roku mój poprzednik pochował. A nachrzciał, co kot napłakał. Zły rok.

Pod datą szesnastego maja odnaleźliśmy adnotację o sześciu pochówkach: Andrzej i Barbara Sawiccy, i cztery inne, obce nazwiska. Może tu jest nazwisko tego chłopca, który „doktorowi do pomocy był”? Nie, tylko jeden mężczyzna dobrze po czterdziestce i trzy kobiety. Ani śladu Moniki. Ksiądz przesunął palcem w dół, do końca strony.

- A jednak - powiedział zafrasowany. - Znaczy się faktycznie przeżyła.

Zamknął księgę i odłożył ją na miejsce. Wróciliśmy do jego pokoju. Kawa w ekspresie jeszcze nie wystygła, starczyło jej akurat na dwie filiżanki. Przez długą chwilę popijaliśmy w milczeniu.

- Jak ksiądz myśli, dlaczego na płycie umieszczono jej imię?

Rozłożył bezradnie ręce.

- Pojęcia nie mam. Może tak było... bezpieczniej? Żeby nikt jej nie szukał?

- Tak, ja też o tym pomyślałam. Tylko kto to zrobił?

- Już pani tego nie dojdzie. Za dużo czasu minęło. Tę Sitkową pani pytała?

- Tak, ale ona nie pamięta. To cud, że w ogóle tyle pamięta. Ma przeszło osiemdziesiąt lat i już od dawna nie wychodzi z domu.

Moje ostatnie wątpliwości znikły. To, co powiedziała Sitkowa, było prawdą - Monika przeżyła. Na myśl, że może żyje do dziś i mieszka gdzieś w kraju, poczułam dreszcz podniecenia. Ciotka. Ciocia Monika. O Jezusie.

Zorientowałam się, że trzymam w palcach papierosa. - Mogę tu zapalić?

- A czemu nie? Mnie też pani poczęstuje. - Wyjął papierosa z podsuniętej paczki i się uśmiechnął. - Nie jestem takim wzorowym pasterzem, za jakiego mnie biorą moje owieczki.

Podałam mu ogień.

- Proszę mi coś powiedzieć... ta kobieta, Sitkowa, powiedziała coś strasznego... coś, czego nie rozumiem.

- A mianowicie?

- Że Pragłowska Monikę sprzedała. Sprzedała, rozumie ksiądz? Powiedziała to jakoś tak... mimochodem, bez emocji, zdziwienia, ja wiem? Bez oburzenia, jakby chodziło o szafę albo psa.

- Nie wiem... tu, na tych terenach, wojna wcale się nie skończyła w czterdziestym piątym, proszę pani. Trwała jeszcze wiele lat. To już nawet nie była wojna, tylko... jak by to powiedzieć... terror i odwet, terror i odwet. Tu, proszę pani, nie było cywilów. Żadnych praw, żadnej litości. Ja byłem dzieckiem, rocznik trzydziesty szósty, proszę pani, ale pamiętam. Strachu się nie zapomina. Nikt wtedy o witaminach nie słyszał, dziecko krzywo rośnie, znaczy się słabe - poruszył wykrzywionymi ramionami.

- Ale sprzedać dziecko? To nieludzkie.

- Myli się pani. To bardzo ludzkie. Przecież Józefa sprzedali w niewolę jego bracia. To było tysiące lat temu, ale

ludzie niewiele się od tamtych czasów zmienili. Nadal są krwiożerczy i podli.

To stwierdzenie w ustach księdza tak mnie zaskoczyło, że wgapiłam się w niego z niedowierzaniem. Skinął głową, jakby chciał mnie upewnić, że dobrze słyszałam i że bierze na siebie odpowiedzialność za swoje słowa.

- Ja wiem, że ludzie często pogardzają księżmi, bo myślą, że oni są oderwani od rzeczywistości, od świata. Czy taki może wiedzieć cokolwiek o życiu, skoro nie musi na rodzinę zarobić, nie cierpi zazdrości o kobietę, dzieci mu kamieniem za chleb nie odpłacają, bo ich nie ma? Takemu łatwo grzmieć z ambony: nie kradnij, nie pracuj w niedzielę, nie pożądaj cudzego... prawda?

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową.

- Prawda - przyznałam.

- A jednak to do naszych uszu spływa wszelkie ludzkie święństwo, wszelka podłość i małość. A my prosimy Boga, żeby im to odpuścił. Zapomniał. Ja, wie pani, czasem czuję, że taki żalu nie ma za grosz, poprawić się i przed grzechem powstrzymać nie przyjdzie mu do głowy, a do mnie przychodzi tylko jak do łaźni, żeby się obmyć. Jak by to pani powiedzieć... gniewu bożego się nie lęka, bo myśli, że ksiądz go wybroni. A ksiądz taki sam człowiek, słaby i grzeszny. No, cóż ja tu pani będę takie rzeczy opowiadać... To, co powiedziała ta kobieta, może być prawdą. Mogło być wtedy i może być teraz.

Tak, wiedziałam, że może być prawdą teraz, a tym bardziej mogło być prawdą w tamtym wilczym czasie. Jego twarde, gorzkie słowa nie były pustymi słowami, miały sens i swoje odzwierciedlenie w rzeczywistości. Przerazały mnie, bo odkrywały zło także we mnie. Zło, które tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności miejsca i czasu pozostaje we mnie ukryte. Ale jest, czai się tuż za progiem mojej świadomości. I

wystarczyłoby znaleźć się w innym czasie, zostać zmuszoną do walki o przetrwanie, prawdziwej, bez reguł i bez litości - a ono pokaże swoją twarz.

Ksiądz po chwili milczenia podjął łagodnie:

- Czasem lepiej zostawić sprawy takimi, jakie są. Prześliznąć się po powierzchni. Szczególnie jeśli nie da się już niczego zmienić, naprawić. Dziś pani odkryła coś, co zdarzyło się pięćdziesiąt lat temu. To kawał czasu, całe ludzkie życie. Co pani może zrobić z tym teraz?

Pokręciłam gwałtownie głową.

- Nie, nie, ksiądz nie rozumie. Moja matka była jedynaczką, mój ojciec... też praktycznie jedynakiem. Wszyscy dziadkowie pomarli długo przed moim urodzeniem, nigdy nie miałam żadnych ciotek, kuzynów, wujków... żadnych krewnych, takich, z którymi można utrzymywać kontakt albo nie, pokłócić się, napisać do nich list...

- O, niejeden by się chętnie pomieniał - zaśmiał się.

- Pewnie tak. Ale ja nigdy nie wiedziałam, co to znaczy dostać prezent od cioci, pojechać na wieś do babci, i tak dalej. Miałam tylko ojca, a teraz, po jego śmierci, zostałam zupełnie sama. Jeżeli jest nadzieja albo choć cień nadziei, że Monika żyje, to nie mogę tego po prostu zostawić. Muszę ją odnaleźć. Czuję, jakby ona o to prosiła - dodałam i się zmieszałam.

Ksiądz skinął głową ze zrozumieniem. Zadumał się, pocierając dłonią czoło, zupełnie jak Sitkowa przed paroma godzinami.

- Szkoda, że mój poprzednik już nie żyje - powiedział. - Może on znał tę kobietę, tę... Pragłowską.

- Wątpię. Z tego, co mówiła o niej Sitkowa, nie była to przykładowa parafianka. Podobno puszczała się z każdym, który się nawinał, Sitkowa nazwała ją... no, mniejsza z tym. Dość dosadnie. A po wojnie zapisała się do partii.

- Może się pani zdziwi, ale i takie do nas przychodzą.

- Nie, ja się już niczemu nie dziwię - odrzekłam i wstałam. - Bardzo księdzu dziękuję za pomoc, rozmowę... za wszystko.

- Ależ nie ma za co, dziecko. - Przytrzymał moją dłoń w swojej i spojrzał na mnie poważnie. - I niech pani już więcej nie nocuje w tym domu.

- Czemu? Może znów przyśni mi się coś... konstruktywnego - zachichotałam nerwowo.

Pokręcił tylko głową.

Odeszłam, zostawiając na progu jego wygiętą w pałąk postać. Później uświadomiłam sobie, że na jego cichej, prowincjonalnej plebanii zostawiłam coś więcej - częśćkę mojej niedojrzałości, naiwności, czegoś, co nazywamy komfortem psychicznym, a jest niczym innym jak szczęściem, doświadczanym nieświadomie i przez nieświadomość.

*

Było już kilka minut po czwartej, kiedy stanęłam przed domem doktora Cichockiego. Widok domu nie zaskoczył mnie - stanowił dokładne odzwierciedlenie małomiasteczkowego zadęcia, jakie pobrzmiwało w tekstach żony doktora. Sztampowa wykładnia dobrobytu, średnia krajowa. Bez cienia gustu, ale „na bogato”: równiutka, pomalowana na biało „kostka polska”, symetrycznie rozstawione na elewacji okna ozdobione kopiastą surfinią w kolorze zajebistego rózu, na krótko przystrzyżonym trawniku bezmyślnie nasadzone iglaki - to tu, to tam. Licho wie, po co taki trawnik - ani po nim chodzić, ani rozstawić leżaków. Za to pies doktora, zapasiony foksterier, miał tu istny raj - obszcze kiwał przechodniów, pędząc nieprzytomnie wzdłuż płotu, a potem latał w kółko, podnosząc nogę przy każdym krzaku. To takie beznadziejne, przytłaczające - myślałam. Ludzie, którzy budują dom za setki tysięcy, ładują następne setki w jego urządzenie, nie wahają się wydać kilkudziesięciu

tysięcy na auto, kilku na wakacje na Majorce - a zamiast zapłacić te cztery, pięć tysięcy architektowi za indywidualny projekt, kupują za trzysta złotych gotowca. Dom, inwestycja na całe życie. To jest właśnie elita, wzorzec dla maluczkich.

Tabliczka na słupku ogrodzenia informowała, że doktor Cichocki jest ginekologiem i przyjmuje od poniedziałku do piątku od szesnastej. Tego, że jest najlepszym w mieście ginekologiem, najmądrzejszym, najprzystojniejszym, dowiedziałam się już w kolejce przed gabinetem. Chociaż kasuje pięćdziesiątkę na dzień dobry (westchnienie). Mój mózg bez żadnej zachęty z mojej strony dokonał błyskawicznego obliczenia: kobiet w poczekalni (prócz mnie) było pięć, po chwili doszły jeszcze dwie. Załóżmy, że z czasem dojdą jeszcze trzy. Pięćset złotych razy dwadzieścia to dziesięć tysięcy na miesiąc. Ciekawe, ile z tego zobaczy fiskus? Założyłabym się, że nie więcej niż pięć procent. Jeśli w ogóle coś zobaczy. Ależ ja byłam durna, że nie poszłam na medycynę!

Rzeczywistość okazała się jak zawsze rzeczywistością, a Cichocki zwalistym, gburowatym facetem około pięćdziesiątki. Choć uczciwie muszę dodać, że nie wiem, jakim był ginekologiem. Nie wstał zza biurka, nie podniósł głowy. Pisał coś w karcie poprzedniej pacjentki, pilnie bacząc, by pismo było nieczytelne.

- Słucham.

Usiadłam naprzeciw niego, nie czekając na zaproszenie.

- Nie jestem pacjentką - powiedziałam i dopiero teraz zaszczycił mnie zaskoczonym spojrzeniem.

Miło byłoby dodać, że jestem z urzędu skarbowego... zaraz by się zrobił trochę mniejszy.

- Poszukuję doktora Cichockiego, który rozpoczął praktykę w Sanoku w trzydziestym dziewiątym - w ostatnim momencie ucięłam słowo „roku”, bo zdałam sobie sprawę, że

się zrymuje z „Sanokiem” i teraz moje „dziewiątym” wisiało niezdarnie w powietrzu.

- Aaa... w jakim celu?

- Mój dziadek, doktor Andrzej Sawicki, mieszkał tutaj przed wojną i pracował w szpitalu, a w czasie wojny jego cała rodzina została wymordowana przez Niemców. Próbuje dotrzeć do ludzi, którzy go znali. Wiem, że doktor Cichocki...

- Zgadza się. To mój ojciec.

- Czy on... żyje? - spytałam ostrożnie.

- Owszem. Ale wątpię, czy cokolwiek pamięta. Demencja, wie pani.

- Rozumiem. Mimo to będę wdzięczna, jeśli poda mi pan telefon... może coś jednak pamięta.

- Telefon! - zaśmiał się tubalnie. - Oczywiście ma telefon i nawet lubi, jak ktoś do niego dzwoni. Nie słyszy niczego prócz dzwonka.

- Nie chciałabym być nachalna, ale może po prostu pójde do niego?

Sięgnął po słuchawkę telefonu i zaczął wybierać numer.

- Ma pani szczęście - mówił jednocześnie. - Właśnie przyjechał do niego mój brat, a on jeden potrafi się z nim dogadać. Nie wiem, jak to robi, ale nawet nie wrzeszczy... Stefan? Romek. Słuchaj, przychodzi do mnie taka urocza blondynka i powiada... ha, ha! Nie, to nie dowcip. Poważnie mówię. Ta pani...

- Sawicka - odpowiedziałam grzecznie, chociaż miałam ochotę zawarczeć.

- Pani Sawicka, zbiera materiały do kroniki rodzinnej, czy coś w tym rodzaju... no, chce się widzieć z ojcem. Będziesz tłumaczył? No nie, naprawdę nie żartuję. Będzie tam za pięć minut. Co...? Ha, ha, ha! No, dobra. Na razie.

Wypisał adres na kartce i mi podał.

- To blisko, ale proszę trochę zmarudzić. Powiedzmy kwadrans. Tyle, żeby się zdążyli ogolić. Obaj - zachichotał.

Kwadrans to akurat tyle czasu, żeby coś zjeść. Od rana, od ósmej, kiedy wrębałam kawałek czekolady, nie miałam nic w ustach prócz kawy u proboszcza. Właściwie powinnam wyc z głodu albo zemdleć, a tymczasem nic, minęły nawet głodowe kurcze, które odczuwałam, wychodząc od Sitkowej. W miejscu żołądka zrobił mi się twardy supeł, kubki smakowe ogłosiły strajk. Rozsądek mimo to nakazywał coś zjeść; a nuż odblokują się w czasie wizyty u starszego pana i zacznie mi burczeć w brzuchu? Poszłam w kierunku rynku. Z łatwością odnalazłam sympatyczną pizzerię, którą minęłam dzisiaj kilka razy. Oczekując na swoją kolej, usiłowałam wzbudzić w sobie apetyt, ale mimo snujących się tu smakowitych zapachów stopionej mozarelli i smażonych pieczarek łaknienie pozostawało wyłączone. Kupiłam lody. Takie różowe, w waflowym rożku, takie właśnie, jakie były w dzieciństwie przedmiotem mojego pożądanego. Lody są bardzo pożywne - robi się je z mleka, jajek i cukru. A przynajmniej powinno się robić. Bomba kaloryczna, doładowanie.

Niestety. Nawet tak wyrafinowane pożywienie jak lody nie chciało mi przejść przez gardło. Przysiadłam na skraju skwerku na ławeczce i przyglądałam się bezradnie grubym różowym strumykom, które popłynęły mi po ręce. Obrzydliwość. Powinnam się umyć.

Naprzeciw mnie, w odległości dwóch metrów przysiadł kundel. Cwany, czujny, gotów w każdej chwili zerwać się i zwiać. Był mały, zakurzony i stary - pysk i sierść wokół oczu miał siwe. O ludzkiej małości wiedział więcej niż niejeden proboszcz. Lody są dobre - zauważył niezobowiązująco, tonem leniwej konwersacji. Wyciągnęłam do niego ociekającą lodami rękę. Udał, że nie widzi, drapnął się za uchem, ziewnął. Trwałam w bezruchu. Okręcił się raz, drugi... w

końcu ostrożnie, wolniutko zbliżył się i liznął. Rzucił mi niepewne spojrzenie mądrych, smutnych oczu i w ciągu paru sekund wylizał wafel do czysta. Potem zajął się waflem, moją ręką, a na koniec kilkoma różowymi kleksami w prochu alejki. Tak, teraz już koniecznie muszę się umyć. Zawróciłam do pizzerii w nadziei, że jest tam toaleta.

Rozdział 5

Do mieszkania doktora Cichockiego wpuścił mnie młodszy, a właściwie najmłodszy Cichocki. Był zupełnie niepodobny do brata, szczupły, o pociągłej, opalonej twarzy, która nie wiedzieć czemu wydała mi się znajoma. Może ten facet jest z Wrocławia i już się kiedyś spotkaliśmy? - zastanawiałam się, idąc za nim przez wąską sień. Chybabym zapamiętała. Zresztą on na pewno mnie wcześniej nie widział, nie było w jego spojrzeniu zastanowienia, wahania, jakie mimo woli okazujemy na widok znajomej, zapomnianej twarzy. Weszliśmy do przestronnego pokoju zagraconego stylowymi meblami. Starszy doktor Cichocki zajmował parterowe (jakżeby inaczej!) mieszkanie o rozkładzie podobnym do mieszkania Sitków, z tym że od kuchni odcięto sień, a podwójne drzwi prowadzące z salonu wprost na ulicę zamurowano i w sąsiedniej ścianie wybito wyjście do małego, zadbanego ogródka. Stało teraz otworem, w wąskiej perspektywie widać było skrawek trawnika, kuliste kępy różowych i białych floksów, fragment ogrodzenia obrosłego dzikim winem. Ten mały ogródek wręcz zapraszał bezpretensjonalną urodą. Pokój, w którym się znalazłam, także wydał mi się przyjazny od pierwszego rzutu oka. Od podłogi do sufitu wspinały się tu półki zavalone książkami, każdy wolny skrawek ścian zakrywały mapy najprzeróżniejszych stron świata - od Alaski po Himalaje. Natychmiast wyczułam przyjazny fluid płynący od ścian i otwartych na oścież ogrodowych drzwi - spodobał mi się ten pokój, a ja spodobałam się jemu. Wnętrze mieszkania to jakby klucz do osobowości gospodarza - w mojej wrocławskiej kawalerce trudno byłoby znaleźć dwa pasujące do siebie przedmioty, gdyby oceniać je zgodnie z ogólnie przyjętymi wyobrażeniami o stylu. A jednak istnieje pewna spójność w niewidzialnym wymiarze użyteczności, wygody i wzajemnej

sympatii mebli, książek, bibelotów i ich właściciela. Tutaj, w tym wnętrzu, od razu wyczułam podobną spójność przestrzeni widzialnej i niewidzialnej. Stanowiło to dla mnie spore zaskoczenie po tym, co widziałam u Cichockiego - ginekologa.

Moja kontemplacja wnętrza chyba trochę się przeciągnęła, bo kiedy powróciłam wzrokiem do Stefana Cichockiego, napotkałam jego szare, śmiejące się oczy, które wyraźnie pytały: i jak, podoba się? Uśmiechnęłam się i leciutko skinęłam głową: bardzo.

- Proszę spocząć, tato zaraz do nas dołączy. Romek coś mówił, że pisze pani rodzinną kronikę? Dobrze zrozumiałem?

- Zrozumiał pan dobrze, ale Romek trochę przesadził - odrzekłam swobodnie, wiedząc już, że on i ja nadajemy na tych samych częstotliwościach. - Niczego nie piszę, po prostu chcę zdobyć jak najwięcej informacji na temat przeszłości mojej rodziny.

- Ach tak. Widzi pani, kłopot z moim ojcem polega na tym, że on nie przyjmuje do wiadomości swojej głuchoty. No i w konsekwencji zdarza mu się gadać od rzeczy... No, powiedzmy, nie na temat. Ale jakoś go zdyscyplinujemy. - Uśmiechnął się krzepiąco i zniknął w głębi mieszkania.

Nie wygląda to dobrze, pomyślałam. Głuchota, a co o wiele gorsze - demencja. Pocieszające, że skleroza na ogół atakuje pamięć dnia wczorajszego, poprzedniej chwili, łagodniej obchodzi się ze wspomnieniami dzieciństwa i młodości.

Po chwili Stefan wrócił w towarzystwie ojca. Witając się z doktorem Cichockim, przyjrzałam mu się szybko, uważnie. Był drobnej budowy, suchy, zadbany. Najwyraźniej świeżo ogolony - jego policzki i szczęki były gładkie, zaczerwienione. Chyba na moją cześć założył krawat i lekką marynarkę. Młodszy Cichocki aż takiego zaszczytu mi nie

zrobił - wprawdzie ogolił się i ładnie pachniał, ale pozostał w spłowiej sportowej koszuli z krótkim rękawem.

- Jestem Monika Sawicka - powiedziałam wyraźnie, głośno. - Wnuczka doktora Andrzeja Sawickiego.

- A, córka doktora Sawickiego, bardzo mi miło.

- Mnie również. Ale... nie jestem jego córką, tylko wnuczką.

- A tak, tak. Bardzo mi miło. Proszę spocząć - wskazał gestem fotel, po czym usiadł naprzeciw mnie, po drugiej stronie okrągłego stolika. - Doktor Sawicki, pamiętam, pamiętam. Doskonały diagnosta. Tak.

- O ile wiem, pan osiedlił się tu, w Sanoku, jeszcze przed wojną?

- Tak, tak. Przed wojną. Mieszkali tu moi teściowie, rodzice mojej pierwszej żony. No i tu, na prowincji, utrzymanie było znacznie tańsze. Tak, znacznie tańsze. Angażował mnie doktor Sawicki. Wtedy on zarządzał szpitalem.

- Andrzej Sawicki i jego żona Barbara - mówiłam dalej powoli i wyraźnie - zostali zamordowani przez Niemców w czterdziestym czwartym roku. Czy pan doktor to pamięta?

- Oczywiście. Ukrywali Żydów, zdaje mi się. Tak tak. Żydów.

Dobra nasza!

- Mój ojciec, syn doktora Sawickiego, był wtedy poza domem... w partyzantce. Miał siedemnaście lat. Sawiccy mieli jeszcze córkę, Monikę...

- Monika, tak, tak. Pamiętam. Aaa... to nie pani?

No oczywiście. To by było zbyt piękne. Stefan lekko dotknął rękawą marynarki ojca i starszy pan przeniósł na niego spojrzenie pełne bolesnego napięcia.

- Pani Monika jest wnuczką doktora Sawickiego, tato.

- A tak, wnuczką. Oczywiście.

Stefan mówił normalnie, nie podnosząc głosu, a starszy pan czytał z ruchu jego warg. I ja starałam się mówić wyraźnie, ale on widocznie rozumiał tylko syna. Zaczęłam mówić, nie starając się już o wyraźną artykulację, w nadziei, że Stefan „przetłumaczy” ojcu to, co mówię.

- Tamta Monika miała wtedy pięć lat. Przebywała akurat poza domem i nie została zabita razem z rodzicami. Przeżyła, ale mój ojciec nie miał o tym pojęcia. Myślał, że nie żyje. Nie szukał jej po wojnie. Monika zaginęła - mówiłam, a Stefan powtarzał słowo w słowo po mnie. Starszy pan kiwał głową ze zrozumieniem. - Szukam jej śladów tu, w Sanoku. Czy pan doktor pamięta Monikę? Córkę doktora Sawickiego?

- Córkę? Hm... chyba rzeczywiście miał jakąś córkę... ale nie wiem. Nie przypominam sobie córki.

Spojrzałam bezradnie na Stefana.

- To trochę mylące - powiedział. - Te dwie Moniki. Jest zdezorientowany.

Skinęłam głową. To rzeczywiście mylące. Mogłam podać moje drugie imię, po babci Jazłowskiej - Izabela. Ale już za późno. Zresztą on i tak nic nie wie, nawet jeżeli coś kiedyś wiedział - zapomniał. Westchnęłam z rezygnacją i chciałam podnieść się z fotela, ale Stefan powstrzymał mnie gestem.

- Proszę nie tracić tak łatwo ducha. Coś z niego wyciągniemy. I byłby rozczarowany, gdyby pani nie została na kawie. Nie za późno dla pani na kawę?

- Nie, skąd.

- A tak, tak. Kawa. Musi pani koniecznie napić się z nami kawy. Stefek parzy doskonałą kawę.

Stefan skrzywił się komicznie i wyszedł do kuchni, a doktor Cichocki pochylił się ku mnie nad stołem. Pochyliłam się także i nasze głowy znalazły się o cal od siebie.

- Tak tylko mówię, żeby mu nie sprawić przykrości - poinformował mnie konfidencjonalnym szeptem. - Ta jego kawa... pożał się Boże. Sama się pani przekona.

- Pan tutaj mieszkał przez całą wojnę? - spytałam, artykułując tak, jak robiłam to w szkole, podpowiadając z czwartej ławki.

- Nie, nie. W sierpniu trzydziestego dziewiątego byłem zmobilizowany, jak wszyscy. Szósty Pułk Strzelców Podhalańskich 22 Dywizji, stacjonował w Drohobyczu. Nasze dowództwo wyposażyło cały pociąg pancerny i odesłało na zachód, na front, a my, ci, co zostali, nie mieliśmy nawet karabinów, tylko granaty. Jak wkroczyli bolszewicy, przeszedłem granicę węgierską razem z oddziałami Sosnkowskiego, a potem byłem internowany. Obóz Rakocsaba pod Budapesztem. Uciekłem wiosną czterdziestego pierwszego roku i wróciłem tu. Niemcy potrzebowali lekarzy.

Jak on to pięknie pamięta... Nawet numer dywizji. Z pewnością gdzieś w jego pamięci zachowało się coś, co mogłoby pomóc w odnalezieniu Moniki, tylko jak do tego dotrzeć?

- A mój dziadek? Doktor Sawicki?

- On także był zmobilizowany. Ale dokąd pojechał? Nie wspomnę. W każdym razie jak wróciłem, on już tu był. Komendantem szpitala był Niemiec, w randze majora, ale i tak Sawicki o wszystkim decydował. Angażował mnie z powrotem, od razu.

Jeszcze jedna tajemnicza karta z historii rodziny. Nic nie wiedziałam o wojennych losach dziadka Andrzeja. Czy także był internowany na Węgrzech? Jak wrócił do Sanoka? Nie wiem i już się tego nie dowiem. Za późno.

Stefan powrócił z tacą i od razu zrozumiałam, dlaczego starszemu panu nie smakuje jego kawa. Jedna z filiżanek napełniona była do połowy wrzątkiem i do tej właśnie

filizanki Stefan dolał kawę z dzbanka i podał ojcu. Domyśliłam się, że starszy Cichocki musi cierpieć na nadciśnienie, ale nie przyjmuje tego do wiadomości, podobnie jak nie przyjmuje do wiadomości swojej głuchoty. Nie wiem, czy orientował się w tym kawowym oszustwie, w każdym razie okazywał ostentacyjne niezadowolenie: parokrotnie dosypywał cukru, krzywił się, pobrzękiwał łyżeczką o spodek. Stefan w międzyczasie zanurkował w kredensie, wyciągnął zeń koszyk wypełniony herbatnikami i andrutami i postawił na stoliku. Ogarnął niepewnym spojrzeniem stolik i przysiadł się do nas.

- Zatem Monika, siostra pani ojca, ocalała. Jedyna z rodziny, dobrze zrozumiałem?

- Tak. To znaczy mój tato rok wcześniej uciekł z transportu do Niemiec i zaciągnął się do Armii Krajowej. On też przeżył, tylko... był przekonany, że Monika nie żyje. Że wtedy została wymordowana cała jego rodzina. Taką informację przekazano mu do lasu.

- Ile miała lat?

- Pięć. Tamtej nocy uciekła do domu kobiety, która pomagała u dziadków w ogrodzie, w kuchni. Mieszkała niedaleko rynku.

- Kiedy się pani o tym dowiedziała?

Bach. Już chciałam powiedzieć „dzisiaj”, ale powstrzymałam się.

- Teraz - odrzekłam enigmatycznie. - Przyjechałam tu po śmierci ojca, żeby obejrzeć odziedziczoną posiadłość. To taka rudera przy Ogrodowej. Może pan wie?

- Przy Ogrodowej? Murowany dom... owszem. Niezła melina. Chodziliśmy tam z chłopakami obciągnąć w spokoju jabola.

- Zgadza się. Do dziś są tam potłuczone flachy, a na nich odciski pańskich palców.

Zaśmiał się z zakłopotaniem.

- Przepraszam, nie chciałem pani urazić. Byłem wtedy szczeniakiem.

- Nie ma za co. To naprawdę ruina. Ale dach trzyma się nieźle. Jeśli ma się kocher, latarkę i śpiwór, da się żyć.

Popatrzył na mnie zaskoczony.

- Chyba pani tam... nie śpi...?

- Dlaczego by nie? Przecież to mój dom.

- Ale... hm - parsknął i umilkł.

- Dziś rozmawiałam z pewną starszą panią, nazywa się Sitkowa - podjęłam. - Była przed wojną pacjentką mojego dziadka. To od niej dowiedziałam się, że Monika przebywała u tamtej kobiety do czterdziestego szóstego roku. Później ślad się urywa. To znaczy ta starsza pani, Sitkowa, nie wie, co dalej stało się z Moniką. Prosiłam ją, żeby przypomniła sobie jakieś nazwiska osób, które mogłyby coś z tamtego czasu pamiętać, ale nie mogła sobie przypomnieć nikogo prócz doktora Cichockiego. Pańskiego ojca.

- A tamta kobieta? Służąca doktora Sawickiego?

- Nie żyje. Od ponad dwudziestu lat.

- Jak się nazywała?

- Pragłowska.

Starszy pan wyłączony z rozmowy w końcu nie wytrzymał.

- Bycza kawusia, Stefku. Ostatni raz taką kawusią piłem przed wojną, w koszarach piechoty!

Parsknęłam śmiechem. Stefan ledwie się skrzywił - pewnie już nieraz słyszał ten dowcip.

- Znałeś, tato, Pragłowska? - Jak?

- Pragłowska.

- Pewnie tak. Ja tutaj wszystkich znałem. A co?

- W czterdziestym szóstym opiekowała się córką doktora Sawickiego, Moniką.

- Pragłowska... Pragłowska... Nie wiem. Jak ona miała na imię?

No właśnie - jak ona miała na imię? Czy zachowała swoje imię córki kata? Wątpliwe. Nie przyszło mi do głowy spytać o jej imię Sitkową. A szkoda.

- Nie wiem - powiedziałam bezradnie. - Nie mam pojęcia. Myślę, że ta kobieta, pani Sitkowa, będzie wiedzieć, ale zapytać mogę dopiero jutro.

- Nie ma telefonu?

- Nie.

Sprawa przedstawiała się beznadziejnie. Starszy pan wyteżał pamięć, wyraźnie okazywał dobre chęci, ale jak mógł przypomnieć sobie coś, o czym nigdy nie wiedział? Nie znał Moniki, do dziś nie miał nawet pojęcia o jej istnieniu.

- Chyba niepotrzebnie zabieram panom czas - powiedziałam z rezygnacją, dopijając kawę.

- Ależ skąd, bardzo miło się z panią rozmawia - zaprotestował uprzejmie starszy pan i wstał.

Wstałam także, trochę zaskoczona tak obcesowym gestem, i już chciałam wyciągnąć rękę, żeby się z nim pożegnać, ale Stefan przytrzymał mój przegub.

- Zajrzyjmy do kalendarza - rzekł starszy Cichocki, zmierzając do drzwi.

- Ojciec trzyma stare kalendarze - objaśnił Stefan i puścił mój przegub. - Nie sądzę, żeby tam był jakiś zapis na temat Moniki, ale mogą być jakieś nazwiska.

To niespodziewane dotknięcie mnie zelektryzowało. Ręka Cichockiego była ciepła, sucha, uchwyt trwał zaledwie parę sekund, a mimo to zadrżałam. Odwróciłam się i stanęłam w drzwiach prowadzących do ogródka. Zamknęłam oczy. Ogarnął mnie przytłaczający smutek, żal za wszystkimi, którzy tak właśnie musnęli mnie, mijając, ogarniając na

moment kręgiem swego świata, zbyt szybko przemieszczającego się obok, niedostępnego.

- Mam tu xeres, całkiem niezły i mało używany. Otworzyłem wczoraj.

Odwróciłam się. Podawał mi kieliszek wypełniony złotawobrunatnym winem. Czy ja piłam już kiedyś xeres? Chyba nie, choć nazwę znałam z literatury. Skosztowałam i zamruczałam z uznaniem.

- Lubi pani xeres?

- Będę lubić od dziś - uśmiechnęłam się. - To mój pierwszy.

- Naprawdę?

- W ogóle nie jest pan podobny do brata.

- Całe szczęście. On jest podobny do swojej matki, a ja do swojej.

- Ach, tak.

To tłumaczyło nie tylko brak podobieństwa, ale też sporą różnicę wieku pomiędzy braćmi - Cichocki ginekolog miał niewyjętą pięćdziesiątkę, ten na pewno nie przekroczył czterdziestki.

- Słyszałem, że w tamtym domu straszy - powiedział to poważnie, bez uśmiechu.

- Tak, to prawda.

- Nie mówię tego, żeby panią zdenerwować, ale jest zupełnie realna możliwość, że przyplączą się tam jakieś męty. Nie powinna pani tam sypiać. Chyba że nie jest pani sama - zreflektował się.

Zignorowałam tę ostatnią uwagę.

- To mój dom. Nikt nie ma prawa tam przyjść bez mojego zaproszenia.

- Ho, ho.

Powrócił starszy pan. Przyniósł ze sobą gruby, pożółkły kalendarz w wyświechtanej kartonowej okładce i rozsiadł się z

nim przy stojącym na środku pokoju stole. Z kieszeni marynarki wyjął okulary i nasadził je na nos.

- Zapal światło, Stefek.

Wprawdzie dzień jeszcze trwał, ale mrok już powoli wypełzał z kątów, a ogród nabrał głębokich, nasyconych barw.

Nad stołem rozbłysła lampa i otoczyła jasnym kręgiem posiwiąłą głowę pochyloną nad starym kalendarzem.

- Czterdziesty szósty rok. Zobaczymy. Ja też poproszę kieliszek wina.

Stefan bez słowa protestu podał ojcu kieliszek i napełnił go winem. Zrobił to niechętnie, co natychmiast wyczułam. Byłam pewna, że gdyby nie moja obecność, odmówiłby mu. To, co początkowo wzięłam za zaczerwienienie po goleniu, w istocie było rumieńcem, który stawał się coraz szerszy i ciemniejszy. Kłopoty z ciśnieniem.

- Sawicki, Sawicka - mamrotał zaaferowany, przerzucając kolejne kartki, a my próbowaliśmy zaglądać mu przez ramię.

Spęłzłe, nieczytelne skróty, cyfry, znaki, zapełniały stronę po stronie.

- Nie widzę nazwisk - szepnęłam.

- Są, ale w skrótach - odszepnął Stefan. - O, tu na przykład. „Rych”. To może być Rychliński, Rychlewicz...

- Albo Rycho - uzupełniłam tę listę ku pamięci kolegi z podwórka.

Stefan delikatnie spróbował przysunąć do siebie kalendarz, ale starszy pan zdecydowanie przytrzymał go przed sobą.

- Sawicki - powiedział nagle. - Jest. W maju pożyczył ode mnie pieniądze. Albo ja od niego... psiakość, nie pamiętam.

Nachyliliśmy się wszyscy troje nad kalendarzem. Pomarszczony palec zatrzymał się przy zapisie: „Saw. 100 t. do pierw.”.

- W czterdziestym szóstym mój dziadek już nie żył. Stefan dotknął ramienia ojca, a ten podniósł na niego wzrok.

- Tato, jesteś pewny, że to Sawicki?

- Może Sawczuk? On często pożyczał ode mnie pieniądze... zaraz, zobaczymy, czy oddał - znów zabrał się do wertowania.

Zrozumiałam, że moja wyprawa tutaj była niepotrzebna. Za późno. Jeszcze dwadzieścia lat temu była szansa - ot, choćby ten schludny sklerotyk był człowiekiem w pełni sił i pamięci. Teraz już za późno. Jak to możliwe, że tato nie wpadł wtedy na jakiś ślad? Była szansa, realna szansa, a on ją zmarnował.

- Oddał! - zawołał triumfalnie starszy pan. - I to był rzeczywiście Sawczuk. O, tu.

Spojrzałam bezradnie na Stefana, on zagryzł wargę, odsunął się od ojca i zapadł w fotel. Milczał, a ja zastanawiałam się, jak wycofać się stąd, nie urażając starego doktora.

- Przykro mi, że zajęłam panu czas. Panu i pańskiemu ojcu.

Machnął ręką niecierpliwie.

- Dla ojca to miła dystrakcja, a ja jestem na urlopie. Proszę mi opowiedzieć, w jaki sposób wpadła pani na ślad Moniki. Od czego się zaczęło.

Bach. To właśnie było to, czego nie mogłam powiedzieć, jeśli nie chciałam, żeby mnie wziął za wariatkę. A nie chciałam.

- To trochę... dziwna historia - zaczęłam ostrożnie. - Dziwna i w pewnym aspekcie trudna do wyjaśnienia... pan słyszał, że w tym domu straszy. To prawda. - Potarłam czoło, szukając właściwych słów. Jak to powiedzieć? - Tam się czuje obecność Moniki. Ona tam jest.

- Jest...? Na litość boską...

- No widzi pan.
- Proszę mówić dalej.
- Nie, nie. Proszę raczej obmyślić jakiś sposób, żebym mogła już pójść.
- Śpieszy się pani? Ktoś na panią czeka?
- Nie.
- Więc proszę zostać. Jak się całkiem ściemni, zapakuję ojca do łóżka i dobierzemy się sami do jego kalendarza. Co pani na to?
- Brzmi obiecująco... ale to pański czas. Nie chciałabym...
- Nie ma sprawy. Proszę opowiadać dalej, ja już siedzę cicho.

Zastanowiłam się. Jeżeli już zdecydowałam się na śledztwo, to muszę umieć sprecyzować to, co sama wiem, skąd wiem i czego nie wiem. I dlaczego nie wiem. Ten facet jest zbyt bystry, żeby mu wciskać jakąś ciemnotę, trzeba powiedzieć prawdę, tyle prawdy, ile będzie w stanie zaakceptować. Sny zostawimy w spokoju, niech śpią. A jemu chciałam powiedzieć wszystko, jeszcze nie wiedziałam dlaczego. Czułam tylko, że znam go od zawsze. Głupia sprawa.

- Ja już kiedyś mieszkałam w tym domu - zaczęłam z silnym postanowieniem trzymania się konkretów. - To było w roku siedemdziesiątym pierwszym, wiosną i latem. Byłam wtedy dzieckiem, miałam pięć lat.

O do licha, pomyślałam, właśnie facetowi podałam swój wiek, choć obiecałam sobie, że nigdy z dobrej woli go nie ujawnię. Cóż, trudno.

- Moi rodzice planowali przenieść się tutaj z Wrocławia na stałe. Mama siedziała tu ze mną i doglądała remontu domu, a tato dojeżdżał od czasu do czasu. Myślę, że szukał tu pracy, ale nie mógł od razu rzucić posady we Wrocławiu. Właśnie

wtedy, tamtego lata, w tym domu zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Z wahaniem wyjęłam z torebki list profesora Skrzypka i przez chwilę trzymałam go w ręce.

- To... wie pan, sprawy rodzinne, raczej przykre. Ale proszę to przeczytać. To list do mojego ojca, napisał go jego kolega, psychiatra, którego wtedy tato poprosił o pomoc. Ania to moja mama.

Podaliśmy mu list.

On też zawahał się, ale widocznie ciekawość przemogła i zabrał się do czytania. Czytał z rosnącym zainteresowaniem, na jego szczupłej, wrażliwej twarzy odbiły się kolejno zdumienie, niedowierzania i znów zdumienie. Doczytał list do końca i chwilę trwał w bezruchu, zamyślony. W końcu podniósł na mnie wzrok.

- Co on miał na myśli pisząc „przy twojej przeszłości”?

- Mówiłam już, że w czasie wojny tato był w AK, ale to nie wszystko. Po wojnie wstąpił do WiN i w czterdziestym siódmym roku został skazany na dwadzieścia lat. Odsiedział z tego dziewięć, do pięćdziesiątego szóstego roku.

- Rozumiem... to miejsce, o którym on wspomina - stuknął palcem w list - zostało wtedy odkopane?

- Nie.

- I nie wiadomo, które to miejsce?

- Ja wiem - odrzekłam i zmieszałam się. Zanim zdążył zapytać, skąd wiem, podjęłam szybko: - Oczywiście w pierwszym rzędzie odszukałam tego psychiatrę. On mieszka w Krakowie. Wstąpiłam do niego, jadąc tutaj. Pamięta moich rodziców i... to wszystko, ale wie tylko tyle, że tato posłuchał wtedy jego rady i zabrał nas do Wrocławia. Wkrótce potem rodzice się rozeszli. Ja zostałam z ojcem, a mama wyjechała do Poznania i nigdy więcej jej nie widziałam. Zmarła siedem lat później.

- To jednak przemawiałoby za chorobą psychiczną - powiedział w zamyśleniu. - Mam na myśli to, że została pani z ojcem.

- Tak, bardzo wiele za tym przemawia - odrzekłam, zastanawiając się, czy powiedzieć mu o gazie. Nie, lepiej nie. Może później. - Ale ja w to nie wierzę. Widzi pan, ten psychiatra mówił o tym bardzo niechętnie, wciąż zbaczał na inny temat, a kiedy zapytałam go wprost, zapewnił mnie, że była zupełnie zdrowa. Powtórzył to nawet dwukrotnie.

- A zatem duchy - zachichotał i pokręcił głową. - Proszę wybaczyć, jakoś trudno mi w to uwierzyć. Ale zaraz... przecież ich rozwód musiał być orzeczony na jakiejś podstawie. I to się da sprawdzić.

- Oni się nie rozwiedli.

- Powiedziała pani...

- Rozeszli się. Rozstali. To miałam na myśli. Ojciec nigdy nikomu nie pozwolił powiedzieć o niej złego słowa, a kiedy umarła...

Urwałam. Tu jest granica, poza nią sprawy powinny pozostać w mroku.

Stefan odwrócił wzrok od mojej twarzy. Wstał z fotela i przesiadł się do stołu.

- Znalazłeś coś?

- Chyba nic, Stefku - powiedział starszy pan bezradnie. - Gdyby żyła twoja matka...

- Tak, tylko ona umiała czytać twoje bazgroły. Ona i paru aptekarzy.

Nagle stało się to, czego się obawiałam, idąc tu - w zapadłej na moment ciszy rozległ się żaloszny skowyt mojego wygłodzonego brzucha. Starszy pan nie usłyszał, ale młodszy owszem. Odwrócił się i powiedział ze śmiechem:

- To nagana dla złego gospodarza. Zaraz zrobię pani kanapkę.

- Ależ nie, proszę...

- Tato jada kolację o wpół do szóstej, przed kawą, a ja jak Bóg da. Też jestem głodny.

Wstałam z fotela i obszedłszy stół, wyciągnęłam rękę do doktora. Podniósł się pośpiesznie.

- Bardzo panu dziękuję i przepraszam za tę nagłą wizytę. Było mi bardzo miło poznać pana. Obu panów.

- To była dla nas wielka przyjemność - pocałował mnie po staroświecku w rękę. - Proszę jeszcze kiedyś nas odwiedzić.

Sięgnęłam po torebkę.

- Stefku, już ciemno. Chyba nie pozwolisz pani wracać samej?

- Pewnie że nie. Tylko naprzód pomogę ci się położyć.

- Ale... przecież zaczekam. Pani Monika...

- To pani Monika chwilę zaczeka. Zresztą ma jeszcze ochotę obejrzeć moje zbiory znaczków, a wolałbym, żebyś już wtedy był w łóżku.

Było to tak bezczelne, że na moment mnie zatkało, a potem parsknęłam śmiechem. Męskie rozmowy. Starszy pan jednak nie zamierzał poddać się bawacji.

- Ale ty jeszcze musisz mi zmierzyć ciśnienie - rzekł kłótliwie.

- Och, tato! Piłeś kawę, wino, cały wieczór spędziłeś w towarzystwie młodej, pięknej kobiety. Naprawdę chcesz wiedzieć, ile masz na liczniku?

Ujawszy ojca łagodnie pod łokieć, holował go w głąb mieszkania; gderanie starszego pana z wolna cichło w dalszych pokojach.

Spojrzałam łakomie na pozostawiony na stole kalendarz. Czy wypada samej w nim pogrzebać? Może lepiej poczekać. Cofnęłam się i wyciągnęłam w fotelu tuż przy otwartych drzwiach do ogrodu. To był fotel, na którym poprzednio

siedział Stefan, obszerny, wyprofilowany tak, że natychmiast jakby objął, łagodnie ogarnął moje zmęczone ciało. Zsunęłam sandaalki, podciągnęłam nogi i oparłam głowę o wysokie oparcie. To staroświeckie wnętrze, płynące przez otwarte drzwi ogrodowe powietrze nasycone zapachem gladioli i floksów, książki, mapy, nawet pocerowana koronkowa serweta na stole - wszystko to tworzyło wokół mnie dobrą, przyjazną aurę. Wzdrygnęłam się na myśl o powrocie pod tamten dziurawy dach, gdzie w ciemności i zaduchu zmurszałego drewna czają się upiory przeszłości. Cały dzień byłam w sztosie, naładowana emocjami i nie przyszło mi do głowy, żeby poszukać sobie jakiegoś lokum. Teraz, jeśli o tej porze już nie dostanę miejsca w hotelu czy jakimś schronisku - będę musiała spędzić tę noc na dworcu.

Zamknęłam oczy. Jakby to było cudownie, gdybym mogła zostać tu, w tym fotelu, zwinięta w kłębek, bezpieczna... Tutaj na pewno nie stałabym się tamtym przerażonym dzieckiem pędzącym bosko wyludnionymi ulicami... Ona musi zostać tam, w tamtym domu, tutaj nie ma wstępu. Tu jestem bezpieczna... Te kroki, które się zbliżają... nie wiem czyje to kroki, ale są dobre, przyjazne, żywe. Nie muszę się bać, już nie...

*

Zerwałam się na równe nogi. Dzwonił telefon. Stefan wstał od stołu i podszedł do małego stolika pod oknem.

- Słucham. Tak, śpi. Już dawno. Owszem. Mam ją od ciebie pozdrowić? No jasne, że przeszkadzasz. Cześć. - Odłożył słuchawkę.

Rozejrzałam się nieprzytomnie. Nogi miałam tak ścierpięte, że z trudem mogłam na nich ustać.

- Czy ja spałam? - spytałam zawstydzona.

- O, tak. Chrapała pani.

- Żartuje pan. Nigdy nie chrapię.

Oburzona wyprostowałam się i wsunęłam stopy w sandały. Na stole leżał stos starych, podobnych do siebie kalendarzy, jeden z nich otwarty był na którejś z pierwszych stron.

- Proszę najpierw coś zjeść - przysunął mi talerz z kanapkami. - Zaparzę świeżej herbaty.

Sprzątnął ze stołu kubek z jakąś herbatą, tak zimną, że na jej powierzchni utworzył się ciemnobrązowy kożuszek, i wyszedł do kuchni, a ja zabrałam się do kanapek. Były z grubo pokrojonego, ciemnego chleba posmarowanego twarogiem, na wierzchu piętrzył się stos pomidorów, plastry ogórka, paski papryki. Udało mi się pochłonąć trzy, zanim Stefan wrócił z herbatą.

- Dzięki - wymamrotałam z pełnymi ustami. - Życie mi pan uratował.

Zaśmiał się i postawił przede mną kubek.

- Skoro prowadzimy razem śledztwo, to może... Wiem, że to pani powinna zaproponować, ale...

- No jasne. Monika.

- Stefan. Stefka toleruję tylko u taty.

Zasiadł naprzeciw mnie przy stole, przed otwartym kalendarzem.

- Ta kobieta, u której była Monika, nazywała się Pragłowska?

- Tak.

- Spójrz.

Nachyliliśmy się jednocześnie nad kalendarzem i nasze głowy się zetknęły. Odsunęłam się lekko. O Chryste... pod datą dwudziestego dziewiątego stycznia stało jak byk: „Pragłowska M. 1. 6.d.pl.+ 16 1t”.

- Co to znaczy? - spytałam bez tchu.

- Że to Monika była wtedy chora, bo ta Pragłowska może i miała imię na M, ale na pewno nie miała sześciu lat. To „d.pl” to dur plamisty, potocznie tyfus.

- A to „+16 1t”? Co to może znaczyć?

- Ojciec często pisał tak daty. To chyba szesnasty luty.

Z tego, że zapis jest z dwudziestego dziewiątego stycznia można wnioskować, że Monika była w tym dniu przyjęta do szpitala. A ten plus... obawiam się, że to nie jest plus, tylko krzyżyk.

- Krzyżyk...? To znaczy...

- Na to wygląda, Moniko. Przykro mi. Usiadłam z powrotem na krześle. Coś mi tu nie pasowało.

Sitkowa nawet nie wspomniała o takiej możliwości. A jaki Pragłowska mogła mieć interes w tym, żeby ukryć przed nią śmierć Moniki?

- Możemy jeszcze jutro spytać ojca, niewykluczone, że coś mu się skojarzy z tym zapisem. On miewa lepsze i gorsze dni, a nawet lepsze i gorsze godziny. Ale ten krzyżyk to pewniak, popatrz, tu jest i tu... - wskazał mi kilka krzyżyków w równie skrótowych zapisach.

Przymknęłam oczy. Więc zmarła. To ona spoczywa obok moich dziadków pod płytą ich grobu i tylko data jej śmierci jest fałszywa. A jednak...

- Czy mogę? - sięgnęłam po kalendarz i zaczęłam studiować zapiski. - Może tu jeszcze coś jest?

- To „Pragłowska” to jedyne nazwisko zapisane w pełnym brzmieniu. Przejrzałem ten i jeszcze czterdziesty piąty i siódmy rok. Nic więcej nie ma.

Spojrzałam na dwa leżące na stole kalendarze, równie grube i równie gęsto zapisane jak ten, który miałam w ręku. Kiedy on to przejrzał? Popatrzyłam na zegarek i zamarłam. Kwadrans po jedenastej. Przespałam dwie godziny...?

Zdawało mi się, że najwyżej pięć minut... A z tym chrapaniem... to wcale nie musiał być żart.

Pośpiesznie zaczęłam się zbierać.

- Bardzo przepraszam. Nie miałam pojęcia, że jest tak późno.

- Ty chcesz tam iść? Do tego domu? Teraz?

- Oczywiście - skłamałam.

Za nic nie przyznałabym mu się do tego, że stchórzyłam i mam zamiar przesiedzieć do świtu na dworcu.

- A ja uważam, że powinniśmy teraz rozkopać to miejsce.

- Ty? Dlaczego ty?

- Wessało mnie. A ty i tak masz zamiar je rozkopać.

- Skąd wiesz?

- Czuję to. Zresztą... to chyba ostatnia rzecz, którą jeszcze można zrobić.

Skinęłam głową. Mogłam to zinterpretować tylko w jeden sposób: chciał nadal przebywać ze mną. Nawet za cenę odwalenia w środku nocy ciężkiej fizycznej pracy. Mimo że był na urlopie. Poczulałam się tak dowartościowana, tak szczęśliwa, że musiałam się odwrócić, żeby nie dostrzegł tego w moich oczach.

Zabrał z wieszaka w sieni kurtkę, pogasił światła w mieszkaniu i zamknął drzwi na klucz. Na podwórzu zanurkował do wnętrza drewnianej szopy. Wytaszczył z niej dwa szpadle, saperkę i lampę olejową, dużą, z drucianą pętlą do powieszenia na haku.

- Przychodzi ci coś jeszcze do głowy? - spytał. - Latarkę mam w aucie.

Nic mi nie przyszło poza trumną na ewentualnego nieboszczyka. Pomogłam mu załadować sprzęt do bagażnika jego golfa, który stał zaparkowany przy chodniku - i pojechaliśmy.

*

- Lepiej wjedź na parcelę - powiedziałam, gdy zatrzymał auto na ulicy przed domem.

- Mogłabyś sprawdzić, czy nie ma tam jakichś pułapek? Wsiadłam i sprawdziłam. Siatka ogrodzenia już dawno się komuś przydała, podobnie żelazne słupki. Fundamentu nie było tu nigdy. W ostrym świetle samochodowych reflektorów widać było tylko bujnie rozrośniętą trawę. Machnęłam przyzwalająco ręką. Golf wtoczył się wolniutko na podwórze, kołysząc się na wertepach. W ruchomej tulei świateł, ziejąc pustymi oczodołami okien, dom pochylił się ku mnie i cofnął, sad ruszył w upiorny taniec, po czym wszystko znieruchomiało i rozplynęło się w aksamitnej czerni.

Zabraliśmy z auta sprzęt i obeszliliśmy dom. Poszłam przodem w głąb sadu. Stefan przyświecał mi latarką.

- To tutaj - wskazałam miejsce w pobliżu rzędu porzeczek.

Miejsce, które wtedy, we śnie, obiegrałam szerokim łukiem.

- Na pewno?

- Tak.

Stał nieruchomo tuż za mną.

- Moniko... skąd ty to wiesz?

No tak, w liście nie było określone miejsce. Jedyne, że to „w sadzie”. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Po prostu wiem...

- Może kiedyś ci powiem. Ale jeszcze nie dziś - wyszeptałam z trudem.

Nie nalegał.

Obszedł mnie, oświetlił ziemię latarką. Sprawnie zapalił lampę olejową i rozejrzał się za jakimś hakiem. Oczywiście nie było haka, powiesił więc ją na gałęzi najbliższej jabłoni.

- Moim zdaniem to trzeba zrobić tak: zdejmujemy pas darni przez środek, na ukos, a potem kopujemy rów. Jeżeli tu coś jest, to najszybciej w ten sposób na to natrafimy.

Wyciął zręcznie szpadlem niewielki prostokąt darni, podebrał i odłożył na bok.

- A jeżeli tu jest naprawdę ktoś zakopany? - spytałam i zatrzęślam się mimo woli.

- To będą śliczne, czyste kości. Po tylu latach...

On chyba myśli, że tu jest zakopana Monika - przemknęło mi przez głowę.

- Tak, ale co my wtedy zrobimy?

- Wezwiemy policję.

- I co powiemy? Że mieliśmy taki sen? Zaśmiał się, nie przerywając pracy.

- A mieliśmy? Znowu mną zatrzęśło.

- Powiemy, że kopaliśmy dół na szambo albo rów na kabel. To twój teren, możesz tu kopać ile dusza zapagnie i nikomu nic do tego. Czym się zajmujesz?

- Tym nieboszczykiem... trochę.

- Słuchaj, jeśli to nawet byłby sam generał Świerczewski, to dzisiaj i tak bez znaczenia. Wszystkie skrupuły, o których pisał ten facet, to już historia. I nikt z zainteresowanych nie żyje.

Tak, on ma rację. Wszystkie te sprawy, które zniszczyły moją rodzinę, życie mojego ojca i położyły się złowrogim cieniem na moim, straciły aktualność jak stare gazety. Doprawdy trudno się oprzeć wrażeniu, że to wszystko było grą, obrzydliwą, nierówną grą, w której oni byli stawką. Ich życie, szczęście, podstawy bytu, w końcu ich śmierć. Zwalniam, zamawiam. Obrót - i zaczynamy od nowa. A twoje odebrane szanse, zmarnowane lata? Och, możesz sobie to wszystko wsadzić w tyłek, kogo to obchodzi? Tamta gra się skończyła, teraz gramy w co innego.

Otrząsnęłam się.

- Pójdę się przebrać, te sandały są do kitu - powiedziałam.

- Weź latarkę - odrzekł, nie odrywając się od swego zajęcia.

Wymacałam latarkę w trawie u stóp i poszłam do domu. Przebrałam się w koszulkę i dżinsy, założyłam na bose stopy sportowe buty. Włosy zaplotłam w warkocz, żeby mi w czasie kopania nie wpadały do oczu i ust. Kiedy wróciłam do sadu, pierwszy etap wykopów był odwalony - w mdłym świetle olejowej lampy czernił się szeroki pas świeżo odkrytej ziemi.

- Zaczynij z tego końca - polecił Stefan. - Jak na coś trafisz, weź saperkę.

Jak na coś trafię, to spadam stąd z prędkością światła - pomyślałam, zabierając się do roboty. Ciekawe, co on robi? Czym się zajmuje? Od chwili kiedy ujrzał przed oczyma zadanie do wykonania, sunie jak opancerzony transporter i mowy nie ma, żeby nie podporządkować się jego poleceniom. Może jest liderem grabarzy w... no właśnie. Nic o nim nie wiem, nawet nie wiem, gdzie mieszka. Rejestracja jego auta ma litery SG, więc chyba gdzieś na Górnym Śląsku. Och, dowiem się tego wszystkiego, nie dziś, to jutro. A jeśli jutro będzie bez niego, to nie muszę wiedzieć o nim nic.

Skupiłam się na moim zadaniu. Wcale nie było łatwe, przeciwnie. Ziemia była wysuszona i twarda, pod ostrzem szpadla zgrzytały kamienie. Nigdy dotąd nie kopałam rowu, nie miałam pojęcia, jaka to harówka. Już po kwadransie miałam dosyć - ręce mdlały mi, kiedy wyrzucałam ziemię z wykopu, w krzyżu buzował płomień. Oddychałam ustami, żeby Stefan nie słyszał mojego sapania. Tylko wstyd przed okazaniem słabości zmuszał mnie do dalszego wysiłku i już kombinowałam, jak by tu zaproponować przełożenie tej mordęgi na jutro, kiedy usłyszałam stłumiony głos Stefana.

- Mam coś. Chodź tu i poświeć.

Poczułam gwałtowną ulgę, że to nie ja trafiłam na to coś. Wylazłam z mojego dołka, zdjęłam lampę z gałęzi i bez większego entuzjazmu zbliżyłam się do wykopu.

Sięgnął po lampę i oświetlił front robót.

- To chyba włosy - powiedział, dotykając czegoś, co jakby wylewało się ze ścianki wykopu. Ciemne, gęste, było tego makabrycznie dużo, za dużo jak na ludzkie włosy. Kabewista? Sowiecki żołnierz? Ubek? Z taką chyłą? Choć podobno włosy rosną jeszcze jakiś czas po śmierci... ale żeby tyle...?

- O Jezu... Niedobrze mi - stęknęłam. Nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi.

- Tak, to są włosy - oświadczył z satysfakcją i postawił lampę na kupce świeżo ukopanej ziemi. - Przynieś saperkę. - I po sekundzie - Proszę.

Bryknęłam zwawo, byle dalej od jego makabrycznego znaleziska. Chwilę zmarudziłam, macając w trawie, w końcu natrafiłam na saperkę i podałam mu ją w wyciągniętej ręce, starając się nie podejść zbyt blisko.

- Nie pękaj - powiedział prawie wesoło, ryjąc zapamiętałe saperką. - Żywych trzeba się bać, nie umarłych.

- Ja nie wiem... naprawdę niedobrze mi...

- Mówiłaś, że masz śpiwór. Idź i wleż do niego, ja to odkopię.

- Ale ty... ty nie czujesz obrzydzenia?

- Lepiej nie pytaj. No, idź, jeszcze mi się porzygasz na głowę.

Wyprostował się i machnął ponagląco saperką. Śmiał się, słowo drużynowej. Podejrzewam, że już w tym momencie domyślił się, co znalazł, ale nie chciał nic mówić, dopóki nie nabierze pewności.

Nogi się pode mną ugięły, usiadłam na kupie ziemi. Wcale nie z powodu tego, co znalazł, ani tego, co powiedział. Po

prostu uświadomiłam sobie, skąd go znam. Widziałam go już, właśnie w takiej spelzłej koszuli, z saperką w ręce, uśmiechniętego od ucha do ucha. Jak mogłam nie skojarzyć? Stefan Cichocki, himalaista. Z Gliwic. Był o nim niedawno reportaż w magazynie „Wyborczej”, jakiś rejwach w telewizji. Chyba wlażł na coś szczególnie dużego albo szczególnie wrednego zimą, w tych swoich Himalajach. Że też nie skojarzyłam od razu! Przecież miałam go jak na tacy: imię, nazwisko i znajoma gęba. A ja, kretynka, od razu wietrzę paranormalną komunikację...

Moje odkrycie otrzeźwiło mnie, sprawiło, że poczułam się bliżej rzeczywistości. Wstałam, otrzepałam odruchowo tyłek i podniosłam łopatę.

- Jeżeli to są włosy, to to... ta... reszta powinna leżeć w tym kierunku - powiedziałam. - Będę tutaj zdejmować warstwami ziemię.

Nie odezwał się, pochłonięty wydziobywaniem ziemi wokół tego czegoś. Powoli, ostrożnie zaczęłam wybierać ziemię na głębokość szpadla. Każdy zgrzyt pod łopata przyprawiał mnie o palpitację, wyobrażałam sobie, że to ludzka kość, podwijały mi się palce u stóp, a potem... wyrzucałam kamyk i wracałam do formy. Aż do następnego zgrzytu.

- Monika...! Zrób mi taką miotełkę, z gałązek albo z trawy!

Z ulgą porzuciłam moje bezproduktywne zajęcie. Zapamiętałam, że na granicy działki, wzdłuż Cmentarnej, rośnie kilka kęp dorodnej mietlicy. Ukręcenie z niej czegoś w rodzaju miotły zajęło mi zaledwie minutę.

- Jest jakiś konkretny? - spytałam dziarsko, podając mu miotłę.

- Tak. Poczekaj, nie chcę się mądrzyć, póki tego trochę nie oczyszczę.

Szybkimi, długimi pociągnięciami miotły odgarniał sypką ziemię na długości mniej więcej pół metra. W zupełnie innym kierunku, niż to coś powinno się znajdować. Po chwili sięgnął po lampę, nachylił się nad wykopem, po czym zdecydowanym gestem odrzucił miotłę. Podniósł na mnie spojrzenie.

- To nie jest ludzka kość.

- Nie... ludzka...? - stęknęłam oszołomiona.

- Nie. Na pewno nie. To jest koń albo krowa. Z tego fragmentu nie potrafię tego uściślić, ale za dnia...

- Za dnia - powtórzyłam jak Jaś Fasola. Bezwolnie opadłam na kupę ziemi. - Coś ty... Krowa? Koń? Przecież w tym liście wyraźnie jest napisane: „ktoś”. I że został zastrzelony...!

- No to mamy pełną odpowiedź: to jest koń.

Stefan wyskoczył z wykopu, otrzepał ręce i kucnął naprzeciw mnie.

- Na pewno złamał nogę albo zachorował... albo był już bardzo stary. I zastrzelono go. Czasem przywiązujemy się do zwierzęcia i traktujemy je jak przyjaciela - psa albo właśnie konia. Łatwo wyliczyć, gdzie powinien się znaleźć łeb i odkopać go. Zakładam się, że w czaszce jest dziura po kuli.

- Tak, to możliwe - szepnęłam zaskoczona. - Dziadek przed wojną miał konia. Mam nawet jego zdjęcie na tym koniu... nazywał się Kary. Ten koń, nie dziadek. Dziadek miał na imię Andrzej.

- Chyba jesteś zmęczona. Naprawdę masz kocher?

- Tak.

- Chodź, zrobimy sobie herbaty. Jeżeli masz herbatę.

- Mam.

- A woda? Czy tu jest woda?

- Nie ma, ale ja mam. W butelkach.

Stefan zabrał lampę, resztę majdanu pozostawiając bez odrobiny uwagi. Na parterze domu podniósł lampę wysoko i

się rozejrzał. Rozejrzałam się także. Nie wyglądało to dobrze, o nie. Potłuczonych butelek, puszek i opakowań po chipsach nie wymiotłam - kiedy niby miałam to zrobić?

- Przyjechałam tu dopiero wczoraj - wyjaśniłam. - Jeszcze się nie wzięłam do porządków.

Nie odpowiedział.

W świetle lampy olejowej moje gospodarstwo prezentowało się jeszcze nędzniej niż za dnia. Mineralna, która cały dzień stała w upale panującym tu, na poddaszu, była ciepła, jak zagrzana w bojlerze. Wlałam wodę z butelki do miski, żeby Stefan mógł umyć ręce. Zrzucił koszulę i następną butelkę wylałam mu na kark i głowę. Chyba mu się to podobało, bo sapnął parę razy milutko. Podałam mu ręcznik, ale wytarł tylko twarz. Włożył koszulę na mokre ciało i zajął się kocherem. Szło mu to sprawnie, zostawiłam więc puszkę z herbatą w jego rękach i przysiadłam na rozkopanym śpiworze. Przyglądałam się jego ruchom, nieśpiesznym, odmierzonym, celowym. Facet, na którego możesz liczyć w trudnej sytuacji - pewniak. Dziwne - zupełnie niepozorna powierzchowność. Na ulicy, w towarzystwie, nie zwróciłby uwagi żadnej kobiety, nie ten typ. Ale wystarczy chwila rozmowy, uśmiech, spojrzenie - i już czujesz żal, że on ma gdzieś tam jakieś swoje życie, w którym nie ma dla ciebie miejsca. Czy mogłabym... potrafiła... odważyła się spróbować w nie wdrzeć?

- Ty naprawdę zbierasz znaczki?

- Co...?

- Mówiłeś coś o zbiorach znaczków. Zaśmiał się lekko, swobodnie.

- Kiedyś zbierałem. Dawno temu. Wiesz, takie zeszyty w kratkę z zagiętymi rogami. Odkopałem to teraz w jakiejś szafie i dzisiaj oglądaliśmy z ojcem. Oczywiście są bez

wartości, ale niektóre bardzo ładne. Powinnaś obejrzeć, naprawdę - posłał mi z ukosa rozbawione spojrzenie.

Zachichotałam i pomasowałam sobie obolały krzyż. Poprzednia noc spędzona na deskach, kopanie rowu, zaledwie kilka godzin snu w ciągu trzech ostatnich dni - to stanowczo za wiele dla mojego wydelikaczonego stroju. Teraz, kiedy już opadło nerwowe napięcie, które trzymało mnie w jakiejś takiej formie fizycznej, poczułam obezwładniające zmęczenie. Bolały mnie wszystkie kości i czułam kwaśny bezwład w miejscach, w których nigdy nie podejrzewałam u siebie mięśni. Najchętniej wyciągnęłabym się poziomo, ale jakoś nie wypadało. Bezczynna i rozluźniona zaczęłam się kiwać, zaciążyły mi powieki.

- Co masz zamiar zrobić z tym domem? - spytał zniechęcony, kiedy już usypiałam.

Zostawił kocher i czekając, aż woda się zagotuje, przysiadł na belce naprzeciw mnie. Wyprostowałam się i otrząsnęłam.

- Ba... wiesz, jadąc tu miałam sto pomysłów. No, przesadzam. Powiedzmy dwa. Psy, konie...

- Jeździsz konno?

- Za dużo powiedziane. W czasie studiów należałam do AKaJotu, a teraz już tylko okazjonalnie, jak trafię na kogoś, kto mnie wyciągnie. Lubię konie.

- Uhm. To niezła myśl. Te łąki nad Sanem należą do gminy, na pewno sprzedaliby ci albo wydzierżawili. Hodowla odpada, to zbyt skomplikowane... no i kosztowne. Ale mogłabyś trzymać kilka sztuk pod wierzch. Latem i jesienią tu się zjeżdża mnóstwo nadzianych palantów, którzy chcą zabawić się w kowbojów. Znam w okolicy takie miejsca... zresztą pokażę ci. Tylko że z tego się nie da wyżyć... kilka ekip w ciągu sezonu. A zimą tu wszystko zamiera.

- Tak, wiem. To było takie marzenie, nic więcej. Kiedy zobaczyłam ten dom... wiesz, w mojej pamięci był wciąż duży, piękny...

- Jest duży i piękny. Trudno tu już znaleźć równie dobrze zaprojektowany budynek. I równie pięknie położony. Tylko...

- No właśnie. Sam widzisz, jaka to ruina. Pewnie trzeba by go rozebrać i stawiać od nowa, a na to nie mam forsy.

Woda w kocherze zabulgotała i Stefan się podniósł.

- Głupia sprawa z tą forszą, no nie? - mówił, zalewając ostrożnie fusy w kubku. - Ci, którzy mają pomysł, co z nią zrobić, nie mają pomysłu, jak ją robić. I na odwrót.

- Uhm...

- Mam tutaj kumpla z podstawówki, który jest rzeczoznawcą budowlanym. Jeśli chcesz, poproszę go, żeby to obejrzał. Na moje oko mury są w porządku, a więźba zdrowa. Choć teraz, po nocy, trudno tak na sto procent ocenić. Z cukrem?

- Co...? Może być bez. Jak chcesz, to poszukaj, tam gdzieś powinien być.

- No właśnie jest, dlatego pytam.

- No to wsyp trochę. - Nie chciało mi się wstać, nie chciało mi się nawet mówić. Głos Stefana dochodził do mnie jakby zza ściany. - Ty chcesz teraz to zakopywać?

- Nie, nie. Jutro.

Kucnął przede mną i podał mi kubek. Mój blaszany półlitrowy kubek, w kilku miejscach obtłuczony z emalii. Wyciągnęłam rękę, ale ją odsunął.

- Sparzysz się. Pij, ostrożnie.

Pociągnęłam z kubka. Herbata była mocna, gorąca i słodka.

- Ciebie nie parzy?

- Nie, mam dobrze wyprawioną skórę. Mogę odcedzać kartofle przez palce.

Wypiłam jeszcze parę łyków i zrobiło mi się gorąco, w oczach stanęły mi łzy. Odsunęłam kubek.

- Teraz ty.

Usiadł po turecku na podłodze, blisko, jego udo dotknęło mojego kolana. Nie odsunęłam się. Krzepiąca była świadomość, że mam przyjaciela, choćby na krótko. Na jeden dzień, ten jeden dzień, w którym Monika została wskrzeszona i raz jeszcze pogrzebana. Zaśmiałam się histerycznie.

- To jest jakieś... jakieś takie... - nie mogłam wpaść na właściwe słowo. - Monika zmarła pięćdziesiąt lat temu na tyfus, a w sadzie zakopany jest koń...

Nie wyraziłam się jasno, ale on od razu zrozumiał.

- Ze wszystkim tak jest, Moniko - odrzekł poważnie. - To, co z daleka wydaje się obiecujące, piękne, pełne... z bliska okazuje się małe, pęknięte i brzydkie. Tak jest z przedmiotami, sprawami, ludźmi. Choćby ten dom...

Skinęłam głową. Właśnie to miałam na myśli. Ten dom, który żył w mojej wyobraźni, był zaludniony, wprawdzie wypełniony dramatyczną przeszłością, ale żywy. W rzeczywistości okazał się trupem, rozdeptaną ruiną, przystankiem miejscowej żulerii. Od chwili kiedy go zobaczyłam, próbowałam optymistycznie mierzyć siły na zamiary, ale nie mogłam sama siebie oszukać - ten zamiar mnie przerastał.

Stefan odstawił pusty kubek na podłogę i nachylił się ku mnie. Przymknęłam oczy.

- Nie wiem, co robić - wyrzekł półgłosem, jakby do siebie i odgarnął mi włosy z czoła. - Jesteś zmęczona...

Nie cierpię, kiedy ktoś dotyka moich włosów. Ale tym razem nie cofnęłam się, przeciwnie - pochyliłam głowę.

- Możesz mi rozpleść warkocz. Bołą mnie włosy.

Nie miał pojęcia, jakiego dostąpił zaszczytu, ale ten gest odczytał właściwie - jako zaproszenie. Za nic nie chciałam

zostać tu sama. Wiedziałam wprawdzie, że wystarczyłoby powiedzieć, żeby został, a on przespałby noc skulony na karimacie o dziesięć kroków ode mnie, ale to było dla mnie za mało, chciałam dostać znacznie więcej. I nie chciało mi się walczyć ze sobą, z ogarniającym mnie ciepłą falą pożądaniem.

Powoli, delikatnie rozdzielał palcami pasma moich włosów, aż jego dłoń dotarła do karku i go objęła. Poddziałam się temu lekkiemu naciskowi i nagle cały skomplikowany, brudny i nieprzyjazny świat pozostał daleko w dole, a ja unosiłam się w silnych, bezpiecznych ramionach.

Stefan odgarnął mi włosy znad ucha i wyszeptał coś - moje imię? Pytanie? Nie wiem. Czułam tylko jego gorący oddech na policzku i szyi. Jeżeli to było pytanie, to nie musiałam nic mówić, znalazł odpowiedź przez cieniutki trykot na moich piersiach.

Osuwając się na plecy, dostrzegłam, że ponad ciemnym zarysem jego karku, ponad dziurawym dachem mojego domu szarzeje już niebo.

*

Obudził mnie zapach kawy. Było bardzo ciepło, łagodny półmrok poddasza przecinały nieregularnie złociste struny słońca, niemal prostopadłe do podłogi. Południe. Czy śniło mi się coś tej nocy? Jeżeli nawet, nie były to koszmary. Czułam się silna, wypoczęta, nasycona. I wściekła. Sama na siebie oczywiście. Zrobiłam coś, co do tej pory nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy: puściłam się z marszu, po parogodzinnej znajomości. Zupełnie jakbym tak postępowała przy każdej nadarzającej się okazji, a przecież wcale tak nie było. On teraz ma prawo sądzić, że taki mam zwyczaj. Cholera! Nie ukrywałam przed sobą, że mi na nim zależy, na jego opinii, szacunku. Nic z tego, załatwiłam się w przedbiegach, sama sobie wycięłam ten numer.

Mało tego, leżałam sobie teraz wyciągnięta wygodnie, goła jak święty turecki, a raczej jak kobieta upadła. Szybko zanurkowałam w śpiworze. Natychmiast powróciło wspomnienie bezpieczeństwa i ciepła, ścierpniętej niewygody i bliskości. Moja skóra przechowała zapach tej nocy - jego potu i nasycenia, nikły ślad jakiegoś dezodorantu czy płynu po goleniu - zapach nowy, ale już nie obcy.

I co dalej? Ano, nic. Noc rządzi się swoimi mrocznymi, alogicznymi prawidłami. Jest tylko chwilą ciemności dającej pod swoimi skrzydłami schronienie namiętnościom i snom, ośmielającej myśli i pragnienia, które cofają się przed światłem. Dzień jest rzeczywistością. Niech stanie się dzień, a będziemy wiedzieli, czego się trzymać. On wróci do świata, z którego tu przyszedł, nieważne, jutro czy za pięć dni. Do świata, z którego wychylił się tylko na chwilę, by schwytać coś, co samo wpadało mu w ręce. Jest na urlopie. Sam siebie miałby za durnia, gdyby nie skorzystał z miłej oferty.

A ja? Dokąd wrócę? Mocno i boleśnie przeczułam cierpienie i tęsknotę, które wkrótce staną się moim udziałem. Poczułam ucisk w gardle, pod powiekami pieczenie.

Och, jeszcze tego brakowało! Wychyłam ze śpiwora i parę razy wciągnęłam głęboko powietrze.

- Hej, Monika... obudziłaś się - powiedział tym dobrze znanym tonem, głębokim i czułym, głosem Don Juana o poranku, zadowolonego kocura i tak dalej.

Rozejrzałam się za koszulką. Leżała porzucona tuż obok śpiwora. Sięgnęłam po nią i założyłam. Majtki... do licha, majtek nigdzie w pobliżu nie było. Gdzie one utonęły? Macałam na ślepo w śpiworze. Nie ma. Trudno.

Stefan kucnął o krok ode mnie i postawił na podłodze kubek z kawą. Sięgnął do moich włosów, ale cofnęłam się i zawarczałam ostro. Zaśmiał się, przekonany, że to zabawa.

Czemu wszyscy czepiają się moich włosów? Odsunęłam się poza zasięg jego rąk i usiadłam.

- Kawa - powiedział już mniej pewnym głosem. Zapewne doszedł do wniosku, że należę do osób, z którymi nie żartuje się przed śniadaniem. I dobrze.

- Słuchaj - powiedziałam poważnie. - To wczoraj, to była chwila słabości. Mojej słabości. Chcę, żebyś wiedział, że zdarzyło mi się to pierwszy raz.

- Co pierwszy raz...? - spytał zdezorientowany.

Z trudem zachowałam powagę. Rzeczywiście zabrzmiało to komicznie.

- To. Pójść do łóżka z kimś, kogo poznałam tego samego dnia.

Podniósł się i kilka kroków dalej przysiadł na belce. Przysięgam sobie, że jeżeli powie „przecież to ty chciałaś” albo coś w tym sensie, wyleci stąd jak piłeczka pingpongowa przez okno. Choćby mi miała pęknąć żyłka pierdząca przy zasypywaniu tego cholernego konia.

- T o nie było wczoraj, tylko dziś - powiedział.

- I co z tego?

- To, że znaleźliśmy się już drugi dzień. A co do łóżka... widzisz tu jakieś łóżko?

Logika tego dialektycznego wywodu powaliła mnie na kolana. Parsknęłam śmiechem. Noty dyplomatyczne zostały wymienione, incydent zażegnany. Ugodowym gestem sięgnęłam po kawę. Dmuchałam w fusy i upiłam łyk.

- Bycza kawusia, Stefku. Zachichotał.

- Czego jej brakuje?

- Mleka.

- Masz tu mleko?

- Śmietankę, w takich naparstkach. W bocznej kieszeni plecaka.

Podając mi opakowanie, dostrzegł leżący na podłodze kartonowy prostokąt. Obszedł mnie i podniósł fotografię.

- To ona - powiedziałam.

- Uhm... - przyglądał się fotografii przez chwilę, potem przeniósł spojrzenie na mnie. - Jest podobna do ciebie - powiedział.

- Jeżeli już, to ja do niej.

- No tak, oczywiście. Taka mała, śliczna dziewczynka... cholera.

Myślałam dokładnie to samo, ale gdybym chciała wyrazić cały mój żal, całą moją wściekłość, cały bunt, zabrakłoby mi słów. Nawet tych najohydniejszych. O szarym, majowym świecie jej świat rozprysnął się na tysiąc okruchów. „Pragłowska trzymała ją w piwnicy”. „Była bardzo zabiedzona, ale przecież poznałam”. „:Sprzedała ją. To kurwa była, pani”. „Zmarła na tyfus, szesnastego lutego. Przykro mi”.

- Wiesz, czasem myślę, że to szczególny fart nie urodzić się w Burundi albo w takim piekielnym czasie jak ona - szepnęłam.

Odłożył fotografię i objął mnie mocno. Milczał. Nie mógł powiedzieć nic, co by zmieniło cokolwiek w przeszłości, przywróciło Monice choćby kroplę światła. Ale rozumiał. Czuł to samo, co ja.

Jak ja będę żyć bez niego...?

Podniosłam dłoń i dotknęłam lekko jego ramienia.

- Idź teraz zwiedzić moją posiadłość - powiedziałam cicho. - Za kwadrans będę na chodzie.

Zbiegł po trzeszczących schodach i po chwili usłyszałam z sadu jego pogwizdywanie i szurgot łopaty. Wlałam zawartość ostatniej butelki mineralnej do miski. Zapach mojego ciała po tej nocy był wspaniały, podniecający, mogłabym nim oddychać w nieskończoność, ale...

Zanurzyłam ręcznik w wodzie, wycisnęłam go i zabrałam się do toalety. Tak myją się Chińczycy, żyjący w niedostatku wszystkiego, nie wyłączając wody, jeśli wierzyć Pearl S. Buck. A chyba można jej wierzyć. Wygrzebałam z plecaka świeżą bieliznę. Wyszczotkowałam włosy. Resztką wody z kochera wyszorowałam zęby. Wciągnęłam dzinsy, włożyłam lekką koszulkę z jedwabiu. OK. Byłam gotowa stawić czoło nadchodzącemu dniu. Sukienka. Muszę dziś kupić nową sukienkę. Zresztą niekoniecznie to musi być sukienka, może to być jakikolwiek ciuch, byle odlotowy, drogi i zupełnie niepotrzebny. Po raz pierwszy w życiu byłam zakochana i postanowiłam to uczcić.

Wlałam zużytą wodę do wiaderka i już chciałam zejść na dół, kiedy z sadu dobiegły mnie jakieś głosy. Odstawiłam wiaderko i podeszłam do okna w mansardzie. Stefan z łopata w garści stał naprzeciw dwóch facetów trzymających się jednego roweru.

- To jest teren prywatny. Odjazd, panowie.

Złapałam wiaderko i popędziłam na dół. W kuchennych drzwiach zderzyłam się ze Stefanem. Wyminęłam go i ujrzałam facetów rozkładających biwak na sąsiedniej parceli. Mojej parceli.

- To też jest teren prywatny! - wrzasnęłam dziko i ruszyłam ku nim, wymachując wiaderkiem.

Chyba miałam mord w oczach, bo mimo podeszłego wieku pozbierali się błyskawicznie i, wlokąc za sobą rower, znikli wśród gęstego samosiewu za stacją transformatorową.

Wylałam resztę wody z wiaderka i zawróciłam.

- Pakuj się - powiedział Stefan.

- Z powodu tych dwóch żuli?

- Monika, dziecko... nie szpanuj. Nie widzisz, kto to jest? To cud, że jeszcze masz swój kocher.

Trudno było nie przyznać mu racji. W milczeniu pakowałam swoje rzeczy. Zrolowałam śpiwór i karimatę i przypięłam rzemieniami do plecaka. Ogarnęłam spojrzeniem strych. Czy jeszcze kiedyś tu wrócę? Jeżeli nawet, to będę już kimś innym. Schyliłam się i podniosłam z podłogi fotografię Moniki.

- A ten koń? Przecież musimy go zasypać.

- Już zasypany. Możesz o tym zapomnieć. Chodź, znajdziemy ci miejsce w hotelu.

- Ja nie wiem... przecież to jest mój dom. To także jej dom - przycisnęłam do piersi fotografię.

- To był jej dom. Moniko, zrozum.... gdybym mógł pilnować ciebie dwadzieścia cztery godziny na dobę... tobym pilnował. Ale to niemożliwe.

*

Po dwóch dobach obozowania na Ogrodowej pokój w motelu wydał mi się szczytem dekadencji. Łazienka z natryskiem i wanną, dywan gruby na cal, łoże jak arka, okryte złotą kapą. Naprawdę złotą. Rozgościłam się szeroko i wygodnie, rozwiesiłam ciuchy w szafie, wywaliłam papiery na biurko, buty zostawiłam beztrąsko na środku dywanu - jednym słowem dość skromnymi środkami udało mi się zaprowadzić swojski bajzel. No i oczywiście napuściłam pełną wannę wody. Muszę przyznać ze wstydem, że na widok prawdziwej łazienki chińskie zabiegi higieniczne wydały mi się dalece niewystarczające. Leżąc w kąpiel, zastanawiałam się, co robić dalej i czy w ogóle coś robić.

Natychmiast po załatwieniu formalności związanych z wynajęciem pokoju i odjeździe Stefana zrzuciłam tu plecak i pognąłam do proboszcza. Już mi to ganiecie do proboszcza weszło w nałóg. Przeryliśmy wspólnie księgę z czterdziestego szóstego roku, ale ani w lutym, ani w żadnym innym miesiącu tego roku nie znaleźliśmy zapisu o pogrzebie Moniki. Już

byłam skłonna przyjąć, że brak zapisu świadczy o tym, że Monika jednak przeżyła, ale ksiądz ostudził mój entuzjazm.

- Ta kobieta mogła ją pochować w innej parafii albo w ogóle pochować bez księdza. Sama pani mówiła, że nie była wzorową parafianką. Mogła też odmówić zabrania ciała. A mnie ten zapis doktora zdaje się bardzo wiarygodny.

Tak, i mnie ten zapis w kalendarzu doktora Cichockiego wydawał się wiarygodny. Chyba dlatego, że był świadectwem spisanim ad hoc, a nie odbiciem zdarzeń przechowywanym w ułomnej ludzkiej pamięci. Teraz, leżąc w wannie, zastanawiałam się, co mogło się stać z ciałem Moniki, jeśli Pragłowska odmówiła jego odebrania. Nie miałam pojęcia, co robi się z takim niechcianym ciałem. Pogrzeb na koszt państwa? Muszę zapytać doktora Cichockiego.

A może ksiądz miał rację, doradzając mi zostawienie spraw „takimi, jakie są”? Co mi przyjdzie z tego, że dowiem się, co się stało z ciałem Moniki? A jeśli została spalona wraz z amputowanymi kończynami i zużytymi opatrunkami? Czy na pewno chcę dowiedzieć się czegoś takiego? Co z tym mogę zrobić teraz? Cień upływających lat położył się gęstą warstwą na tamtych wydarzeniach - i może tak jest lepiej? Tamte czasy były podłe, tego, co się wtedy działo, moje pokolenie nie rozumie i nie chce rozumieć. I może rzeczywiście tak ma być, bo oni „tego właśnie chcieli”. Chyba najrozsądniej zostawić już przeszłość w spokoju, pozwolić umarłym pogrzebać swoich umarłych i zająć się żywymi.

Sobą.

Wieczorem byłam umówiona ze Stefanem i jego kumplem z podstawówki, rzeczoznawcą. Pal diabli kumpla z podstawówki, ale Stefana miałam zamiar oczarować. To był mój święty obowiązek wobec siebie samej. Wobec mojej przyszłości. Jak dotąd widział mnie rozczochraną, zmęczoną, nieumalowaną, nawet niedomytą, nawet gołą, a co gorsza,

słyszał mnie chrapiącą. To tak, jakby zacząć od końca - zamiast wstępować z wolna w sferę niedbałej zażyłości, odwalić wszystko na początku. Pokazać się z najgorszej strony. A przecież wiadomo, że wszelkie wysiłki podjęte celem oczarowania mężczyzny zaletami umysłu i charakteru pozostaną daremne, jeżeli nie będzie miał na czym oprzeć oka. Trzeba odrobić straty. Z zalem pomyślałam o kolekcji odlotowych ciuchów, kolekcji, którą zostawiłam w domu, przekonana, że tu mi się na nic nie przyda. Za to jestem szczęśliwą posiadaczką kochera, latarki, karimaty, śpiwora... no i jeszcze stu rzeczy, które teraz mogłabym spokojnie wyrzucić przez okno.

Była dopiero piąta i miałam nadzieję, że butiki, które widziałam przy głównej ulicy, są jeszcze otwarte. Wygramoliłam się z wanny i wyruszyłam na polowanie.

*

Kiedy dotarłam na Ogrodową, Stefan i jego kumpel już tam byli. Na parceli stały dwa auta, golf Stefana i żółty maluch. Stefan musiał umówić się z kumplem na wcześniejszą godzinę - ocena była już dokonana. Kumpel z podstawówki, imieniem Michał, był tęgawym, łysiejącym facetem w grubych okularach.

- Niestety, nie mam dla pani dobrych wiadomości - powiedział, kiedy Stefan dokonał już prezentacji. - Mury są w wielu miejscach skorodowane. Więźba dachu wprawdzie jest zdrowa, ale opiera się na murach, rozumie pani. Są rysy w nadprożach, a fundament nie był zaizolowany i podciąga wodę z gruntu. Wie pani, kiedyś tak się budowało. Gdyby dom był użytkowany, ogrzewany, remontowany, mógłby stać jeszcze sto lat. Ale w tej sytuacji... Na dobrą sprawę należałoby go rozebrać, bo grozi katastrofą.

Słuchałam tego z przygnębieniem. Nie miałam dotąd pojęcia, że mury mogą korodować. Myślałam, że tylko metale

korodują. Ale on wiedział lepiej. Ze Stefanem umówiliśmy się tak, że ja zaproponuję pieniądze, a jeśli Michał odmówi (jak przewidywał Stefan), to zaprosimy go na kolację. Nic z tych planów nie wyszło.

- Jeżeli pani zamówi ekspertyzę - powiedział na moją propozycję zapłaty - to będę musiał napisać prawdę. I wtedy pani będzie musiała to rozebrać albo chociaż ogrodzić i umieścić ostrzegawcze tablice. To są spore koszty. W przeciwnym wypadku, gdyby to się komuś zawaliło na głowę, pani jako właścicielka będzie odpowiadać przed sądem.

- Nawet jeżeli to się zawali komuś... no, nieproszonym gościom?

- Oczywiście, to bez znaczenia komu. Zamyśliłam się.

- Nie chcę, żeby to się zawaliło na głowę komukolwiek. Co mam zrobić?

- Jeżeli mogę coś doradzić, to tylko darowiznę. Pójść do urzędu miejskiego i w wydziale gospodarki nieruchomościami zgłosić pisemnie chęć darowizny czy też zrzeczenia się na rzecz gminy. Stefan mówił, że ta sąsiednia działka też należy do pani?

- Tak. To znaczy należała do mojego ojca. Jeszcze nie przeprowadziłam postępowania spadkowego. Tak samo jak z tym domem.

- Więc najlepiej od razu zrzec się spadku na rzecz gminy. Niewiele pani straci, bo grunty w tej części miasta są tanie, dwa, trzy złote za metr.

- A gdybym zdecydowała, że jednak chcę tu zamieszkać? Spojrzał na mnie, jakbym spadła z księżycy.

- To by kosztowało majątek. Najpierw zamknięcie domu, przekładka dachu, suszenie murów, zastrzyki betonu... no i odkrywanie fundamentów, żeby założyć izolację. To są prace specjalistyczne, drogie. Po ich wykonaniu będzie pani miała stan surowy zamknięty, czyli około trzydziestu procent kosztu

całej inwestycji. Wie pani, o wiele prościej i taniej byłoby wybudować dom od nowa.

Podziękował za zaproszenie na kolację - musiał rwać do domu i pomóc żonie w pakowaniu - nazajutrz wyjeżdżają nad Balaton.

I to by było na tyle. Nie potrafiłam ukryć rozczarowania. Od początku czułam, że to właśnie tak wygląda, ale widocznie gdzieś na dnie tliła się we mnie iskierka nadziei, bo teraz, gdy usłyszałam ostateczny wyrok śmierci na moje marzenie, wydany przez profesjonalistę, poczułam się ograbiona. Stałam w otworze pozostałym po wyrwanych kuchennych drzwiach i ogarnęłam ostatnim spojrzeniem zrujnowane, zaśmiecone wnętrze.

- No, Monika! Trzeba żyć dalej. Dokąd chcesz pojechać?

- Nie wiem, myślałam o Uhercach - odrzekłam markotnie.

- Uherce? Tam nic nie ma, tylko dziurawy kryminal.

- To sam wybierz. Mówiłeś, że znasz fajne miejsca.

- Dobrze ci zrobi pójść między ludzi - zdecydował.

Zawiózł mnie do Polańczyka, czyli, jak sam mówił - do Poleszczańsk. Byłam zaskoczona - to mają być te dzikie Bieszczady? Miejsce równie zatłoczone i rozdeptane jak na przykład Świnoujście. Z trudem udało mu się znaleźć miejsce na parkingu. Sam siebie sklął za głupotę - jakoś mu się zapomniało, że jest piątkowy wieczór i że zaczął się weekend. Na urlopie nie zwraca się za bardzo uwagi na dni tygodnia - wszystkie są wolne. Ale restauracyjka, właściwie pizzeria, do której mnie zaprowadził, była położona nieco na uboczu, muzyka dobiegająca z wnętrza na taras była nieagresywna i na tyle stłumiona, że nie przeszkadzała w rozmowie. Z tarasu piękny, rozległy widok na Jezioro Solińskie, pobłyskujące różowo w świetle zachodu. Stefan zarekomendował mi lasagne, którą według jego opinii przyrządzano tu z dużym

znawstwem. Dobra, może być lasagne. Byle dużo - byłam przybita i głodna.

- Mam wrażenie, że trochę wyskoczyłem przed orkiestrę z tym rzeczoznawcą - powiedział. - Chyba wolałabyś tego wszystkiego nie usłyszeć.

- Pewnie, że wolałabym usłyszeć coś miłego. Ale teraz wiem, na czym stoję.

- Zrobisz to, co ci doradził?

- No jasne. Nie mam ochoty wylądować w pudle.

- E, daliby ci w zawieszeniu - zaśmiał się, pochylił ku mnie i wziął moją rękę. - Na piękne oczy. Jaki to właściwie kolor?

(Max Factor, konturówka „złocisty brąz”).

- Taki tam, shitty brown - odrzekłam skromnie.

Lasagne rzeczywiście smakowała wspaniale. Byłam za tym, żeby wziąć do niej włoskie wino, ale Stefan wybrał południowoafrykańskie. I miał rację. Czerwone, cierpkawe, ale nie kwaśne. Niebo w gębie. Jednak dobre żarcie (i picie) poprawia nastrój. A jeśli znajdziesz się w pięknie położonym miejscu, naprzeciw ciebie siedzi ktoś, na kim z godziny na godzinę bardziej ci zależy, a wokół roi się rozbawiony, świąteczny tłum, smutek w końcu musi się poddać. Lasagne znikła równie szybko z talerza Stefana, jak z mojego, musiał być tak samo głodny jak ja. Kelnerka sprzątnęła ze stołu, dołała wino do kieliszków i odeszła. Stefan znowu wziął mnie za rękę i bawił się moimi palcami. Mrok z wolna otulał wody jeziora, z wnętrza knajpki dobiegała muzyka, dość stłumiona, ale wyraźna. Green grass of home. Lubiłam to, choć było już stare i ograne. Od dziś będzie mi przypominać ten wieczór... Czy ja jestem... szczęśliwa...?

- Lubię tę piosenkę - powiedziałam.

Wzdrygnął się i puścił moją rękę. Właściwie ją odepchnął.

- Wiesz, o czym ona jest? Facet siedzi w celi śmierci, rano mają go powiesić. Przypomina sobie rodzinny dom...

- Przestań...! Dlaczego on to zniszczył?

Patrzył na mnie ni to ze współczuciem, ni to z ironią.

- Masz ochotę na spacer?

- Nie wiem... chłodno się zrobiło.

Wcale się nie ochłodziło, tylko mnie zrobiło się nagle zimno. Czułam, jak skóra na moich ramionach ściąga się i marszczy. Fuj. Nie ma nic wstrętniejszego niż ciało kobiety pokryte gęsią skórą. Objęłam się rękoma i zaczęłam rozcierać ramiona.

- Posiedź tu moment, przyniosę kurtkę z auta.

Wstał i przeszedł przez restaurację, żeby po drodze zapłacić rachunek. Siedziałam chwilę bez ruchu, potem wstałam i obszedłszy pawilon restauracji, poszłam jego śladem. Piosenka goniła mnie jeszcze jakiś czas, dopóki nie zagłuszył jej rytmiczny rock'n'roll wylewający się z innej knajpy. Już nigdy, przenigdy nie będę w stanie jej słuchać.

Spotkaliśmy się u wyjazdu z parkingu. Narzucił mi na ramiona swoją kurtkę i przez moment przytrzymał mnie przy sobie.

- Nie gniewaj się - szepnął tuż przy moim uchu. - Wiem, że jestem beznadziejny.

Nie odpowiedziałam, bo nie przychodziło mi do głowy nic poza przyznaniem mu racji. Jakby to było jego winą, że tamtą Monikę spotkał tak smutny koniec, że mój dom grozi katastrofą, a piękna melodia, przy której nieraz ktoś przytulał mnie w tańcu, to w istocie danse macabre.

Zeszliśmy z deptaka i ruszyliśmy brzegiem jeziora. W miarę jak oddalaliśmy się od hałaśliwych barów i knajp, otulała nas coraz głębsza cisza, coraz gęstszy mrok, odcinając nas od reszty świata, sprawiając, że stawaliśmy się bardziej osobni. Stefan usiadł w głębokiej trawie, tuż nad łagodnie

falującą taflą jeziora i pociągnął mnie za sobą. Potem zsunął kurtkę z mojego ramienia, położył na nim dłoń i się jej przyjrzał. Na tle mojej jasnej skóry ta dłoń w mroku wydawała się prawie czarna. Jeszcze nie wiedział, że na dzisiejszą noc nie otrzyma zaproszenia.

- Wiesz, nie powinnaś nosić takiej bladej zieleni. Przynajmniej dopóki się trochę nie opalisz - powiedział.

O mało nie pękłam. To ja po to nogi sobie łamię i w ostatniej chwili przed randką zdobywam piękną kreację „o barwie mglistej zieleni”, żeby usłyszeć od ukochanego mężczyzny, że wyglądam jak larwa bielinka na liściu kapusty? Odsunęłam się urażona.

- Owszem, jesteś.

- Co jestem?

- Beznadziejny.

- No przecież wiem, że jestem. Jutro pojedziemy na Wyzną, na cały dzień. Będiesz się mogła opalać nawet na golasa.

O już...!

- Nie wiesz, co mówisz. Gdybym się cały dzień opalała, w dodatku na golasa, to wieczorem mógłbyś zakopać moje zwłoki obok tego konia. Jestem kobietą o delikatnej karnacji, nie zauważyłeś?

- Uhm... zauważyłem - mruknął, całując mnie w szyję.

- Zaraz... powiedziałeś: na cały dzień? Czy ty czasem nie zanedbujesz ojca? Przecież przyjechałeś tu do niego.

- Fakt. Zanedbuję. Ale co mam na to poradzić? Masz nad nim przewagę.

Zastygłam w oczekiwaniu miłego komplementu.

- Nie jesteś głucha.

Rozdział 6

Nie zaprosiłam go na górę ani tej nocy, ani następnej, chociaż trudności technicznych nie byłoby żadnych - w recepcji mojego motelu zasiadali na zmianę dwaj koledzy i jedna koleżanka Stefana z podstawówki. Chyba „większe pół” Sanoka to jego koledzy z podstawówki. Nawet mrugnięciem nie zdradził rozczarowania, choć pożądał mnie równie silnie, jak ja jego. Nie mówił o tym i starał się tego nie okazać, ale takie rzeczy kobieta wie zawsze. Wyczuł, że to gra, którą narzuciłam nam obojgu, i podjął ją bez słowa protestu, jakby wiedział od początku, że i tak przegram. Mylił się, bo choć w istocie była to gra, to dla mnie nie była zabawą, a raczej walką - o siebie, o niego, o nas. Chciałam go skłonić do zastanowienia się nad charakterem naszej znajomości, sprowokować, zdenerwować. Sprawić, żeby się wkurzył i postanowił więcej nie przyjść, nie zadzwonić. To była moja gra, mój impas w „bez atu”.

Piątego wieczora naszej znajomości zaproponował, żebym przyszła obejrzyć jego znaczki. Trochę się obawiałam starszego pana, już nie patrzył na mnie łaskawym okiem, i to nie tylko dlatego, że przeze mnie Stefan go zaniedbywał.

Całe przedpołudnie następnego po wypadzie na Wyżną dnia spędziłam w domu doktora. To Stefan nalegał, żeby do końca wyjaśnić sprawę śmierci Moniki - ja wolałabym już do tego nie wracać. Nasza konferencja nad zapisem w kalendarzu z czterdziestego szóstego roku nie zmieniła wiele - sam zapis zdawał się bardziej wiarygodny niż osobiste potwierdzenie starego doktora: „Tak, tak, pamiętam. Monika Pragłowska, zmarła na tyfus. Tak, na pewno”. Starszy pan, początkowo zadowolony, że znów znalazł się w centrum uwagi, w miarę upływu czasu stawał się coraz bardziej zmęczony i bezradny. Z kilkuset skrótów rozszyfrował zaledwie kilka nazwisk, żadne jednak nie należało do osoby, z którą starszy pan

utrzymywałyby kontakt lub przynajmniej pamiętał jakieś fakty pomocne przy identyfikacji; książka telefoniczna okazała się i tym razem bezużyteczna. Jedyne błysk nadziei obudził na moment ów pożyczalski Sawczuk, dawny sanitariusz ze szpitala, wprędce jednak dowiedzieliśmy się telefonicznie od jego pociotka, że po pierwsze trzydzieści lat temu wyjechał do Stanów, po drugie niedawno zmarł.

Żegnając się ze mną tego dnia, stary doktor spojrzał na mnie surowo.

Od razu domyśliłam się dlaczego. Od początku czułam, że Stefan jest albo żonaty, albo związany z jakąś kobietą. Utwierdzały mnie w tym przekonaniu jego określone sformułowania, niedomówienia, embargo na informacje o życiu tam, w domu. Byłam dla niego tylko przygodą, wakacyjną blondynką, niczym więcej. Nie brał w rachubę żadnej zmiany. Gdybym miała więcej śmiałości, a stary doktor nie był głuchy, być może uspokoiłabym go jakąś lekką aluzją o ulotności wakacyjnych przygód - było mi go żal. Co nie znaczyło, że gdybym była w stanie wyrwać Stefana dla siebie, nie uczyniłabym tego.

Oczywiście nie zapytałam o nic Stefana - po co zadawać pytanie, na które zna się odpowiedź? Żeby odsłonić się i doznać upokorzenia? Niech lepiej myśli, że jest dla mnie tym samym, czym ja dla niego - przygodą. Teraz, kiedy zaprosił mnie do domu ojca na oglądanie zbiorów filatelistycznych, nie wytrzymałam.

- Nie chcę, żeby twój ojciec znów rzucał mi groźne spojrzenia.

Zmieszał się.

- A rzucał?

Roześmiałam się lekko, niedbałym gestem bagatelizując sprawę.

- Mogę przyjść później, jak już go zapakujesz do łóżka.

Przyszłam o dziesiątej. Stefan zaprowadził mnie tym razem do swojego pokoju, wąskiego pomieszczenia z jednym tylko oknem wychodzącym na podwórko. Najwyraźniej była to część większego pokoju, ongiś przedzielonego ścianką - świadczyły o tym proporcje: pokój wysoki jak reszta mieszkania był szeroki najwyżej na dwa metry. Stłoczone stały tu staroświeckie meble, szafa i przystawione do samej ściany biurko. Pod oknem wąskie, żelazne łóżko. Stefan posadził mnie przy biurku, sam usiadł na łóżku, które pod jego ciężarem zajęczało przeraźliwie. Pomyślałam, że jeśli będzie próbował zaciągnąć mnie do tego skrzypiącego wyra, to dostanę ataku głupawki, jak amen w pacierzu. Stłumiłam chichot.

- To naprawdę twój pokój?

- Tak, dopóki mieszkałem w domu, sypiałem tu. Później nikt niczego w tym pokoju nie zmieniał i zawsze, jak przyjeżdżam, instaluję się tutaj. Nie podoba ci się?

- Och, jest... przytulny - wybrnęłam.

Oglądałam te cholerne znaczki, w międzyczasie wykańczaliśmy xeres. Na spodzie, pod stosem zeszytów ze znaczkami leżał dziecienny pamiętnik. Mała książeczka w spłowiałej płóciennej oprawce z przetartymi rogami, wyplamiona atramentem. Odłożywszy na bok ostatni zeszyt, wzięłam pamiętnik do ręki.

- Czyj to?

- Mój.

Coś podobnego... nie przypuszczałam, że chłopcy także miewają pamiętniki.

- Możesz obejrzeć, już na tyle urosłem, że się go nie wstydzę.

Otworzyłam pamiętnik i przewróciłam parę kartek.

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,

Szukajcie nowych, nie odkrytych dróg.

Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!

(Fragment wiersza Adama Asnyka pt. Do młodych.)

Podpisane: ciocia Marylka. To ona ofiarowała pamiętnik: drogiemu Stefkowi, w siódmą rocznicę urodzin. I data: 20 sierpnia 1966. Rok mojego urodzenia.

Ciekawe, ile siedmioletni gówniarz jest w stanie zrozumieć z tej bardzo mądrej, acz podniosłej i zawikłanej strofy? Najwyraźniej ciocia Marylka wpisała to „drogiemu Stefkowi” na wyrost.

O ileż on był bogatszy ode mnie! Miał ojca, matkę, brata i jeszcze ciocię Marylkę.

- Ciocia Marylka... - szepnęłam, wodząc palcami po zdecydowanych, pochyłych literach wpisu. - Jaka ona była?

- Nie: była, tylko jest. Upierdliwa. Stara panna, emerytowana nauczycielka.

- Siostra matki czy ojca?

- Ojca. Cioteczna siostra.

- Utrzymujesz z nią kontakt?

- Nie, już od dawna.

- Czemu?

- Obraziła się na całą naszą rodzinę, już ze dwadzieścia lat temu. Przyjeżdżała dosyć często i... wiesz, ja byłem wrednym nastolatkiem, a mój brat już lekarzem. Mnie stawiała za wzór Romka, a mojej matce jego matkę. Po prostu kobiecina nie miała za grosz wyczucia. Uwagi na temat wychowywania dzieci, szkodliwości palenia, niestosowności farbowania włosów... i tak dalej. Kiedyś oświadczyła, że jest dumna z każdej zmarszczki na swojej twarzy, a tato spytał, czy równie dumna jest z każdej zmarszczki na swoim tyłku. Zachichotałam.

- I co?

- Nic. Obraziła się, na wieki wieków, amen. Biedna ciocia Marylka. Odwróciłam kartkę.

Choć mi Ty niebo złocisz i morze, smutno mi, Boże!
(z powodu tej cholernej trójki ze sprawowania) - tato.

- Za co dostałeś trójkę ze sprawowania?

- Za niewinność. Ktoś wytlukł szybę u naszego szkolnego cecia, a że się nie przyznał, wszyscy obecni na podwórku szkolnym piłkarze dostali trójkę ze sprawowania.

Ile razy, jedząc zrazy,
Trafisz na cebulę,
Tyle razy, bez urazy,
Wspomnij o mnie czule - mama.

- Pamiętasz ją?

- Oczywiście. Zmarła w zeszłym roku.

- Och...

Siedziałam nad rzeczką
bawiłam się beczką
O tobie myślałam
do beczki wleciałam - Jola

I rząd serduszek starannie wycieniowanych różową kredką.

Zielone lata...

Zapadły się już pod powierzchnię czasu, ale widzieliśmy jeszcze ich słoneczne refleksy, pamiętaliśmy słodycz tamtych landrynek, piekło jodiny na zdartym kolanie, ufność w boską opiekę nad światem. Dlaczego przyprowadził mnie tutaj? Czy nie mogąc dać mi niczego ze swojej teraźniejszości, zapragnął ofiarować mi coś, czego nie musiał z nikim dzielić, coś, co tak samo jak ten brzydki pokój należało tylko do niego? Nie miałam wątpliwości, że umyślnie położył tu swój pamiętnik.

- A Jolę pamiętasz?

- Jasne.

- Była ładna?

- Jasne.
- Bawiliście się w doktora?
- Nie mogę ci powiedzieć. Jestem dżentelmenem.
- Już wypaplałeś. A teraz?
- Co teraz?
- No, czy teraz jest ładna.
- Ja wiem? Możesz sama ocenić, to recepcjonistka w twoim motelu. Ta tleniona, przy kości.
- Och...

- Nie stękaj. Chcesz się wpisać? - podał mi długopis.
Wzięłam obsadkę w zęby i gryząc ją, zastanawiałam się, co napisać.

- Odwróć się.

- To może pójde zaparzyć herbatę. Chcesz herbaty?

- Uhm. Wyszedł.

Kawalerze, cóż honor? Słowo.

Niech ci Bóg da kochanką nową.

Pozostając zawsze gotową

- Kochająca namiętnie - M

(Fragment wiersza Mariny Cwietajewej pt. Kawalerze des Grioux w tłum. Danuty Wawilow.)

Patrzyłam przez chwilę na moje okrągłe, trochę dziecinne pismo. Staranne, czytelne pismo księgowej. Litery niepochylone ani w lewo, ani w prawo. Taka jestem. Albo chcę być taka. Westchnęłam. Słyszac zbliżające się kroki Stefana, wyrwałam kartkę, zgmiotłam ją i wrzuciłam do stojącego przy biurku kosza na śmieci. Przecież nie powinnam tu nic wpisywać, bo nie należałam do jego cieniowanej różową kredką przeszłości. Nie należałam nawet do jego chwili obecnej, tylko do fałdy czasu, która powstała w jego terażniejszości. Kiedy fałda się zamknie, on znajdzie się w tym samym punkcie, w którym znajdował się, zanim mnie spotkał.

A może... jednak... nie? Na szczęście przyszłość pozostaje zakryta. Zamknęłam pamiętnik.

- Już? - sięgnął po sfatygowaną książeczkę. Odsunęłam jego rękę.

- Później przeczytasz.

Nie protestował. Kiedy wróci do domu i przejrzy pamiętnik, nie znajdzie wpisu. Może zauważy strzępy w zeszytu i poszuka wydartej kartki. Może znajdzie ją w koszu i może przeczyta. Ale ja już będę daleko stąd...

Położyłam pamiętnik na zeszytach ze znaczkami.

- Dlaczego nie zabierzesz tego do domu? Wzruszył ramionami.

- Te rzeczy są tutaj na swoim miejscu.

Więc jednak. Wypiłam parę łyków herbaty i odstawiłam filiżankę.

- Chcę już pójść.

Nie próbował mnie zatrzymać.

- Zaczekaj, zajrzę jeszcze do taty. Ostatnio coś mu odbiło i zostawia na noc zapaloną świeczkę na komary.

Przez całą drogę milczał zgaszony, jakby jakimś cudem odgadł słowa, które przeczyta dopiero jutro. Albo nigdy. Ja także milczałam, bo czułam, że on próbuje jakoś zaszufładkować naszą znajomość w przeczuciu, że właśnie się kończy. Że jutro nie będzie po niej śladu. Czy na pewno? Już wiedział, że te same rzeczy nas śmieszają, te same złością, te same powodują protest i bunt. Że lubimy wracać do tych samych książek i że muzyka nagrana na taśmach spoczywających w schowku jego auta jednakowo nas wzrusza. Ja już w pierwszych godzinach naszej znajomości odkryłam zgodność tego, czego nie potrafię określić inaczej niż jako zgodność wewnętrznych rytmów. Ta cudowna zgodność jest czymś niezmiernie rzadkim i trudnym do zdefiniowania, ale bez wątplenia się zdarza. Bez niej

wzajemne oczarowanie, pożądanie, namiętność - jednym słowem to wszystko, co potocznie nazywamy miłością - po jakimś czasie kona. Moja definicja miłości jest inna - to zgodność wewnętrznych rytmów, która tworzy związki na całe życie. Do grobowej deski. Inne związki, w których ta zgodność nie istnieje - cementują się, czym się da, choćby koniecznością spłaty kredytu zaciągniętego na wspólne mieszkanie, na zakup lodówki, na auto. Albo ubocznym produktem namiętności, przyzwyczajenia, obowiązku - dziećmi. Każdy ma swój wewnętrzny rytm i próba dostosowania go do rytmu drugiego człowieka jest z góry skazana na niepowodzenie. To właśnie była moja nadzieja na przyszłość, mój zielony kamyk trzymany w zaciśniętej dłoni. Tę cudowną zgodność naszych wewnętrznych rytmów ja wyczułam od razu, uświadomiłam ją sobie nieco później. On musiał także ją wyczuć - ale na tym koniec. To po prostu istnieje niezależnie od świadomości. Wszedł w to spokojnie, z całym zapasem definicji właściwych męskiemu rodzajowi i dlatego będzie się dziwił, że zwykła wakacyjna przygoda odbiera mu spokój, potem będzie się zżymał, przestanie mu smakować kawa parzona przez tamtą kobietę, zacznie go denerwować jej sposób wyrażania zdziwienia albo śmiech, a jej niedoskonałości, które znał przecież i akceptował, staną się nie do zniesienia. A wtedy...

Zatrzymaliśmy się na parkingu przed moim motelem. Pewnie sądził, że powiem mu dobranoc i pójdę sobie, odkładając resztę na resztę dni, jakie nam pozostały. Ale nie pozostały już żadne dni. Przechyliłam się nad dźwignią biegów i musnęłam jego wargi lekkim, motylim pocałunkiem. Przyciągnął mnie do siebie i... już całowaliśmy się, gwałtownie, zachłannie, jak gówniarze, którzy na moment wyrwali się spod rodzicielskiej opieki. Wsadził mi rękę pod

koszulkę i gładził moje plecy, łopatki... Ja zabrałam się za wyciąganie mu koszuli z za paska spodni...

Opamiętałam się pierwsza. Właściwie nie opamiętałam się - po prostu otrzeźwiałam na moment.

- Nie musimy tego robić na parkingu - wychrypiałam w koszulę na jego piersi.

*

To była krótka, czerwcową noc. Za ledwie parę mrocznych godzin bez chwili snu, milczących i wypełnionych po brzegi. Każde nasze słowo niewypowiedziane tej nocy to była zamknięta księga, którą będziemy mogli otworzyć w przyszłości. Albo nie otworzymy nigdy. Kiedy niebo za oknem z granatowego zrobiło się szafirowe, zwiastując nieuchronne nadejście dnia, nie mogłam powstrzymać łez. Nie próbował mnie uspokoić, pocieszyć, nie pytał dlaczego. Dobrze wiedział dlaczego. Wszystkie te chwile, kiedy milczał w przekonaniu, że milcząc nie kłamie, zawisły teraz pomiędzy nami i mogliśmy tylko patrzeć na siebie bezradnie.

- Dzisiaj wracam do domu - powiedziałam.

Chciał pozostać lojalny wobec tamtej kobiety - przynajmniej w wąskim zakresie męskiej lojalności: przyrzekłem, że ciebie nie opuszczę i nie opuszczam, więc o co chodzi? Nie chciał także zranić mnie - ale teraz zrozumiał, że chciał zjeść ciastko i mieć ciastko. I że tak się nie da. Zaszedł tam, gdzie zaszedł, i było to dalej, niż zamierzał sobie pozwolić; nieświadomie przekroczył granicę, poza którą sprawy toczyły się już same, niezależnie od tego, jakie były jego intencje. I teraz zrozumiał, że musi dokonać wyboru.

I wybrał.

- Wracaj - powiedział głucho.

Coś ciemnego poruszyło się gwałtownie w moim wnętrzu, jakby to słowo kamień obudziło śpiącego potwora.

Uświadomiłam sobie, że mogłabym zabić, że potrafiłabym zabić, że jestem do tego zdolna.

Serce załomotało mi z przerażenia - więc jednak to we mnie jest. Boże... zawrócić, przekreślić to czarne miejsce w moim wnętrzu, cofnąć czas...! Czy istnieje jakakolwiek siła zdolna sprawić, by Księga motyli znalazła się znów wysoko na półce? Zamknęłam oczy, a mimo to widziałam: jaśniejszy prostokąt okna, rozkopana biała pościel, ciemny zarys ciała mężczyzny, dziewczyna o jasnych włosach rozsypanych na poduszce - zacierający się obraz, coraz bardziej odległy...

Usłyszałam jeszcze wołanie - wypowiedział moje imię, jakby prosił, żebym zabrała go ze sobą, jakby wbrew własnemu doświadczeniu przeczuł istnienie obszarów zapisanych tysiącami historii, jeszcze nierozpoczętych, skończonych i tych, które dopiero się dzieją.

Rower leżał w trawie. Ktoś na nim przyjechał, ktoś wrogi, przepełniony intencją czynienia zła. W mieszkaniu, za jasno oświetlonym oknem, leżała na podłodze staruszka, ze zwichrzonymi siwymi włosami i czerwonym piętnem na skroni. Była martwa. On buszował po pokojach. Zbiegłam z ganku i wypadłam na ulicę. Krzyczałam ze wszystkich sił o pomoc i jednocześnie myślałam: to dzielnica akademicka, mieszkają tu sami naukowcy, jajogłowi, tchórze. Nikt nie wyjdzie, nikt... najwyżej wyrzy zza firanki... a on, jeden jedyny, który by się nie bał - został gdzieś daleko... czy umarł? W oknach szybko gasły światła, jedno za drugim, i w końcu zapadła zupełna ciemność.

Zostałam sama - z moim daremnym pragnieniem ułożenia wszechrzeczy, z moim bezgłośnym krzykiem.

Rozdział 7

Odeszłam. Powróciłam do miejsca, które powinno być moje - ale nie było. Rzuciwszy okiem na kalendarz, stwierdziłam, że od mojego wyjazdu minęło zaledwie osiem dni. Czy to możliwe?

Czy to możliwe, żeby w ciągu tygodnia moje życie rozleciało się jak potracona przez nieuwagę budowla z klocków? Och, możliwe. Przecież życie moich dziadków rozpadło się w ciągu kilku minut. No cóż - nie stanowiło to dla mnie pociechy.

Odczuwałam jako szczególne szyderstwo losu, Boga, przeznaczenia - czy jakkolwiek to nazwać - ofiarowanie mi najpiękniejszego daru, o jakim można zamarzyć - miłości - i pozostawienie mnie z przepelnionym sercem i pustymi rękoma. Nie mogłam już ratować się ucieczką w zabieganą codzienność, nie miałam nikogo, z kim mogłabym po prostu porozmawiać. Wyrzucić z siebie gorycz rozczarowania i uzyskać w ten sposób chociaż namiastkę spokoju. Miałam oczywiście sporo koleżanek i kolegów, ze studiów, z dwóch kolejnych firm, w których pracowałam, ale moje z nimi kontakty nie wykraczały poza ramy zwykłej znajomości. Pewnie to moja wina - zbyt mało obchodziły mnie sprawy, które żywo obchodziły ich: osiągi i awarie samochodów w męskim towarzystwie, dzieci, seriale i sałatki w damskim. Wcale nie dlatego, żebym się czuła ponad to - po prostu w tych sprawach nie miałam nic do powiedzenia, byłam obok. Przysłuchując się takim rozmowom, z buchalterską skrupulatnością odnotowywałam zdania, które nie rozpoczynały się od „a ja”, „a mnie”, „a moje” - nie miałam z tym wiele roboty. Tak, najbardziej lubimy słuchać o sobie, a ponieważ nie ma chętnych do mówienia o nas, słuchamy tego, co mówimy o sobie sami.

Paradoksalnie jedyną osobą, której mogłabym się zwierzyć bez ryzyka, że nie zostanę wysłuchana z należytą uwagą, była nasza firmowa sprzątaczką, pani Lidzia. Zwykle kończyła sprzątanie już po moim przyjeździe do firmy i wsparta na miotle snuła jękliwe zwierzenia aż do nadejścia Zbyszka. O czym wy rozmawiacie? - dziwił się, a ja odpowiadałam krótko: o życiu. Tak, teraz ja czułam potrzebę rozmowy „o życiu” i wiedziałam, że tylko pani Lidzia byłaby zdolna wysłuchać mnie z prawdziwym zrozumieniem, ze współczuciem. Może nawet przycisnąć mnie do przepoconej piersi.

„Sprawy spadkowe”, które wyobrażałam sobie jako potężną górę biurokratycznych formalności, zajęły mi jedno przedpołudnie. Po prostu wystarczyło zebrać kilka papierów, skopiować je i złożyć w sądzie. Moje oświadczenie o zrzeczeniu się domu trochę sprawy przeciągnie, powiedziała mi urzędniczka. Prościej byłoby zrzec się spadku na korzyść Skarbu Państwa. W porządku - zrzekłam się.

Wiedziałam, że „Skarb Państwa” nie będzie bawić się w sentymenty i dom zostanie zrównany z ziemią. To dobrze. Niech znikną na zawsze ściany splamione zbrodnią, ściany, które nie chcą milczeć, choć od tamtej tragedii minęło ponad pół wieku.

Każdy dzwonek telefonu wprawiał mnie teraz w dygot, chociaż wiedziałam, że to nie może być on. Jeszcze nie. Po prostu upłynęło zbyt mało czasu. Nawet jeśli sprawy potoczą się zgodnie z moimi pragnieniami, to będą toczyć się wolno.

Na dworcu w Sanoku, tuż przed odjazdem mojego pociągu, Stefan zrobił jednak coś, czego zrobić nie zamierzał w chwili, gdy podejmował decyzję o wyrzucaniu mnie ze swojego życia.

- Daj mi numer telefonu - powiedział, szukając nerwowo długopisu. - Na wypadek, gdybym się tu jeszcze czegoś dowiedział.

Raczej na wypadek, gdybym się wybrał do Wrocławia - pomyślałam, zapisując numer w jego notesie. Obok numeru dopisałam „Saw.” i uśmiechnęłam się porozumiewawczo: a to na wypadek, gdyby ona dobrała się do twojego notesu.

Nie powinnam czekać na jego telefon. Gdyby teraz zadzwonił, to wcale nie oznaczałoby zwycięstwa. Oznaczałoby tylko, że przypomniał sobie o istnieniu we Wrocławiu świetnie zaopatrzonego sklepu ze sprzętem alpinistycznym albo zapragnął obejrzeć „Panoramę”, a przy okazji... Nie.

Nie idealizowałam go - zdawałam sobie sprawę, że facet, który wlaź zimą na K - 2, jest takim samym tchórzem jak tysiące facetów, którzy wspinają się co roku na Gubałówkę. A ja nie będę go dzielić z nikim i jeśli nie zdobędzie się na cięcie, to niech zostanie tam, gdzie jest. Żadnych sentymentalnych podróży.

*

Śmierć taty i wszystkie późniejsze zdarzenia sprawiły, że znalazłam się w stanie nieprzyjemnego zawieszenia. Nie mogłabym już powrócić do mojego dawnego trybu życia i nie chciałam powrotu; nie zniosłabym dłużej monotonii podobnych do siebie dni kapiących jak woda z nieszczelnego kranu. Odważna próba zmiany nie powiodła się, a na dalsze próby nie miałam pomysłu. Teraz, poniewczasie, pożałowałam, że w stosunkach ze Stefanem byłam tak powściągliwa. Nie mogąc mieć go dla siebie, mogłabym mieć jego dziecko. Nasze dziecko. Istniała na to pewna szansa, bo po zerwaniu ze Zbyszkiem przestałam się zabezpieczać, a Stefan (z właściwą męskiemu rodzajowi beztrąską) nie zwracał sobie głowy takimi drobiazgami. No jasne, niech

martwi się ten, kto będzie ponosił konsekwencje. No, zobaczymy. Za jakieś dziesięć dni. Wiedziałam, że rozczarowanie będzie bolesne, i starałam się nie podsycać w sobie nadziei. W ogóle o tym nie myśleć. Ale myślałam, cały czas.

Nigdy się specjalnie nie rozczulałam nad swoją samotnością - od wczesnego dzieciństwa była dla mnie stanem normalnym. Kłopot polegał na tym, że pozwoliłam sobie na chwilę zaznać bliskości drugiego człowieka i wbrew rozsądkowi, doświadczeniu, a nawet wbrew własnej woli pielęgnować w sobie marzenie. Dosyć tego.

Postanowiłam sprawy rodzinne doprowadzić teraz do końca - dowiedzieć się, czy mam jeszcze jakichś krewnych. Jednym słowem, sprawdzić, czy żyje jeszcze ktoś z krewnych mojej mamy, z rodziny tamtych Jazłowskich, którzy pozostali po wojnie we Lwowie. Ciocia - babcia Grzymecka dobiegałaby już setki, a ponieważ nie wyszła za mąż i nie miała dzieci, mogę ją sobie darować. Ale niewykluczone, że żyje ktoś z bratanków lub siostrzeńców dziadka Jazłowskiego. Nie miałam pojęcia, jak nazywała się po mężu siostra dziadka Jazłowskiego, choć pewnie tato mi kiedyś mówił. O, jaka ja byłam durna, że nie słuchałam go uważnie! Szkoda, że młode damy mają zwykle coś bardziej interesującego do roboty niż wysłuchiwanie rodzinnych historii. Trudno - tego już nie odkręcę. Będę musiała ograniczyć się do poszukiwania Jazłowskich. Jeżeli uda mi się kogoś z tej rodziny odnaleźć, to może przez niego trafię do innych krewnych. Polonia we Lwowie to raptem dwieście osób i jeśli żyje ktoś o tym nazwisku, odnalezienie go będzie możliwe. Powinnam też bez większego trudu odnaleźć rodzinny grobowiec Jazłowskich. Wiedziałam od ojca, że ten grobowiec znajduje się na cmentarzu Janowskim i chociaż dziadek nie jest w nim pochowany, to na życzenie babci jego imię zostało

umieszczone na płycie. Odnalezienie grobu mamy w Poznaniu zajęło mi dziesięć minut i naiwnie wyobraziłam sobie, że we Lwowie odniosę równie łatwy sukces.

*

Żadna agencja turystyczna nie chciała podjąć się rezerwacji miejsca w hotelu we Lwowie. Proponowano mi za to wycieczki - najbliższy termin w październiku. Wie pani, teraz trwa sezon, ludzie rezerwują miejsca z półrocznym wyprzedzeniem.

Nie to nie. Znajdę sobie sama coś na miejscu.

Żaden kantor nie chciał zamienić moich złotych na hrywny, czy jak się tam te pieniądze nazywają. Nie szkodzi. Kupiłam dolary. Dolary są mile widziane wszędzie na świecie, dlatego we Lwowie miałyby być inaczej? Na dworcu PKS dowiedziałam się, że do Lwowa kursują tylko „ich” autobusy. Już miałam kupić bilet, kiedy kasjerka, spojrzawszy na mnie jakoś dziwnie, nachyliła się do dziury w szkle i powiedziała:

- Za kwadrans startuje autokar do Lwowa, ze stanowiska siedemnaście. Pani pójdzie zobaczyć.

Poszłam. Stary, chyba dwudziestoletni san grzał motor, w ładowniach upychano do oporu pękate, pasiaste torby, takie same torby zappełniały po sufit wewnątrz. Zdawało się, że już niczego więcej dopchnąć się nie da, a jednak przy wejściu tłoczyło się jeszcze kilkanaście osób z kilkudziesięcioma pasiastymi torbami... O Jezu. Na dworze było trzydzieści stopni, wewnątrz musi być ze czterdzieści, pomyślałam. Piętnaście godzin w czymś takim... piętnaście pod warunkiem, że się toto nie rozleci na pierwszym zakręcie. Wróciłam, żeby podziękować kasjerce za dobrą radę. Sypialny kosztował majątek i mogłam dostać miejsce dopiero za dwa dni, ale pal sześć. Stać mnie było i miałam czas. Właściwie ten sypialny nie był mi do niczego potrzebny, pociąg startuje o dziewiątej rano i przyjeżdża do Lwowa krótko po północy. Problem w

tym, że jest to pociąg do Kijowa i innych miejsc niż sypialne w nim nie ma. Chociaż oczywiście trzy czwarte pasażerów wysiada we Lwowie. Logika postsowiecka.

Wróciłam do domu i załadowałam pranie do pralki. Czyste majtki to podstawa, tylko co z resztą? Czy kontynuować styl koszulowo - trampkowy, czy też zabrać jakieś nowo nabyte kreacje? Byłam pewna, że zamieszkałam w hotelu - po cichu marzył mi się hotel George'a. Hotel George'a... to zobowiązuje. Wyjęłam z szafy sukienkę z ciemnoczerwonego jedwabiu w małe, z rzadka rozsiane czarne jaskółki. Cienkie ramiączka, dekolt z przodu i z tyłu, wysoko odkryte kolana. Tak, to jest to - kolacja w hotelu George'a. Do tego lakierowe sandały z cieniutkiej skóry i koniecznie czarne, onyksowe klipsy. Właśnie zastanawiałam się nad wyborem odpowiedniej torebki, kiedy zadzwonił telefon.

To mógł być każdy...

Wytrzymałam pięć dzwonek, potem z walącym głucho sercem podniosłam słuchawkę.

- No jesteś.

Mimo że w uszach szumiała mi krew, poznałam głos. No i ta odzywka. To Zbyszek. Mówił coś szybko, a ja powoli wyrównywałam oddech. Czy to następna kontrola skarbową?

- Czekać... nie rozumiem, powtórz.

- Mówię, że lepiej, żebyśmy poszli razem. Na to wesele.

- Jakie wesele?

- O kurczę... no przecież Jacka. Byliśmy zaproszeni już dwa miesiące temu. Wiem, że się powaliło, ale byliśmy zaproszeni razem i zaraz będą ploty. Przyjadę po ciebie...

- Kiedy?

- W sobotę, o czwartej.

- Nie mogę. Pojutrze wyjeżdżam do Lwowa, do rodziny.

- Ty... masz rodzinę we Lwowie?

- Tak.

- Nie wiedziałem...

Nic o mnie nie wiedziałaś. Ale tak Bogiem a prawdą to i ja o tej rodzinie nic nie wiedziałam. I dalej nie wiem.

- A nie możesz tego wyjazdu o parę dni przełożyć?

- Mam już bilet.

- Bilet można wymienić.

Jacek to mój kolega, nie Zbyszka. Zaprosił nas oboje, bo byliśmy wtedy razem. Ale już nie jesteśmy i właściwie... tam będzie mnóstwo znajomych, może być fajnie... tylko że mnie to w ogóle nie rajcuje.

- Wy tłumaczysz mnie. Zresztą nie, sama zadzwonię do Jacka. Baw się dobrze.

Odłożyłam słuchawkę i wtedy dopiero uświadomiłam sobie, że przecież jestem w żałobie. Jak w ogóle mogłam o tym nie pomyśleć? Och, tato... udało ci się odejść równie niepostrzeżenie, jak niepostrzeżenie udawało ci się żyć...

*

Postanowiłam, że przed podróżą dobrze się wyśpię. Przed południem zrobiłam zakupy - kilka bombonierek wedlowskiej czekolady, lubuska whisky, śliwowica, żubrówka, parę butelek czystej wódki. Tu raczej kierowałam się ładnym wyglądem butelek niż smakiem - bardzo rzadko zdarza mi się napić wódki i zawsze potem rzygam. Obawiam się, że jeszcze zanim się porzygam, udaje mi się nagadać bzdur. Dlatego staram się unikać wódki. Po zastanowieniu dokupiłam do tego kilka paczek kawy, kilka tabliczek czekolady i trochę kolorowych słodczy. Aha, i guma do żucia, koniecznie. Wszystkie te delikatesy przeznaczone były dla członków mojej ewentualnej lwowskiej rodziny, a przecież nie wiedziałam nic o ich upodobaniach; nie wiedziałam nawet, czy istnieją - tym bardziej nie miałam pojęcia, czy posiadają nieletnie potomstwo. Kiedy umieściłam to wszystko w plecaku, mój plecak jęknął. Czy ja to udźwignę? Jasne, że

udźwignę, w końcu jestem kobietą silną i dzielną, tyle że poruszać się będę nachylona ku ziemi pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni. Nieważne, byle do przodu. Resztę miejsca w plecaku wypełniłam ciuchami. Uff. Byłam mokra; koszulka lepiła mi się do pleców, majtki do tyłka. Co za pogoda! Może w końcu ten upał się przełamie. Rozścieliłam sobie łóżeczko i rozebrawszy się do golasa, powędrowałam do łazienki. Zaledwie puściłam sobie na głowę chłodny prysznic (wanny, niestety, nie posiadałam), zadzwonił telefon.

Nie odbierać! Tak rzadko mi się w życiu zdarzało mieć wszystko zapięte na ostatni guzik... czułam, że ten telefon przewróci ten ład do góry nogami. Zdenerwowana do szaleństwa wylałam sobie na głowę pół butelki szamponu. O kurczę... na szczęście telefon umilkł. Zaledwie jednak wróciłam do pokoju, rozdzwonił się znów. Nie wytrzymałam.

- Och, Monika... dobrze że jesteś. Dominik.

Dominik? Kto to jest Dominik?

- Ach, to ty... - Ugryzłam się w język, żeby nie powiedzieć: Lalunio. - Co dobrego?

- Obiecałaś mi całonocną balangę, pamiętasz?

- No jasne - odrzekłam i pomyślałam: no nie!

- Mamy już od dawna zaproszenie na grilla, a teściowa w ostatniej chwili zrobiła nas w konia. Mogłabyś?

Nie mogę...!!!

- Kiedy?

- Teraz. Po prostu prześpisz się u nas, on jest zupełnie spokojny, w nocy śpi.

Akurat.

- Dobrze, tylko... będziecie musieli wrócić przed siódmą. Siódmą rano.

- Wrócimy koło północy, to tylko grill. To jak?

- W porządku.

- Super. To czekamy.

- Dominik! Nie dałeś mi adresu.

Mieszkali w kawalerce podobnej do mojej jak kropla wody do kropli wody. To dobrze, przynajmniej się nie pogubię. Żona Dominika, Aśka, okazała się sympatyczną dziewczyną o interesująco podkrążonych oczach. Dzidzius leżał spokojnie w jej ramionach i słodko gulgotał. Fajna rzecz, taki dzidzius. Może i ja...

Aśka poszła położyć go do pokoju - życie towarzyskie z konieczności musieli wieść w kuchni - i wróciła po kilku minutach.

- Śpi. Gdyby się obudził, daj mu butelkę, jest w podgrzewaczu. Possie chwilę i zaśnie z powrotem. Masz tam rozstawioną polówkę, połóż się i śpij. Wrócimy najdalej o pierwszej.

- Jak on ma na imię?

- Wawrzek. Wawrzyniec Wspaniały. Albo Laurencjusz. Ale mam nadzieję, że nie będziesz musiała z nim gadać - odrzekł Dominik optymistycznie.

W ciągu paru minut wydali mi pośpiesznie jeszcze tysiąc instrukcji i się zmyli. Zostałam sam na sam z Laurencjuszem. Położyć się? Dochodziła dopiero dziesiąta, a mnie wcale nie chciało się spać. Zresztą lepiej nie kłaść się, a nuż w ogóle mnie nie obudzą i ucieknie mi pociąg? Sięgnęłam po leżące na parapecie okna czasopismo i nawet nie zdążyłam go otworzyć, kiedy z pokoju rozległo się ni to miauczenie, ni to żałosny jęk. Raz, drugi... O rany...

Na mój widok Wawrzek umilkł, przyjrzał mi się uważnie, a potem... no cóż, potem nabrał głęboko powietrza i wydał z siebie przeraźliwy wrzask. Uśmiechnęłam się do niego czarująco i wsadziłam smoczek w ryczący otwór, a on splunął nim z wprawą. Smoczek pofrunął pięknym lobem w ciemność. Po chwili gorączkowego raczkowania znalazłam

smoczek pod wersalką i pośpiesznie wsadziłam go na miejsce. Nic z tego, Wawrzek splunął nim ponownie i ryczał dalej.

Chyba obudził cały blok... W panice sięgnęłam po tkwiącą w podgrzewaczu butelkę przygotowaną na czarną godzinę. Coś zbyt szybko nadeszła ta czarna godzina...

Tak, chyba mu o to właśnie chodziło. Zaczął powoli, systematycznie opróżniać butelkę. Oczy zachodziły mu rozkoszną mgłą, już, już zdawało mi się, że usypia, ale gdy próbowałam cofnąć butelkę, zakleszczał smoczek w bezzębnych szczękach i patrzył na mnie wrogo. No cóż - koniec. Wytrąbił cały zapas awaryjny. Może go teraz rozsadzi? Nie śmiałam cofnąć butelki, wisiałam przewieszona przez poręcz łóżeczka, ręce mi omdlewały, w krzyżu czułam znajome gorąco. Chyba mam dyskopatię, pomyślałam. Trzeba się zacząć leczyć. Nieważne, byle zasnął. Niestety. Zassał powietrze raz, drugi... wypuścił smoczek i nabrał głęboko powietrza. Szybko wyjęłam go z łóżeczka. Zdawałam sobie sprawę, że łamię po kolei wszystkie udzielone mi przez rodziców instrukcje. (Nie noś go! Nigdy go w nocy nie nosimy!). No cóż, to będzie ich kłopot. Wawrzek najpierw spróbował, czy moje lewe oko nie da się przypadkiem wyjąć, potem oburącz wczepił się w moje włosy. Czemu wszyscy czepiają się moich włosów?

- Puszczaj, gówniarzu - powiedziałam wrogo. Zaśmiał się radośnie i beknął. Owiał mnie serowo - mleczny zapaszek, a potem poczułam coś jeszcze.

- Och, nie! - powiedziałam z rozpaczą. - Tego nie było w umowie!

Położyłam go na wersalce, odpięłam pieluchę i zamarłam. Czy to możliwe, żeby takie małe coś pomieściło w sobie tyle gówna?

Wawrzek patrzył na mnie, jakby chciał zapytać: i co ty na to? Pewnie taką minę miał E. Wedel, kiedy wyprodukował swój słynny torcik.

Tego naprawdę nie było w umowie i nie miałam na taki wypadek instrukcji obsługi. Ostrożnie ujęłam Wawrzka pod pachy, wyjęłam go z pieluchy i w wyciągniętych przed siebie rękach zaniiosłam do łazienki. Światło w łazience musiałam zapalić nosem. Pysznic? Nie dam rady utrzymać go jedną ręką, a drugą myć. Wsadziłam go do umywalki. Ciepła woda doprowadzana centralnie - stwierdziłam, nie widząc nigdzie piecyka. Może być za ciepła, lepiej nie ryzykować.

Odkręciłam kran z zimną wodą. Wawrzek ryknął jak opętany.

- Zimna woda zdrowia doda - pocieszyłam go. Przytrzymując go w umywalce, zastanawiałam się: czym?

Przecież nie gołą ręką! Na skraju brodzika zauważyłam szczotkę - pewnie do mycia nóg, pleców albo sedesu. Nieważne. Istotne, że ma długi trzonek. Trochę mydła... Nie zważając na wrzaski, wyszorowałam mały zadek, aż nabrał pięknej, czerwonej barwy. No. Teraz trochę płynu po goleniu tatusia, trochę mamusi kremu pod oczy... Zaniiosłam maleństwo do pokoju. Świeża pielucha, smoczek, kołderka.

Nareszcie zrozumiał, że ze mną nie ma żartów. Wgapił się chwilę we mnie wielkimi, niebieskimi gałami Dominika, a potem odpłynął.

Ostrożnie umieściłam zużytą pieluchę w nylonowym worku i wrzuciłam do śmieci. Potem zrobiłam trochę przeciągu, żeby mieć czym oddychać.

*

Dominik z Aśką wrócili o drugiej. Tak bardzo starali się zachowywać cicho, że od razu stanęłam na równe nogi. Przysnęłam na siedząco, w kuchni, z czołem opartym na rękach. Zaczęłam się zbierać do wyjścia.

- Czemu się nie położyłaś?
 - Rano mam pociąg do Lwowa. Dziewiąta z minutami. Bądź tak dobry i zadzwoń po taksówkę.
 - Pociąg... rano? Dlaczego nic nie powiedziałaś? Przecież...
 - Wszystko gra. Po prostu muszę teraz wrócić do domu, dopakować się i tak dalej.
 - Czekaj moment. Jedziesz do Lwowa?
 - No właśnie.
 - Na wycieczkę?
 - Nie, sama. Nie lubię zorganizowanych imprez.
 - Masz tam rodzinę?
 - Tak podejrzewam. Właśnie jadę, żeby to sprawdzić.
 - Gdzie się w takim razie zatrzymasz?
 - W hotelu.
 - Masz zarezerwowany?
 - Nie, po co? Znajdę coś na miejscu.
- Popatrzyli na siebie z Aśką, jakby się pierwszy raz widzieli na oczy.
- Naprawdę chcesz tak zrobić? Pojechać w ciemno? O której ten pociąg jest we Lwowie?
 - Gdzieś po północy. U nich jest już po pierwszej.
 - I tak po prostu wsiądziesz do taksówki i każesz się zawieźć do hotelu...?
 - O rany! Tak, właśnie tak.
- Znowu wymienili spojrzenie, które mi się wcale nie podobało. Jakby mnie brali za wariatkę. Aśka wyjęła z lodówki piwo, z szafki trzy szklanki i postawiła na stole. Dominik posadził mnie prawie siłą na taborecie.
- Czy ty byłaś już kiedyś we Lwowie?
 - Co to, przesłuchanie? O co wam chodzi?
 - Ty nic nie rozumiesz, Monika. Tam jest... trochę inaczej niż u nas. Trzeba mieć miejsce do spania załatwione, inaczej...

Taki taryfiarz może wcale nie być taryfiarzem albo zawieźć ciebie tam, gdzie zażądają sto dolarów za noc, i co zrobisz? Już nie mówię o innych możliwościach.

- Nie strasz mnie. W końcu to też Europa - bąknęłam bez przekonania. Oczywiście udało im się skutecznie mnie nastraszyć. - To niby co ja mogę zrobić teraz? Nie jechać?

- Czemu nie powiedziałaś od razu?

- Cztery godziny temu? Co by to zmieniło? Spojrzał na zegarek.

- Bardzo dużo. Mógłbym od razu zadzwonić. A teraz już za późno, tam już jest po trzeciej.

- Dam sobie radę - oświadczyłam dziarsko i napiłam się piwa. A co mi tam.

- Bez paniki. - Aśka przysiadła się do stołu i też łyknęła piwa. - Wystarczy, jak Dominik zadzwoni rano, przecież ty tam będziesz dopiero po północy.

- Mam tam kumpla, jest informatykiem. Bardzo łąbski gość, w dodatku mówi po polsku. Zorganizuje ci nocleg, no i ważne, żeby odebrał cię z dworca.

- O... super. Dzięki. Chociaż nie wydaje mi się, żeby to wszystko aż tak strasznie wyglądało. W ostateczności mogłabym do rana przesiedzieć na dworcu.

- Na dworcu we Lwowie... hm. Słuchaj, już rok temu obiecałem temu koledze parę książek i jakoś nie złożyło się... mogłabyś zabrać?

- Nie ma sprawy.

Dominik zniknął na chwilę w pokoju, po czym wrócił ze stosem książek. Na oko siedem kilo. Wsadził książki do reklamówki, która natychmiast pękła. No...

- Zrobimy tak: masz tu jego adres i telefony, jakby coś. Ja będę dzwonił do niego od rana do skutku. Zresztą w domu jest żona, nie pracuje. Aha, mają syna. Jakies cztery, pięć lat. Kup

dla niego jakieś słodczyce, tylko polskie, tu, na dworcu. Jak będziesz ubrana?

- Co?

- No, jak będziesz ubrana. Muszę mu ciebie opisać.

- Normalnie. W spodnie, kurtkę...

- Załóż coś charakterystycznego, może czerwoną kokardę...

- Odchrzań się, dobrze?

Aśka parsknęła śmiechem. Wyszła i za moment wróciła z żółtą jedwabną chustą.

- Dostałam ją w prezencie od Ludki, żony Mirka. Zawiaż ją sobie na szyi, na pewno ją pozna.

*

Po całym dniu spędzonym na leżaco czułam się dziwnie. W Przemyślu przestawianie składu na szerokie podwozia trwało wieki, a co najmniej dwie godziny. Właściwie dopiero po przekroczeniu granicy zachciało mi się spać. Ale wiedziałam, że właśnie teraz zasnąć mi nie wolno, bo za godzinę, najdalej za półtorej będziemy we Lwowie. Resztę podróży spędziłam w dziwnej pozycji: siedząc na łóżku, zgarbiona pod górną, niezajętą pryczą.

No, nareszcie.

Leopolis semper fidelis.

Odbierając Polakom Lwów, Stalin szerokim gestem, takim, jakim rozdaje się nieswoje, podarował im Wrocław. Takie małe machniom. Gdyby tego nie zrobił, moja babcia nie musiałaby stąd uciekać przed bolszewikami i moi rodzice zapewne nigdy by się nie spotkali. A w każdym razie szanse ich spotkania byłyby bliskie zeru. Nie byłoby mnie na świecie albo byłabym kimś zupełnie innym. Kim? Interesujący temat do medytacji... ale nie teraz.

Wysokie hale przypominały do złudzenia dworzec we Wrocławiu. Z głośników, zamiast zapowiedzi, rozlegał się

jakiś marsz. Co to jest? Kiedy zachrypla melodia przebrzmiała, damski, optymistycznie nastrojony głos oznajmił, że był to marsz dońskich Kozaków, specjalnie na cześć podróżnych udających się do Kijowa. W całym pociągu Wrocław - Kijów było może z dziesięć osób, nie dałabym głowy, że był wśród nich choć jeden doński Kozak. Hm.

Nie miałam pojęcia, czy Dominik dodzwonił się do swojego lwowskiego kolegi. Co więcej, nie opisał mi go w ogóle, i nawet w przybliżeniu nie wiedziałam, jak wygląda. Powinien być mniej więcej w wieku Dominika, czyli około trzydziestki. Ba. Może to ten czarniawy grubas w skórze, który tak intensywnie mi się przygląda? Znaczącym gestem zdjęłam z szyi żółtą chustkę Aśki, strzepnęłam ją i ponownie zawiązałam. Grubas, jakby czekał tylko na umówiony sygnał ruszył w moim kierunku. Przestraszyłam się. Zgięta wpół pod ciężarem dwudziestokilogramowego plecaka ruszyłam szybko w kierunku podziemnego wyjścia z peronów. Jakoś mi się ten grubas w skórze nie spodobał.

- Witaj, Monika. Ja Mirek Stachniak, kolega Dominika.

- Witaj, Mirek - odrzekłam, dostrzegając z niebotyczną ulgą, że grubas w skórze zniechęcony zawraca na peron.

Przede mną stał wysoki, chudy blondyn ostrzyżony na jeża. Uśmiechał się szeroko, sympatycznie.

- My bardzo cieszymy się, że ty przyjechałaś do Lwowa. Uścisnęliśmy sobie ręce.

- Monika Sawicka. Dziękuję, że po mnie przyszedłeś.

- No, jasna sprawa. Dawaj twój plecak.

- Nie, nie trzeba.

Ściągnął mi plecak z ramion i wziął go za pętlę. Ciężar produktów monopolowych i książek Dominika sprawił, że jego szczupła dłoń pianisty momentalnie odkształciła się, jakby wkręcona w koło tortur. Zaniepokoiłam się.

- Czekaj, weźmiemy go po połowie.

- Ta gdzie.

Odsunął zdecydowanie moją rękę i ruszyliśmy do wyjścia. W głównej hali dworcowej roiło się od obszarpanych typów, cuchnęło moczem i piwem. Ale to nic nadzwyczajnego - tak samo jest o tej porze na dworcu we Wrocławiu, tak samo w Warszawie, Londynie i w ogóle na każdym dworcu dużego miasta na świecie. Wyszliśmy z jasnej hali dworcowej.

O kurde, jak tu ciemno, pomyślałam zaskoczona. Rozległy plac przed dworcem tonął w mroku. Potykając się na kocich łbach, poszłam za Mirkiem. Dotarliśmy do skraja placu i Mirek otworzył drzwi auta. Żiguli, raczej obszarpany. Umieścił we wnętrzu mój plecak i zajął się zdejmowaniem blokady kierownicy.

- Własna robota - poinformował mnie z dumą.

- Bardzo pomysłowe - pochwaliłam. - Znalazłeś dla mnie jakieś lokum? Pokój?

- Ta na co? U nas będziesz.

- Ale...

- Ne pereżywaj. Wszystko przygotowane. Jak ci nie będzie wygodno, poszukamy jutro. No, siadaj, siadaj.

No masz ci. Wygląda na to, że Dominik wpakował mnie na głowę zupełnie obcym ludziom. W dodatku, jeżeli będę chciała zamieszkać osobno, będę musiała powiedzieć, że mi u nich „niewygodno”. Otworzyłam usta i zaczerpnęłam tchu, żeby to Mirkowi powiedzieć, kiedy żiguli szarpnął ostro i o mało nie odgryzłam sobie języka. Z łoskotem potoczyliśmy się po przedwojennych kocich łbach. Nic, nic. Trudno - myślałam, ssąc obolały język. Jutro jakoś im to wytłumaczę, a teraz, w środku nocy, nie ma co kombinować, bo i tak niczego nie wymyślę.

Godzinę później, najedzona i wykąpana, spoczęłam na polówce za kotarą w kuchni Mirka i Ludki, całkowicie przekonana, że moi przemili gospodarze już od dawna nie

marzyli o niczym innym, jak o goszczeniu mnie w swoim jednopokojowym apartamencie. Wszelkie moje napomknienia o przeniesieniu się do hotelu zbywali krótko: Ta gdzie? Ta na co?

*

Zagnieżdzenie się u Stachniaków miało dla mnie same dobre strony. Ich mieszkanie położone na piętrze przedwojennej kamienicy przy Gródeckiej było - jak na tutejsze warunki - duże i luksusowe i znajdowało się w centrum miasta. Stąd miałam blisko wszędzie - do Rynku, do Katedry, do sklepów, nawet do hotelu George'a. Zaraz pierwszego ranka wybrałam się tam na kawę, ale stojący w drzwiach wygalonowany portier po krótkim przesłuchaniu oświadczył, że „miejsc nie ma”. Super. Trochę mi się chciało śmiać, ale bardziej byłam wkurzona. Nie miałam ochoty dyskutować z tym gburem i choć byłam pewna, że za parę dolarów łapówki wpuściłby mnie bez gadania, odwróciłam się na pięcie. Wała, chamie. Weszłam do otwartego baru kawowego tuż obok głównego wejścia do hotelu. To był bar kawowy George'a, ale... Wysokie wnętrze, sufit z wykruszonymi stiukami, w żyrandol wkręcone trzy gołe żarówki obsrane przez muchy. Przedwojenny bufet z czarnego dębu, z mosiężną armaturą, lepki od brudu i dołem obkopany, nieliczna publika pijąca na stojąco piwo. Smutny wizerunek arystokraty, który zszedł na psy. Odechciało mi się kawy.

Wrocław to takie specyficzne miasto, gdzie każdy albo przyjechał ze Lwowa, albo jego rodzice przyjechali ze Lwowa, albo przynajmniej ktoś z jego rodziny bywał przed wojną we Lwowie. Lwów w ujęciu wrocławianów to miasto marzeń: elegancji, urody, żywo praktykowanej demokracji i swobodnego przenikania się kultur. Miasto - stolica lekkiego dowcipu i knajackiego egalitaryzmu.

I bogacz, i dziad tu są za pan brat,

i kaźden ma uśmiech na twarzy...

Co zostało z tamtego Lwowa? Piękne, rozpadające się budowle, dziurawe bruki. Duch miasta został z niego przez batuszkę Stalina wypędzony, znalazł przytulisko jedynie w umysłach i sercach lwowiaków. W rzeczywistości już nie istniał. Jeszcze jedno marzenie, z którym trzeba się rozstać.

Wypróbowanym sposobem rozpoczęłam poszukiwania od książki telefonicznej, choć Ludka twierdziła, że to źródło niemiarodajne. O dziwo - natychmiastowy sukces. Jedyne Jazłowski, jaki figurował w książce telefonicznej, miał na imię Adrian i mieszkał przy Krótkiej. Nie ma siły, to musi być bratanek mojego dziadka Hieronima albo jego syn. Przepełniona entuzjazmem zadzwoniłam natychmiast.

- Ało.

Głos był niski, przepalony papierosami, ale bez wątpienia kobiecy. W intonacji ani śladu tego uprzejmego pytania, które pobrzmiwa w naszym „słucham” czy „halo”. Trochę mnie to speszyło. Przemówiłam powoli i wyraźnie, żeby ta kobieta mogła mnie zrozumieć, nawet jeśli nie zna polskiego.

- Nazywam się Monika Sawicka. Czy mogę rozmawiać z panem Adrianem Jazłowskim?

- Ne maje.

- Kiedy mogę go zastać?

- Ne znaju.

Zbaraniałam. Takiej sytuacji nie mogłam przewidzieć. Może to żona, którą mój uroczy krewniak porzucił z pięciorgiem dzieci albo coś w tym guście...

- Bardzo przepraszam, że panią niepokoję - rzekłam ugodowo. - Jestem jego krewną, moja matka nazywała się z domu Jazłowska. Ja jestem wnuczką Hieronima Jazłowskiego. Przyjechałam z Polski...

- Szczo wy. Win ridnych u Polszczy ne maje.

- Może nie wie albo nie pamięta. Czy wieczorem zastanę go w domu?

- W sim prychody s roboty.

- Wobec tego zajrzę o ósmej, jeśli można - poczekałam moment na uprzejme zaproszenie, ale zaproszenie nie padło. - Do zobaczenia.

Nie odpowiedziała. Po prostu się wyłączyła. Nie wyglądało to zachęcająco. Ludka próbowała mnie pocieszyć: ot, durna baba, niekumata. Ty, Monika, idź i rozmów się ze swoim krewniakiem, a babą sobie głowy nie zawracaj. Choć nie brzmiało to pochlebnie dla naszej płci, przyznałam jej rację.

Spakowałam dużą, piękną whisky, poloneza, blaszane pudło z mieszanką wedlowską, kilka tabliczek czekolady na wypadek, gdyby miał małe dzieci - i w parę godzin później ruszyłam Gródecką w górę, w stronę dworca. Nie miałam żadnych trudności w odnalezieniu podanego w książce telefonicznej adresu, literka „A” przy numerze domu sugerowała, że będzie to oficyna. I rzeczywiście - z obszernego podwórza wchodziło się tu do kilku klatek schodowych, pierwsza z prawej strony od wejścia na podwórze oznaczona była wyskrobaną w nadprożu literą „A”. Mieszkanie numer dziewięć znajdowało się na drugim piętrze. Na drzwiach nie było żadnej wizytówki, tylko mosiężna skrzynka z polskim napisem „listy”. Ale to nic, tu w ogóle na drzwiach nie umieszczano wizytówek, nigdzie. Taki obyczaj.

Zadzwoiłam. I nic. Tkwiłam długą chwilę pod drzwiami, zastanawiając się, czy dobijać się dalej, czy po prostu odejść. Cholera jasna! Nie po to przejechałam taki kawał świata, żeby teraz zrezygnować! Wyciągnęłam rękę do dzwonka i w tym momencie drzwi się otworzyły. Stał w nich facet około czterdziestki albo więcej, gruby, nieogolony, w przepoconym podkoszulku. Stał tak, jakby zamierzał swoim niechlujnym

odwłokiem bronić dostępu do mieszkania. Kuzynek...? Jakiś wrogi błysk w jego ciemnych oczach powstrzymał mnie przed wylewnym przywitaniem.

- Czy pan Jazłowski? - spytałam ostrożnie.

- Tak, Jazłowski. Czoho chcecie?

- Hm. Niczego nie chcę. Przyjechałam z Polski, z Wrocławia... próbuję odnaleźć kogoś z rodziny mojej matki, Anny Jazłowskiej. Jej ojciec nazywał się Hieronim Jazłowski, jego brat Henryk.

- Ne znaju. Ja ich ne znaju.

- Myślałam, że może Henryk Jazłowski to pański ojciec albo dziadek?

- Ni.

Sytuacja przybrała kretyński obrót. Stałam na schodach z reklamówką wypełnioną delikatesami, a ten niedomyty prostak... niezdolny nawet do elementarnej uprzejmości... czy to możliwe, żeby był moim kuzynem? Najwyraźniej nie miał ochoty nim być. Trudno - nie, to nie.

- No cóż... w takim razie proszę wybaczyć.

Odwróciłam się i zbiegłam po schodach. Wyszędłszy z klatki schodowej na szerokie podwórze pomiędzy oficynami, przystanąłam i przyjrzałam się kilku rosnącym tu drzewom. Żadne z nich nie było sosenką. Klon, kasztan, kilka głogów i jeden jedyny smętny, stary świerczek. Może to jest ta „sosenka”? Usłyszałam gdzieś nad głową trzask otwieranego okna. Obejrzałam się. Mój domniemany kuzyn i jakiś równie jak on niedomyty babsztyl patrzyli na mnie wrogo z wysokości drugiego piętra. Pomachałam im na pożegnanie i przeciąwszy podwórze, wyszłam na ulicę.

Z narażeniem życia przebiegłam na drugą stronę Gródeckiej i zatrzymałam się na przystanku tramwajowym w oczekiwaniu na ósemkę. Otaczał mnie tłum ludzi szarych, obojętnych, pomimo ciepła, słońca i urody spatynowanej

architektury niezmiennie zapatrzonych pod nogi. Wszędzie tu było za ciasno - w tramwajach, trolejbusach, na ulicach, w mieszkaniach. Nic dziwnego - w przedwojenną strukturę trzystutysięcznego miasta wepchnęło się milion ludzi. Może więcej. Nikt nie potrafił tego powiedzieć na pewno, bo nikt ich nigdy nie policzył.

Gdzieś z tyłu, poprzez zgiełk ulicy, doleciał mnie śpiew responsorialny - odwróciłam się zaskoczona. Sprawdziłam na planie - to kościół Świętej Elżbiety, obecnie greckokatolicki. Wspięłam się po szerokich schodach i weszłam do wnętrza. Ten śpiew tylko w pierwszym porywie zabrzmiał jak chór - w istocie zawodziła grupka kościelnych babek za pięknym barytonem odprawiającego nabożeństwo księdza. Usiadłam w ostatniej ławce i słuchałam.

Obca kultura, obcy ludzie, obce miasto. Doznałam dziwnego wrażenia, że nic mnie z tym miastem nie łączy, że nie ma tu i nigdy nie było nikogo z moich bliskich.

*

Pogoda w końcu przełamała się - w zupełnie nieodpowiednim momencie. Od rana lało, a ja zaplanowałam na ten dzień wyprawę na cmentarz. Odłożyłabym ją, gdyby nie to, że wręcz siedziałam na głowie moim gospodarzom i nie chciałam przedłużać wizyty tylko z powodu złej pogody; mogła zresztą potrwać kilka dni. Po diabła wlokłam ze sobą tyle ciuchów? Rozsądniej było zabrać kilka par spodni, kalosze i pelerynę. Włożyłam to, w czym tu przyjechałam, dzinsy, mokasyny i kurtkę i zaopatrzona przez Ludkę w parasol i plan miasta wyruszyłam na cmentarz. Po paru dniach pobytu we Lwowie już się nie dziwiłam, że ludzie cały czas patrzą tu pod nogi - dziura w chodniku, obluzowana płytką, niewinnie wyglądająca kałuża, która okazuje się błotnistą wyrwą po kostki - to tylko nieliczne z pułapek, w jakie można wpaść, zagapiwszy się na piękno architektury. A dość łatwo

się zagapić, bo miasto, choć obszarpane, jest naprawdę piękne. Poprzedniego dnia była niedziela i moi gospodarze, zostawiwszy synka u babci, zabrali mnie na całodzienną wólcę po mieście. Pod wieczór na ostatnich nogach wspięliśmy się na Wysoki Zamek i w milczeniu patrzyliśmy, jak w dole z wolna zapalają się światełka.

- Jak ci się podoba Lwów?

Zachnęłam się, a potem przypominałam sobie nasze wyprawy ze Stefanem „w okolice”. Cieszył go mój zachwyt, moje oczarowanie, zupełnie jakby miał część zasługi w tym, że góry są tak dzikie, wody Soliny tak przejrzyste i wartkie, nawet w jasności i ciepłe słońca. Nie stworzył tych okolic, nie był Panem Bogiem. Ale urodził się tam, dorastał i był częścią nich, a one częścią niego. Chciał mi je ofiarować i w pewnym sensie ofiarował - już nie potrafię pomyśleć o Bieszczadach, nie myśląc o nim. Czy kiedykolwiek w moich wspomnieniach pojawi się Lwów bez tych dwojga? Nie, oni są częścią Lwowa. Mojego Lwowa.

- Bardzo mi się podoba - odpowiedziałam. - Bardziej niż Kraków.

Niewiele im to powiedziało, zważywszy, że nigdy nie byli w Krakowie. Ani w ogóle w Polsce. Być może Dominik zaprosiłby ich jeszcze przed narodzinami Wawrzyńca Wspaniałego, gdyby myśl, że cztery osoby mogą swobodnie pomieszkać przez kilka dni na trzydziestu metrach kwadratowych, nie wydawała mu się całkowicie absurdalna. A ja oprócz mojej kawalerki dysponowałam dużym, dwupokojowym mieszkaniem ojca w samym centrum Wrocławia.

- Musicie przyjechać do mnie, do Wrocławia - powiedziałam.

Teraz, przeskakując co większe kałuże w drodze na cmentarz, zastanawiałam się nad organizacją ich wizyty.

Dobrym terminem byłby wrzesień. I dobrze byłoby mieć auto. Tak, skoro nie muszę robić żadnych inwestycji w Sanoku, to swobodnie mogę je kupić. A gdyby się okazało, że nie daję rady go utrzymać, to sprzedać. Jednak posiadanie pieniędzy, nawet tak niewielkich, jakimi dysponowałam po śmierci taty, zdecydowanie upraszcza życie.

Zarząd cmentarza mieścił się w kanciapie niewielkiego budynku przy głównej bramie. Urzędujący tu facet w leninówce, kiedy wyłuszczyłam mu moją sprawę, nie zdejmując czapki, sięgnął po wielką, grubą księgę i rozłożył ją przed sobą na biurku.

- Jazłowski, sorok piaty rik. Misjac?

- Nie mam pewności. Raczej pod koniec roku...

Zdecydowanym gestem zatrzaskał księgę, a ja zgodnie z instrukcją Ludki położyłam na biurku pięć dolarów. Księga, jak zaczarowana, otworzyła się znów.

- Poczynajemo s kinca - mruknął.

Gruby palec sunął z wolna wzdłuż rubryk wypełnionych starannym, pochyłym pismem. Polskim. Byłam prawie pewna, że zapisu nie będzie, bo nie było pogrzebu - i miałam przygotowane następne pięć dolców.

- Ne maje - stwierdził zakłopotany, dojechawszy do pierwszego stycznia.

- Może istotnie nie ma - przyznałam. - Nie mam stuprocentowej pewności, że pochowano go tu. Ale grobowiec Jazłowskich jest tu na pewno, zbudowano go sto lat temu. No... chyba że został zburzony.

Zamachał gwałtownie rękoma.

- Buł, to je! My tut niczeho ne czipajemo!

- Czy można go odnaleźć? - spytałam grzecznie, kładąc na biurku następną piątkę.

- To wełykyi cwyntar. Duże wełykyi. - Wyciągnął z szafy stary, na wpół zetlały plan cmentarza i rozłożył go na księdze.

Plan też był polski. Studiował go starannie, mruczał coś do siebie, zagapiał się w sufit. W końcu postukał palcem w plan. - Wy mene pojmijże, ja ne mohu skazaty na pewne. W czasti dwadcat siem i dwadcat wosim a kłali w poczatku wika. Nu... wy wozmite swoi hroszi.

- Nie, nie. Dziękuję panu, teraz na pewno dam sobie radę.

Sprawdzić tylko dwie kwatery. Pyszcz. Bez najmniejszego trudu odnalazłam podane mi numery kwater - były wypisane na tabliczkach przybitych do drzew. I na tym skończyły się moje sukcesy. Jakkolwiek główna alejka była wysprzątana, a wśród grobów do niej przylegających panował jaki taki ład i można było je swobodnie przeglądać, to głębiej zaczynały się schody. Im dalej, tym gorzej: polskie groby, rozpadające się, na wpół zapadnięte w ziemię, poprzecyłane, przemieszane bez ładu i składu z nowszymi, tubylczymi, płyty włożące na siebie wzajem, resztki ozdobnych żeliwnych płotków sterczące spomiędzy pomników - a wszystko poprzerastane chaszczami po pas. Chyba nikt tutaj nigdy nie przychodzi... Nie było sposobu, żeby zachować tu jakiś porządek zwiedzania - trzeba było iść tam, gdzie akurat dało się postawić nogę, na ukos, w tył, w bok... byle nie nastąpić na jakiś grób. Deszcz wprawdzie przestał padać, ale i tak było mokro, i już po paru minutach w mokasynach chlupało mi błoto, spodnie nasiąkły wodą po tyłek, a z drzew i krzewów lało mi się za kołnierz. Potknęłam się o ukryty w trawie łańcuch jakiegoś rozwalonego ogrodzenia i wylądowałam na grobowej płycie, obtarłam dłoń i rozdarłam kurtkę. Ze wszystkich stron otaczały mnie twarze zmarłych, wyskrobane bez większego talentu w czarnym granicie. Musiały zostać odwzorowane z fotografii jakąś zupełnie u nas nieznaną techniką. Twarze stare i młode, kobiece i męskie, nieodmiennie wpatrzone wprost we mnie. Te otaczające mnie zewsząd twarze umarłych sprawiały, że czułam się coraz

bardziej nieswojo - w końcu przestałam marzyć o odnalezieniu tu czegokolwiek, chciałam się już tylko stąd wydostać. O powrocie tą samą drogą nie było mowy - trzeba raczej wydrzeć się z tej dżungli do najbliższej alejki. Rozejrzałam się i nagle zamarłam z przerażenia - jakiś mężczyzna w roboczym ubraniu ciężko przeskakiwał żeliwne płotki, chwytając się krzyży i pomników, wprost po płytach grobów sadył prosto ku mnie. Niedźwiedzia zręczność i szybkość, z jaką poruszał się w tym trudnym terenie, sprawiły, że sparaliżował mnie strach - nie ma siły, nie ucieknę. Paszport i pieniądze na szczęście zostawiłam w domu... dobry Jezu! Dlaczego nie zostawiłam tam także siebie...?! Zrobiłam krok w tył i noga zapadła mi się pół metra w głąb czyjś grobu. Wyszarpnęłam ją w panice i w tej samej chwili facet z łomotem wylądował na płycie grobu o dwa kroki ode mnie.

- Ne pereżywajte! - uniósł dłoń uspokajająco. - Ja tu pracuju, ja hrobar. - Uśmiechnął się szeroko, pokazując piękne zęby ozdobione kilkoma złotymi koronkami. - Wy choczete najty mohyłu... ?

Odczułam taką ulgę, że omal nie usiadłam na ziemi.

- Tak, grobowiec rodziny Jazłowskich... może pan wie?

- Wy iz Polszczi. Tut bahato polskich mohył. Oni zarastajut, razsypajutsa...

- Pan nie wie, gdzie jest ten grób?

- Znaju, ne znaju - odrzekł zagadkowo. - Mołodoj diwczyni kraszczepijty w kafe, w kino...

Zaczęłam się wycofywać. Strach znów chwycił mnie za gardło. On sadył beztrósko po płytach grobów obok.

- A hrobara robota mohył szukaty - dokończył i spojrzał na mnie chytrze.

Och... więc on nie proponuje mi randki, tylko transakcję

- Ach, tak... więc pan mógłby ten grobowiec odszukać.?

- Nu, mohu.

- Ile to będzie kosztować? - spytałam przytomnie.

- Nu... zwyczajno sto dolariw.

O rany, czy ja wyglądam na obywatelkę Kuwejtu? Albo na frajera ze Stanów?

- Dam dwadzieścia - zaczęłam się targować i natychmiast tego pożałowałam.

- Haj bude dwadcat. I wypyjemo.

- To już lepiej dam sto...

- Szczo wy? - oburzył się zupełnie szczerze. - My ljudy, kak wsi, w czomu hirszi? Szczo hrobari?

- Ależ nie o to chodzi! Ja po prostu nie piję...

- Ne breszy. Jak tak można - ne pyty? Kulturno wypyjemo po stakanku, za dnia, z towarzyszami. Zhoda?

Kulturno... po stakanku... za dnia...

- Zgoda - wyjąkałam i moja dłoń znalazła się raptem w potężnej łapie grabarza.

Wyjęłam notes z torebki i wypisałam dużymi, drukowanymi literami „Jazłowscy”, potem jeszcze w nawiasie dodałam: „Jazłowski, Jazłowska”.

- Jazłowskie - odczytał bez trudu polskie litery. - Dobre. Prychodte zawtra opiwdni tut w barak i zapytajte Staszka.

Imię było tak bardzo polskie, że musiałam ugryźć się w język, żeby nie spytać, czy nie jest Polakiem. Ale co mi do tego? W czasie rozmowy tak wysterował, że znaleźliśmy się na głównej alejce.

- Zatem do jutra - pożegnałam go uprzejmie i z ulgą opuściłam cmentarz.

Nie paliłam się do tej imprezy. Wprawdzie obiecał, że tylko po stakanku, że za dnia, że z kolegami, ale... Rażniej by mi było, gdyby ktoś ze mną poszedł. Ludka, kiedy opowiedziałam jej moją cmentarną przygodę, dostała ataku śmiechu. Aż się trzymała za brzuch.

- Och, ne mohu! Ty, Monika... z hrobarami... Ne mohu...

- A cóż to, grabarze nie ludzie? - oburzyłam się. - Ludka, chodź ze mną. Proszę...

- Nu, a szczo s Juroj?

- Odprowadzimy do babci. No, bądź dobrym druhem! Mołodcem.

*

Transakcja przebiegła wzorowo. Staszek wywołany z baraku zaprowadził nas w miejsce, którego nie miałam szans odnaleźć, choćbym spędziła tu rok na poszukiwaniach - kwatery numer piętnaście. Pęknięta środkiem, na wpół zapadnięta płyta porośnięta grubą warstwą mchu, piękny, szeroki krzyż z ramionami rozszczepionymi w rozetki, mocno pochylił się w bok. U jego nasady zdarto szerokie pasmo mchu odsłaniając wyraźny napis antykwą: „Grobowiec rodziny Jazłowskich”.

Staszek wręczył mi moją kartkę, na której odwrocie wyrysował starannie położenie grobu: kwatery numer piętnaście, przy alejce pomnik lotnika w mundurze, czapce i ze śmigłem w ręce, kilka metrów w głąb kasztan, a za nim grobowiec Jazłowskich. Dziecinnie proste. Podziękowałam, schowałam szkic do torebki i wręczyłam Staszкови dwadzieścia dolarów. Obejrzał banknot starannie pod światło, cmoknął z aprobatą. W międzyczasie wyjęłam z reklamówki „Szopena” - jedną z butelek, które przywiozłam dla mojej nieznannej rodziny i nie miałam komu dać. Staszek wziął ją ode mnie, nie patrząc, i raptem zdumiony wąskim kształtem butelki o mało jej nie upuścił na ziemię.

- A to szczo?

- Wódka. Polska.

- Nu... diakuju. - Wpuścił długą butelkę w równie długą kieszeń roboczych spodni, nawet się jej dobrze nie przyjrzał, a przecież warta była obejrzenia - Koledzy czekają.

Nie silił się już na mówienie po ukraińsku, mówił po polsku, zupełnie bez akcentu. Mój przebiegły plan nie wypalił. Chciałam skusić go ładną, oryginalną butelką, którą, jak przypuszczałam, zechce zachować nienaruszoną. W naszej umowie nie było dopowiedziane do końca, kto stawia, i zdawało mi się zupełnie oczywiste, że ja, skoro on z żądanej początkowo sumy opuścił osiemdziesiąt dolarów. No cóż, źle mi się zdawało.

W baraku już zastawiono stół do uczty: na przykrywającym stół szarym papierze leżały plastry kiełbasy, grube jak kromki chleba i równie duże. Obok każdej kromki ustawiono elegancką musztardówkę. Jeden z grabarzy dzierżył litrową butelkę wypełnioną żółtawym, prawie przezroczystym płynem - na nasz widok rozpoczął uroczyste nalewanie.

- Nasza samohonka - rzekł z dumą Staszek, podczas gdy kolega nalewał. Do pełna.

Ludka skosztowała ostrożnie.

- Spyrty - szepnęła ostrzegawczo.

Jezus Maria. Musztardówka spirytusu, to dwie musztardówki wódki. Trzysta pięćdziesiąt - czterysta gramów. Koń by się przewrócił...

- Nu, wasze zdrowie.

- Za przyjaźń polsko - ukraińską - odrzekłam cienkim głosem przerażonej nastolatki, unosząc grube szkło.

Aniele Boży, stróżu mój...

Grabarze wypili w zgodnym rytmie do dna. Wgapili się we mnie wyczekująco, pogadywali przy tym wesoło - nie rozumiałam ich wprawdzie, ale słyszałam w ich głosach ton politowania. Zrozumiałam, że honor mojego narodu spoczął w moich wątych dłoniach i z pełnym przeczuciem nadciągającej klęski powoli uniosłam szkło.

- Pyjemo vse srazu i chadu - szepnęła Ludka.

Plan był dobry, nie pozostawało nic innego, jak wykonać. Ludce poszło gładko, mnie o mało nie rozsadziło gardła. To było jak cios karate - oczy wyszły mi na wierzch, zakrztusiłam się beznadziejnie. Ludka chwyciła mnie za przegub i zwinięta wpół, ogłupiała, pociągnęła do drzwi baraku.

- Ona neprywykla - powiedziała usprawiedliwiająco. - Diakujemo. Diakujemo za wse - i już pędziłyśmy ile sił w nogach do cmentarnej bramy.

Ostatnią rzeczą, którą pamiętam z tej delirycznej wędrówki przez miasto, był pisk hamulców i stek przekleństw, mocnych, pogardliwych.

Jaki ten ukraiński podobny jest do polskiego... kurwa to kurwa, pizda to pizda... nic dodać, nic ująć...

To była ostatnia moja myśl tego dnia. Nic więcej nie pamiętam.

Kto hamował z piskiem opon, kto kłął i kogo omal nie przejechano - nie wiem.

*

Umierałam.

Krzyczałam o pomoc, bo wydawała mi się, że idzie po mnie Czarny Anioł Śmierci. Ktoś kładł mi na czole lodowate okłady, ktoś trzymał moją rękę. Ktoś podawał mi kubek gorącej herbaty...

To ty...?

Och, błagam cię, spraw, żeby już było jutro, żebym nie musiała dłużej umierać! Niech znajdę się w ciemnym grobie, tylko żebym już dłużej nie umierała! Grabarze, oni już kopią dla mnie grób na cmentarzu Janowskim. Nigdy nie przypuszczałam, że umieranie może być takie straszne... myślałam, że to jest chwila - jesteś tu, a za moment tam. A tymczasem to trwa... trwa... i nie chce się skończyć!

O Panie...! Przecież nie zrobiłam Ci nic złego! To Ty mnie naznaczyłeś...

Nogi.... zahaczają mi się o nogi. To znaczy noga o nogę. Ściana. Podłoga. Znowu ściana.

Sedes.

Czy można jednocześnie na nim usiąść i włożyć do niego głowę?

Panie, spraw, żeby to było możliwe...!

*

Leżałam w wygodnym, szerokim łóżku, jedynym, jakie posiadali moi gospodarze, a pokój falował łagodnie wokół mnie. Czarny potwór ukryty w moim wnętrzu zwinął się, przycisnął, udawał, że śpi. Jestem we Lwowie... w mieszkaniu Ludki i Mirka... jest biały dzień. O Boże...! co się ze mną działo...?

Byłam obolała, bezwładna i było mi straszliwie wstyd. Łóżeczko Jury stało puste - biedak musiał zostać u babci, bo mamusia i ciocia Monika zalały się w drobny mak samogonką. Z grabarzami.

A Mirek i Ludka spali oboje na mojej polówce. W kuchni, za kotarą. Tak, na pewno. Z koszmaru nocy pamiętałam jak przez mgłę, że wychodzili zza tej kotary, jak zza kurtyny - to jedno, to drugie - żeby mnie trzymać za rękę, zrobić zimny okład, herbatę... jakby jakakolwiek ludzka siła była w stanie ujarzmić tego potwora, który rzucał mną o meble, o podłogę, wydierał ze mnie wnętrzości, wyciskał mózg.

Do pokoju weszła Ludka, różowa, uśmiechnięta. Spróbowałam się podnieść.

- Leży, leży. Ty rwała cięu nicz.

- A ty? Jak się czujesz? - spytałam słabo.

- Dobrze. Ja wyrwała wse srazu i pizła spaty. I ot, zdrowa. Co za rozsądna kobieta - wsio srazu wypila i wsio srazu wyrwała. A w międzyczasie trafiła do domu, holując moje zwłoki. Mołodiec.

- Już wstaję. Tak mi wstyd...

- Ne pereżywaj, Monika. Wse normalno, leży, widpoczywaj. Isty chceszz?

Wzdrygnęłam się mimo woli. Ludka zaśmiała się i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Leżałam otępiała, starając się nie poruszać, trochę drzemiąc, trochę przysypiając, a czas powolną strugą przepływał gdzieś obok mnie. Za oknem konał z wolna pochmurny dzień.

Jak długo tak można? Zegar na regale wskazywał już ósmą. U nas dopiero siódma, ale co z tego? Ostrożnie wstałam. Moje nogi z powrotem były moimi posłusznymi nogami, mózg jeszcze lekko pływał, ale funkcjonował normalno. Powlokłam się do łazienki. Zrzuciłam z obrzydzeniem przepoconą bieliznę i weszłam pod prysznic. Bosko. Przybory toaletowe miałam tu, w łazience, ale wszystkie ubrania w plecaku za kotarą w kuchni. Pożyczyłam szlafrok Ludki, biały, w zajebicie różowe tulipany i tak wystrojona zajrzałam do kuchni. Moi gospodarze pożywiali się rosołem. Mirek, który chyba dopiero teraz wrócił z pracy, na mój widok uśmiechnął się szeroko i zaprosił gestem do środka. Weszłam.

- Nie wiem, jak was za to przepraszać... strasznie się wstydzę... i głupio mi, i źle.

- Ta daj spokój. To nie twoja wina, ty nie wzwyczaiłaś się do samohonki. Jak wy mówicie na samohonkę?

I na pewno nigdy się nie „wzwyczaję” - pomyślałam.

- Tak samo, samogon. Ale częściej, normalno, mówimy: bimber.

- Bimber? Bimber... ładnie.

Przemknęłam za kotarę i wzięłam ubranie z plecaka. Ubrałam się, a Ludka w międzyczasie postawiła na stole trzeci talerz rosołu. Mój sponiewierany organizm domagał się pożywienia, ale z pewnym wahaniem przystąpiłam do

konsumpcji. Rosół był „przedwojenny”, po wierzchu dryfowały duże żółte oka.

- Ludka, ten szkic - przypomniałam sobie nagle zaniepokojona.

- Szczo?

- Płan - przetłumaczył Mirek z polskiego na nasze.

- Ty w sumoczku pokłala.

Rozejrzałam się za torebką - jest. Szkic był na miejscu. Mirek sięgnął po niego i przyjrzał mu się, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- I za to, ot, ty taka byłaś chora? No, no... - oddał mi szkic. - Powiedz mi, to u was pijaków chroni święty Stefan?

- Co...?

- Ty całą noc jego prosiłaś: ratuj, ratuj.

- O rany, naprawdę? - wyjąkałam speszona, czując, że się czerwienię.

Wymienili rozbawione spojrzenia.

- Tak widać ten Stefan nie święty - podsumował filozoficznie Mirek.

Oj, nie święty.

Po późnym obiedzie przenieśliśmy się do pokoju. Wszelkie delikatesy, jakie mi jeszcze pozostały - już wcześniej część sprezentowałam moim gospodarzom - położyłam teraz na kredensie.

- Nie będę przecież tego zabierać z powrotem. To duże pudło dla babci, z przeprosinami za wczoraj... i za dziś. Może już zabierzemy Jurę?

- Ta na co. On lubi bywać u babci, a babcia lubi, jak on przychodzi. Niech jeszcze dzisiaj zostanie.

Śmiesznie lekki plecak wepchnęłam pod polówkę w kuchni. Z minuty na minutę czułam się lepiej. Wieczór, choć chmurny, był ciepły, spoza szeroko otwartego okna pokoju dobiegał szum ulicy - zmieszany odgłos kroków, rozmów,

telepanie się tramwaju, muzyka z jakiejś knajpy. Mirek otworzył szampana, a ja nawet byłam w stanie wysączyć kieliszek. Zaplanowaliśmy w szczegółach ich wizytę we Wrocławiu na początku września. Po długiej dyskusji Ludka i Mirek ustalili, że Jura zostanie u babci. Był jeszcze za mały, żeby mieć frajdę z takiej wycieczki - nie miał ani pięciu, ani nawet czterech lat, jak twierdził Dominik. Miał niecałe trzy latka. Jeszcze przez jakiś czas najwięcej przyjemności będzie czerpał z babrania się w piasku. Wpisałam do notesu wszelkie możliwe „parametry” moich gospodarzy, żeby móc przysłać im zaproszenie. Okazało się, że gdyby go nie mieli, musieliby wykazać się na granicy jakąś niewyobrażalnie wysoką sumą dolarów. Koło północy poczułam znajome napięcie w dole brzucha.

*

Tak jest lepiej - powtarzałam sobie, leżąc bezsennie na polówce i wpatrując się w ciemne niebo za oknem. Oczywiście, że tak jest lepiej, bo gdyby ono tam naprawdę było...? Nie miałam pojęcia, co może się poprzestawiać w mikroskopijnym organizmie płodu, kiedy mamusia wychłepce ćwiartkę spirytusu - ale byłam pewna, że coś się musi poprzestawiać. A ja nawet przez moment o tym nie pomyślałam... Kretynka. Nie zasłużyłam na to, żeby mieć to dziecko. Dobrze mi tak.

Ubiegły wieczór, łagodny letni wieczór spędzony z przyjaciółmi, dołączył już do przeszłości, a ja znów byłam sam na sam z nocą. Żadnego dziecka nie będzie, a facet, bez którego życie wydaje mi się daremnym wysiłkiem, leży teraz w ciemnościach obok innej kobiety. Żal, zawiść, zazdrość... cholera, człowiek nie może wiedzieć, czy jest z natury zazdrosny, dopóki nie przejdzie takiej próby. Do tej pory nigdy nie przyłapałam się na zazdrości - ani o Zbyszka, ani o

żadnego z moich poprzednich chłopaków, ilu ich tam było. Raptem dwóch.

A teraz? Wyobrażałam sobie, jak oni ze sobą rozmawiają, siadają do stołu, idą do łóżka... Usiłowałam odpędzić te obrazy, ale powracały uporczywie, szyderczo. To paranoja, zwykły atak paranoi. Skoro nie mogę się od was uwolnić, wejdę pomiędzy was. Stałam nad nimi i patrzyłam szeroko otwartymi oczyma. To ona. Gęste, ciemne włosy ostrzyżone na pazia, pełne wargi, semicki nos... o Boże...! to znowu ty...? Szarpnęłam się w półśnie i usłyszałam spłoszony szelest na podłodze. Tarakanki. Zdążyłam się już oswoić z ich obecnością - nie miałam innego wyjścia. Były tu wszędzie - w domach, knajpach, sklepach, hotelach. Także u George'a. Ludka, choć kilka razy do roku wydawała im wojnę, przegrywała. One wylaziły z rur kanalizacyjnych, szpar w podłodze, nawet z pieca. Zastanawiałam się, ile ich może być w całym mieście - miliard? Dziesięć miliardów? Ciekawe, ile ta armia pochłania rocznie żywności? Nie miałam podstawowych danych: przerobu jednego karalucha w ciągu jednego roku i przybliżonej liczby tych dzielnych stworzonek przypadającej na głowę mieszkańca. Nie znałam też liczby mieszkańców. Nikt jej nie znał. Mój umysł, zwykle chętny do takich obliczeń, tym razem uporczywie odmawiał podjęcia wyzwania.

Aniele Boży, Aniele Boży, pozwól mi zasnąć!

Ale mój Anioł Stróż był daleko. Strzegł kogoś, kto na jego opiekę zasłużył, a ode mnie odwrócił się z pogardą. Dobrze mi tak. To dlatego, że byłabym zdolna ich zabić. Oboje. Ale bardziej jego. Za to, że mnie odtrącił. Za to, że mając do wyboru ją i mnie - wybrał ją. Nie wolno mi go potępiać. Wtedy ten wybór był dla niego czymś naturalnym, z nią był od lat, ze mną tylko przez kilka dni. Przegrałam. Wtedy przegrałam. Ale teraz, choć usiłuje sobie tego zabronić -

porównuje nas. Musi porównywać. Kształt ramion, gładkość ud, uśmiech... Zresztą te rzeczy są mniej ważne, tu można przegrać. Istotniejsza jest sprawa, która wymyka się pięciu zmysłom - podporządkowuje je sobie i sprawia, że one muszą jej służyć.

Ty jeszcze słyszysz mój głos, widzisz moją nasyconą nagość w mroku poddasza, czujesz zapach moich włosów, łomot serca, na wargach pozostał ci smak moich ust, a dłonie zachowały wspomnienie kształtu moich palców...

Rozplotłeś mi warkocz, pamiętasz?

Okryłeś mnie swoją kurtką, pamiętasz?

Zaprowadziłeś mnie tam, gdzie nikt prócz ciebie nie ma wstępu...

Nie śpij...! Ja naprawdę jestem...

*

Cały niezbędny sprzęt porządkowy wypożyczyłam od Stachniaków. Od Jury spore wiaderko w kolorze różowym, zdobne krokodylkiem, łopatkę, grabki i naczepę solidnej, blaszanej wywrotki do odskrobywania mchu, od Ludki plastikową szufelkę i miotelkę, a także mokrą szmatę. Grobowiec był w oplakany stan: fundament po jednej stronie obsunął się i pękł, płyta z niezbyt mocnego kamienia, czy też betonu, nie mając właściwego oparcia, przełamała się pod własnym ciężarem na całej długości i rozchyliła na boki, tworząc szczelinę, z której teraz wyrastała swobodnie trawa. Krzyż, spojony z tą częścią fundamentu, która się zapadła, odjechał od pionu dobre dwadzieścia stopni. Nie nadaje się do remontu... trzeba rozebrać i stawiać od nowa... Skąd ja to znam? Czy wszystko, czego się tknę, zdążyło już się obrócić w ruinę? Być może na tę akurat inwestycję byłoby mnie stać, tylko co dalej? Oni wprawdzie polskich grobów nie czipajut, ale z jakiej racji mieliby o nie dbać? Dlatego, że są piękne, że mówią o historii ludzi, którzy żyli tu przed nimi? Po co im o

tym wiedzieć? Z obojętną słowiańską cierpliwością czekają, aż problem zapadnie się pod ziemię.

Z rezygnacją zabrałam się do pracy. Powyrywałam zielsko z biegnącej środkiem szczeliny, przy użyciu łopatkę Jury wydłubałam pozostałą w szczelinie ziemię. Potem blaszaną naczepą wywrotki zaczęłam odkrobywać mech porastający grubą warstwą obie części płyty. Już po chwili czerwony lakier zaczął odpadać z zabawki dużymi płatami. Psiakrew, barachło, jerunda. Trzeba dziecku odkupić zabawkę i spraw, święty Antoni, żebym dostała identyczną! Zawahałam się - może już nią więcej nie skrobać? E tam. Już ją diabli wzięli, a blacha jest mocna. Plastikowa szufelka Ludki była za wiotka, za słaba. Dokończyłam oskrobywania płyty i za pomocą miotełki oczyściłam ją z resztek ziemi.

Przez całą długość płyty biegł rząd imion, nazwisk i dat. Na samej górze protoplastka rodu - Wilhelmina z Lusztigów Jazłowska, zmarła w 1903 roku przeżywszy lat siedemdziesiąt dziewięć, listę zamykał mój dziadek, Hieronim Jazłowski, zmarły w 1945 roku. Przeżył lat trzydzieści siedem. Był dokładnie w wieku Stefana, kiedy dosięgły go widły bandyty... wzdygnęłam się.

Część liter i cyfr odjechała wraz z obsuniętą częścią płyty. W miarę jak imion i dat przybywało, litery stawały się coraz mniejsze - Wilhelmina rozpierała się na wysokość trzech cali, Hieronim już tylko na cal. Kobiety, które weszły do rodziny, wniosły do niej swoje nazwiska, szacowne, mieszczańskie: z Jossyków, z Ochęduszków, Piaseckich...

Nagle żołądek skurczył mi się boleśnie... nie! To niemożliwe! Patrzyłam i nie wierzyłam własnym oczom... Tuż nad imieniem dziadka Hieronima, równie małymi literami: Anna 1937...

Rzuciłam się i przetarłam drugą część płyty.... 1943.

To jakaś bzdura. Nieporozumienie. To musiała być jakaś inna Anna, z bocznej linii, kuzynka. Nie ma innego logicznego objaśnienia. Coś podobnego! Czułam się, jakby ktoś próbował mnie okraść. Nie, jakby mnie już okradł - przecież ten napis był tu od pięćdziesięciu trzech lat. Rzuciłam ze złością miotełkę na ziemię. Przyszło mi do głowy, że odskrobałam cudzy grobowiec. Że ten przechylony krzyż, zrujnowana płyta nie kryją pod sobą nikogo z moich bliskich. Niejednemu psu Burek - rodzin Jazłowskich mogło być we Lwowie więcej i niewykluczone przecież, że któraś z nich miała swój grobowiec na tym samym cmentarzu. Pozbierałam rozrzucone akcesoria i ruszyłam na poszukiwanie Staszka.

Odnalazłam go w baraku, pożywiał się wraz z kolegami. Przywitano mnie tu jak starą znajomą, zaproponowano od razu stakanka. Wała, towarzysze. Staszek nieco zaskoczony poszedł bez protestu za mną.

- Czy to jest jedyny grobowiec Jazłowskich? - spytałam, groźnie wskazując oczyszczoną płytę.

- Jak to jedyny?

- Tu nie ma... to znaczy tu jest... nieważne. Powiedz mi, czy jest tu jeszcze jakiś inny grobowiec Jazłowskich?

- Ta jak? Ta gdzie?

- Tu, na cmentarzu Janowskim.

- Ten jest Jazłowskich. Ty chciałaś Jazłowskich i masz Jazłowskich.

- Muszę wiedzieć, czy jest tu jakiś inny - powtórzyłam uparcie.

- Nie maje. Jest ten.

- Skąd wiesz? Przecież to jest wielki cmentarz.

- No, wielki. I co z tego? Ja tu czternaście lat pracuję, a najstarsi koledzy i po trzydzieści. Gdyby był jeszcze inny, tobym o nim wiedział.

Milczałam wpatrzona w niewiarygodny napis na płycie.

- Ta chodźmy, spytasz kolegów, jak nie wierzysz.

Nie miałam ochoty na pogaduchy z jego kolegami. Był szczery, czułam to.

- Daj mi słowo honoru.

- Jak?

- Czestnoje słowo mi daj, że nie breszesz.

- Ot, baba naparła się! Bih mene, ne breszu. Ty myślisz, że jak grabarz, to honoru nie ma?

- Och, przestań.

Wyjęłam z reklamówki mokrą szmatę i wytarłam rękę. Skoro nie ma innego, to musi być ten... Wyjęłam z torebki aparat fotograficzny, ale się zawahałam. Do diabła, wcale nie miałam ochoty robić zdjęcia. Czułam rozczarowanie, niechęć i jeszcze coś: obcość tego grobu. I złość, że jego odnalezienie kosztowało mnie tak wiele - o mało przez to nie umarłam. Z trudem powstrzymałam się, żeby nie kopnąć rozwalonej płyty. Wrzuciłam aparat z powrotem do torebki i wyjęłam z niej sto dolarów.

- Potrafisz to naprawić? Żeby stało prosto? Patrzył zafrasowany na pękniętą płytę.

- Nu, nu... szczo tut zrobyt? - przeszedł na ukraiński. - Chiba nasypaty pisku?

- Na pewno sobie poradzisz - przerwałam mu niecierpliwie i podałam banknot. - To wszystko, co mi zostało. Proszę. I proszę to naprawić.

Wziął z namysłem banknot i obejrzał pod światło.

- Dzisiaj wracam do Polski - dodałam, żeby uniknąć propozycji stakanka. I rzeczywiście postanowiłam wracać.

- Jak to? Wy ne pobaczyte roboty?

- Nie. Mam nadzieję, że honor grabarza nie pozwoli ci odwalić fuszerki. Zgoda?

Podałam mu rękę, a on, zaskoczony, uścisnął ją, aż w oczach stanęły mi świczki.

Wyszędłszy na główną alejkę, natknęłam się wprost na kondukt pogrzebowy i przystanąłam zaskoczona. Chowano jakiegoś wysokiej rangi wojskowego, otwartą trumnę, a właściwie dolną połówkę trumny niosło sześciu żołnierzy w czapkach wielkości półmisków. Nieboszczyk był ponad ich głowami widoczny jak na dłoni: szarżółta twarz, długie siwe włosy szarpane przez wiatr. Martwa głowa chwiała się w rytm pośpiesznych kroków konduktu, na umundurowanej piersi podzwaniały liczne medale. Nie było księdza, kwiatów, cały orszak posuwał się półbiegiem, w milczeniu. Zamknęłam oczy i dotrwałam tak, aż umilkł upiorny tupot ich kroków.

Idąc do cmentarnej bramy, przysięgłam sobie, że nigdy, przenigdy tu nie wrócę. Dostyc cmentarzy, duchów i grobów - one kłamią tak samo jak ludzie.

*

W mieszkaniu dzwonił telefon. Otwierając pośpiesznie drzwi, zastanawiałam się, kto może dzwonić o tak późnej porze (było już dobrze po drugiej) i w jakiej niecierpiącej zwłoki sprawie - chyba tylko ważna, zła wiadomość upoważnia do telefonu w środku nocy. Nawet mi przez myśl nie przeszło...

- Monika... gdzieś ty się podziewała? Dzwonię do ciebie czwarty dzień...

Gorąca fala podniosła się we mnie gdzieś z okolic żołądka do serca.

- Byłam we Lwowie. W tej chwili przyjechałam z dworca.

- We Lwowie? Wpadłaś na jakiś trop?

- Trop...? Nie, nie. Chciałam odszukać jakichś krewnych, ale mi się nie udało. Właściwie tylko odskrobałam z mchu rodzinny grobowiec.

- Posłuchaj, mam dla ciebie mnóstwo rewelacji! Tamta Monika wtedy naprawdę nie umarła, jest nawet szansa, że żyje do dziś...

Z wrażenia ugięły mi się nogi i usiadłam wprost na podłodze, obok porzuconego w pośpiechu plecaka.

- Skąd... jak się tego dowiedziałeś?

- Po pierwsze, jej imię zostało wyryte na grobie dopiero w siedemdziesiątym pierwszym roku. Wygrzebałem to u kamieniarza. Za robotę zapłacił Stanisław Sawicki.

- Mój ojciec...

- Tak. Po drugie, włamałem się... no, powiedzmy, wdarłem się do szpitalnego archiwum. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki tam jest burdel. Ale znalazłem coś: jej karta choroby, akt zgonu - wszystko zostało sfalszowane. To piekielnie dziwna historia... Mogę do ciebie przyjechać?

Zawahałam się.

- Jesteś w Sanoku?

- Nie, w domu. W Gliwicach. Mogę być za dwie godziny.

- Przyjedź.

- No to podaj mi adres.

- Morwowa dwanaście przez trzydzieści dziewięć. To na Krzykach. Czeka! Powiedz mi teraz...

- Moment, tylko zapiszę... no więc... ona wtedy rzeczywiście została sprzedana. Odnalazłem osobę, która pośredniczyła w transakcji, była wtedy pielęgniarzką... zresztą szczegóły potem. W tym samym czasie co Monika leżała w szpitalu młoda kobieta, uciekinierka ze Lwowa. Miała poronienie. Wcześniej straciła paroletnią córeczkę. To ona kupiła Monikę. Po wyjściu ze szpitala od razu wyjechała z nią gdzieś na Ziemię Odzyskane. Nazywała się... Masz coś do pisania?

- Zaraz...

Oczywiście nie było w pobliżu ołówka, długopisu, kartki... nic. Na biurku znalazłam ołówek. Nieważne, mogę to zapisać na ścianie, pod numerem straży pożarnej i policji.

- Tak...

- Izabela Jazłowska.

Ręka z ołówkiem opadła. Przecież to moja babcia... czy on żartuje? A może źle usłyszałam?

- Możesz przeliterować?

- Co? Aha, no więc tak: Jan, Anna, Zofia, Łukasz, Olga, Wiktor, Stefan, Krystyna, Anna.

Patrzyłam na rząd liter na ścianie. Nie, to niemożliwe, to jakaś paranoja...

- Skąd wytrzasnąłeś to nazwisko?

- Przecież ci mówiłem... od tej pielęgniarki. Później odszukałem jej kartę w archiwum. Wszystko się zgadza, imię, nazwisko... faktycznie leżała w szpitalu w tym samym czasie co Monika. Potem zabrała ją i wyjechała...

- Nie...!

Krzyknęłam, jakby mój krzyk, moje zaprzeczenie mogło coś zmienić, zatrzymać, odwrócić.

Nie mogło. Wszystkie elementy tej upiornej łamigłówki zatańczyły jak szkiełka w potrąconym kalejdoskopie i ułożyły się w prosty, czytelny wzór. Nie było żadnego, choćby najdrobniejszego ułamka, który nie wskoczyłby na swoje miejsce... Dom w Sanoku, tamte głosy, pogrzebany koń... Oni wszyscy poznali prawdę - tato, Skrzypek, ona sama. To dlatego tato kazał wyryć na grobie jej imię. Uświadomiłam sobie, że tamta straszna noc nie przyśniła mi się, a jedynie powróciła do mnie jak fala odbita od dalekiego brzegu - zdarzyła się naprawdę, wiele, wiele lat temu. Ktoś mnie wtedy prowadził, czyjaś dłoń kierowała moimi krokami. Jej dłoń. To do niej, nie do mnie Pragłowska powiedziała: „Moniko, wiem,

że to ty". Poznała ją, chociaż była ślepa. Ja też byłam ślepa. Do dziś.

*

- Monika... co się stało? Jesteś tam? Może... może masz tam kogoś?

- Nie, nie. Poczekaj. Pozwól mi zebrać myśli... nie odkładaj słuchawki.

- Nie odkładam.

Ona była taka... krucha... wrażliwa...

Nie potrafiła z tym żyć. Czy ja potrafię?

Muszę mu to powiedzieć. Teraz, przez telefon. I najprawdopodobniej go stracę. Ale lepiej tak... po twarzy popłynęły mi łzy. Otarłam je niecierpliwie.

- Posłuchaj... - zaczęłam ochrypłym szeptem i odchrząknęłam. - Od czasu kiedy ciebie spotkałam, nie mam chwili spokoju... ani w dzień, ani w nocy... tęsknię za tobą i chcę być blisko ciebie... jesteś tym jedynym facetem na ziemi, z którym mogłabym być, ufać ci... Kocham ciebie.

- Monika...

- Nic nie mów!

- Mam siedzieć cicho? Po takim... takich oświadczeniach? Ja... myślałam, że ci to powiem wprost, nie przez telefon, ale skoro tak wyszło... Ja też nie mam chwili spokoju i tęsknię. Chcę... jeżeli się zgodzisz, będziemy razem. I czego ty ryczysz? Kładź się do łóżka i śpij, a ja w tym czasie będę do ciebie jechał...

- Czeka!

Niczego nie pragnęłam bardziej, niż znaleźć się znów w jego ramionach. I wiedziałam, że nie przeżyłabym odrazy w jego spojrzeniu.

- Jest jeszcze coś, o czym nie wiesz, Stefan...

- Oho! Masz męża i sześcioro dzieci?

Zaśmiałam się histerycznie, choć nie było mi do żartów.

- Przecież wiesz, że nie. Chodzi o to, że... moja matka nazywała się z domu Jazłowska... Jazłowska, słyszysz? Babka miała na imię Izabela.

Na długą chwilę zapadła cisza, a potem usłyszałam, jak nabrał głęboko powietrza i z wolna je wypuścił.

- Jeżeli jednak nie przyjedziesz, to ja to zrozumieć - powiedziałam martwo do milczącej słuchawki i powoli odłożyłam ją na widełki.

Pozostało mi już tylko czekać. Dwie godziny? Rok? Całe życie?

Błokowisko wokół mnie spało. Tylko w nielicznych okienkach pełgało światło w szafirowej ciemności jak świętojańskie robaczki. Ktoś nie mógł spać, ktoś musiał zdążyć na pociąg odjeżdżający przed świtem... ktoś źle się poczuł i wstał, żeby napić się wody. Ktoś lisim krokiem zakradał się do lodówki.

Tylko ja czekałam na wyrok.